

Motto;

„Idziemy w jasną, z błękitu utkaną dal, Drogą wśród łąk, pól bezkresnych I wśród mór szumiących fal...”

(z pieśni harcerskiej)

## Rozdział I

Wakacje za miesiąc i dwa tygodnie. Elektryzująca propozycja. Chłopcy zapadają się... Słońce przesiewało się przez zasłony w pokoju stołowym. Okna wpuszczały do mieszkania tysiące litrów powietrza nasyconego wonią drzew i kwiatów, krzewów i dalekich łąk, które po niedzielnym deszczu wybuchły soczystą zielonością.

Do końca roku szkolnego został miesiąc i dwa tygodnie. Te „tygodnie” można sobie jeszcze podarować, przeminą zapewne błyskawicznie.

— Kupiłem wspaniałe ciastka — rzekł ojciec Krzyśka i Michała, wchodząc zamasyżycie do mieszkania.

— Czyżbyśmy obchodzili jakieś święto? — spytała mama zajmująca się właśnie obieraniem ziemniaków.

— Chyba nie — powiedział z wahaniem ojciec. — Spójrzmy jednak do kalendarza. — ■ Począł przewracać kartki w wiszącym na ścianie (błoczku. - Taaak... "No i proszę: imieniny obchodzi akurat Bonifacy.

— Bo-ni-facy? — Nóż wypadł mamie z rąk i wbił się na sztorc w największy ziemniak.

— Właśnie. — Ojciec skrzywił się. — To takie dźwięczne imię.

— Wydaje mi się, że żadnego takiego nie znamy, co?

— To nie stanowi żadnej przeszkody! — Ojciec wzruszył ramionami i w tym momencie sporych rozmiarów paczka z głuchym plaśnięciem uderzyła o podłogę.

— Niech żyje twój Bonifacy! — powiedziała ze śmiechem mama.

— Dołączam się bez wahania do tych życzeń. — Ojciec spoglądał z góry na paczuszkę.

7

/

— Popęłniłabym nietakt mówiąc, że jesteś niezdarą. — Mama wpadła w ironiczny nastrój. — Wszystko jednak na to wskazuje, kolego mężusiu, Uważaj, nie nadepnij przypadkiem na to, co leży na podłodze.

Ojciec stał wyraźnie stropiony.

— ■ Cóż... Zamiast pojedynczych ciastek 'będziemy jedli tort pod nazwą „kremowa mieszanka domowa”.

— Pozbieraj łaskawie tę swoją mieszankę, zanim chłopcy wtargną do mieszkania i kilkakrotnie po niej przebiegną.

Wkrótce masa ciastkowa znalazła się na talerzu, ukształtowana specjalnym, szerokim nożem.

— ■ Przygotowałem dla chłopaków wakacyjną propozycję — rzekł tajemniczo ojciec, płucząc dłonie z kremu i czerwonej galaretki, która znalazła się również na mankiecie białej koszuli.

— Wspaniałe — ucieszyła się mama. — Czy możesz zdradzić ją już teraz?

— W żadnym wypadku. Dopiero w ich obecności.

— Kryje się pod tym jakiś podstęp. — Mama zmarszczyła nos. — Znam was wszystkich, moi kochani, znam zbyt dobrze...

Nie udało jej się jednak skończyć myśli, bowiem drzwi otworzyły się z łoskotem i chłopcy wpadli do wnętrza. Śmiali się do rozpuku. Michał zaś stanął przed lustrem, w którym ujrzał dziesięciolatku

umazanego sadzą nie tylko na twarzy i dłoniach.

■— Jak ty wyglądasz? — Mama złapała się za głowę.

Ojciec wychylił się z kuchni, parsknął śmiechem i schował się z powrotem.

—■ Kto będzie to teraz prać? — spytała mama, wyraźnie nie dzielając ogólnej wesołości. — Ja? O, nie, przyjacielu! Rozbierzesz się natychmiast w łazience. Do rosółu, zrozumiałeś? Wyszorujesz się i wypierzesz swoje rzeczy. Jasne?

— Pewnie — odparł Michał, który kolejność czynności od dawna znał na pamięć.

— Tylko szybko — dorzucił ojciec. — Mam dla was nowinę. I to jaką!

8

— Nowinę?! — Chłopcy błyskawicznie znaleźli się w kuchni.

— Zmykaj stąd! — krzyknęła mama, sadza bowiem sypała się z chłopaka jak z przewodu kominowego.

Po chwili z łazienki dał się słyszeć szum wody. Krzysiek natomiast obejrzał apetyczny półmisek, popatrzył na ojca ze współczuciem i zajął się czytaniem „Faraona”.

Tort znalazł się w pokoju. Wokół tacy poustawiano brązowe talerzyki i szklanki do kompotu. Mama zdjęła fartuch, nałożyła odpowiednie porcje i zasiadła w fotelu.

Michał w całości wepchnął w usta swoją porcję, Krzysztof zaś, jak zwykle, spokojnie przystępował do eleganckiej konsumpcji.

— Rok szkolny niedługo się kończy, prawda? — spytał ojciec.

— Mmmm — wymamlał Michał przez krem, ■— Zgadza się — uzupełnił Krzysiek.

— Macie już jakieś planywakacyjne?

Michał połknął resztki ciasta, popił szybko kompotem i odparł:

—■ Przede wszystkim niczego nie będziemy się uczyć. Zamkniemy książki na kłódkę...

— ...albo dwie — dodał Krzysiek.

— Na dwie. — Michał przyjął wniosek starszego, bardziej doświadczonego brata.

— I co potem?

Zapadła cisza. Chłopcy spojrzeli po sobie. Miny mieli niezdecydowane.

— Nie macie żadnych planów? Hm... Mogę wam w tym nieco pomóc. Mam pewną propozycję, którą możecie rozważyć... — Ojciec zawiesił głos i począł wycierać okulary,

Michałowi uszy wyrosły niemal do sufitu, Krzyskowi jeszcze wyżej. Zastygli w kamiennej pozie, oczekując dalszego ciągu.

— Nałóżcie sobie jeszcze „torciku” — wtrąciła mama. Cisza trwała nadal.

— Tato., — Michał nie wytrzymał

10

— Jak ci poszło dzisiejsze dyktando? — spytał ojciec.

— Dyktando? — Michał zupełnie nie rozumiał, o co chodzi.

— Mielście pisać.

— Pisać... Aha, dyktando? Poszło. Nie ma stopni. A co z wakacjami?

— Zjedzcie coś jeszcze — wtrąciła mama.

— Mam zatem dla was pewną propozycję. — Ojciec podjął wreszcie temat. — Nie wiem tylko, czy nie za wcześnie

o tym mówić. Jeszcze przecież półtora miesiąca. Coś się do tego czasu może zmienić.

— Tato — jęknął Krzysiek.

— Dobrze już, dobrze. Zaspokoję waszą ciekawość. Otóż... —■ Może torciku? — Mama myślała wciąż o jednym.

— Przedstawia się to następująco: razem z Olą i Asią pojedziecie nad jezioro. Sami, bez rodziców. Będziecie mieszkać u znajomego gospodarza.

Obydwoj młodzińcy zapadli się trzy piętra niżej, aby po chwili znów pojawić się przy stole.

Michał chwycił pełny dzban kompotu i wychylił go duszkiem, Krzysiek natomiast połknął wielki kawał tortu nieledwie z talerzem i dostał przeraźliwej czkawki.

— Co powiecie, panowie? — zapytał ojciec, choć widział, jak niesłychane wrażenie wywarły jego słowa.

— Mogę się włączyć? — Mama miała jakieś wątpliwości.  
— Oczywiście. — Ojciec natychmiast domyślił się, o co chodzi.  
— Pojadą sami?  
— Pewnie, że tak — Krzysztof chwilowo objął przewodnictwo obrad. — Byliśmy już na kilku obozach harcerskich. Wszędzie była woda, w Ustce, w Czernicy czy w Olsztynku...  
— Dzieci będą pod opieką pana Maszopy — stwierdził ojciec uspokajająco.  
— Jednak jezioro, las, dzikie zwierzęta... — Mama zaczynała lament, do którego rozwinięcia nie wolno było dopuścić. Obrady stałyby się mniej rzeczowe".

11

—• Wszystko załatwione. Maszopowie nie mają dzieci, z radością więc zgodzili się na naszą propozycję.  
— Jak długo tam będziemy? — Michał miał wypieki na twarzy, oczy błyszczały mu z podniecenia,  
— Miesiąc.  
— Wspaniale! — Krzysiek wstał i założywszy ręce do tyłu począł spacerować po pokoju. — Musimy wyposażyć się w wędki, a do tego jeszcze...  
— Chwileczkę. — Ojciec przerwał rozpoczynając się wyliczankę.  
— A co na to Żarlicy? — Mama chwyciła się jeszcze jednej deski ratunku.  
—• Adam zapalił się do pomysłu i pojechał ze mną do Ma-szopów. Albo raczej ja z nim, bo wybierał się właśnie służbowym samochodem na Kaszuby. Byliśmy tam już kiedyś razem, Krysi natomiast zrobiło się słabo, ale to dzielna mama, Zgodziła się pytając jednocześnie, jakie jest twoje zdanie.  
— Moje zdanie jest niepewne — rzekła mama.  
—■ Chłopcy, dziękujcie matce za zgodę. — Ojciec mrugnął do nich porozumiewawczo, Rzucili się jej na szyję.  
— Róbcie, co chcecie, — Pani Maria machnęła ręką, opędzając się od wątpliwych, choć gwałtownych pieścizot, — To są ostatecznie męskie sprawy,,  
— Jeżeli więc doszliśmy do porozumienia — ojciec uderzył dłonią w stół — idziemy dzisiaj do Adamów, Przedysku-tujemy problemy natury operacyjno-taktycznej, chłopaki zaś dogadają się z dziewczynami i zaplanują jakieś działania, Co wy na to?  
Po południu wybrali się do przyjaciół, Wiele spraw było do omówienia.

Rozdział U

... a po południu uzgodniony zostaje plan, ope-racyjno-taktyczny. Zalakowana butelka łąduje na szafie.

Dziewczęta wróciły ze szkoły jak gdyby nigdy nic. Wyglądały zupełnie normalnie, prawie tak samo jak rano, kiedy wychodziły z domu. Starsza, Asia, dbała już po kobiecemu o szczegóły stroju, zdarzało jej się nawet korzystać z rmani-nych kosmetyków zajmujących odpowiednią część łazienkowej szafki. Ostatecznie piętnaście lat to nie byle co. Natomiast Oleńka, żywa jak iskra dwunastolatka, z pogardą się odnosiła do zabiegów siostry.

Po południu zaterkotał dzwonek u ich drzwi.

Chłopcy chrząkali z jednej strony, dziewczyny z drugiej.

Michał miał przed nosem klamkę, Krzysiek tabliczkę z nazwiskiem. Proporcje za drzwiami były podobne, choć Ola wyższa była od Michała, Asia zaś od Krzyśka.

— Tylko spokojnie, bez ryków, wrzasków i rozbijania mebli, proszę panów — mruknął ojciec. — U ciotki roztrzaskaliście rozsuwane drzwi...

— Same się zbiły! — Michał aż podskoczył z oburzenia. — Ja tylko chciałem je zamknąć!

—■ A Krzysiek w tym samym czasie próbował je otworzyć, prawda?

Klamka drgnęła i gości zaproszono do środka.

Dzieci natychmiast znikły w niewielkim pokoiku. Tutaj, wśród zdjęć zespołów Lady Pank, Modern Talking i fotografii ulubionych piosenkarzy oraz przy dźwiękach dobywających się z kasetowego magnetofonu, można było omówić wakacyjne plany.

— -I co? — spytała Asia,

3 O  
5 ^ a  
Ъ4 v ^  
\*\\mV\?\\  
> ^  
к ■ <

•-■ "O  
ti N-  
> с ЈЛ 's , Q, N-i? O ~  
з -» И" ^ -  
с а  
>  
'İ Ш СГ 1  
■\*^>?<~  
-Я  
\\~л\\  
& X~ O  
ЯГ SD '  
% ? \*' ^ 2 Jf TJ  
из 'С ф ф £  
z Z  
N O,1-'  
ИГ - v e- £  
\* = ■ я i" <=  
Г \*  
та -a  
fi. B И  
=S -O "U -=•  
г#Ж#1  
—« -----Г4  
■i- 'S. 5S.' «■-  
•к ъ  
— .^ —  
- , -г -к- чЕ.

йи\и  
^  
7. < ч

•=. C-  
с-  
\* 3

1!  
CL  
/i. Cu N  
- O O.  
П> ^ ^ v ^

Я\* £1

-as w

^

яг\*

— No... — odpowiedział Michał,

— Nie ma sprawy — bąknął Krzysiek.

— Jedziemy? — zawahała się Ola.

' — ■ Pewnie, że jedziemy! — podsumowała Asia. — • Cały miesiąc luzu, rozumiecie? Byliście już tam kiedyś?

— Nad tym jeziorem jeszcze nie. Ale rejon jest piękny. Wielkie lasy, woda, rzeczki, tatarak, szuwary... Wspaniale. A ryby jakie! Jak odtąd dotąd...

— Nie bredź, takie są rekiny.

— Większe.

— Rekiny? — włączył się Michał. — Rekiny żyją w morzach.

— I to ciepłych.

— Nikt przecież nie mówi, że w jeziorze,

— Asia powiedziała.

— O, rany, mówiłam tylko, że takie wielkie rybska, jak pokazał Krzysiek, to są rekiny.

— Albo jeszcze większe...

Ola natychmiast pokłusowała do rodziców, którzy tylko czekali, aby odpowiadać na rozmaite pytania.

— Tato, jak duże są rekiny?

— Zaczyna się, proszę państwa. Jak w tym starym dowcipie o spóźnionym gościu w barze mlecznym...

— Duże? — Ola nie ustępowała, podskakując w miejscu, Pan Adam chrząknął.

— Otóż, moje dziecko — zaczął — rekiny, jak mi wiadomo, to morskie drapieżniki. Bardzo są niebezpieczne dla pływających w wodzie ludzi, atakują ich bowiem bez ostrzeżenia. Niektóre nawet plaże w ciepłych krajach ogrodzono specjalnymi płotami, mającymi chronić...

— A długość?

— Tych płotów?

— Ależ nie, tato, rekina.

— Aaaa, rekina? No, spora, spora. Gdybyśmy chcieli je porównać z innymi morskimi stworzeniami...

— Jak stąd do telewizora i jeszcze dwa kroki — włączyła się pani Krystyna.

14

— Dobra. — Oleńka odwróciła się na pięcie i wpadła do pokoju. — Jak stąd do telewizora i dwa kroki — powiedziała rozkładając ramiona,

— Stąd?

— Nnno, niezupełnie, mama tak mówiła w tamtym pokoju.

— Gdybyś weszła do kuchni albo pobiegła do kiosku — Asia parsknęła ironią — też tak to byś określiła? Opanuj się, dziewczyno.

Krzysiek szarpał nerwowo obicie kanapy, aż wreszcie nie wytrzymał:

— Przecież rekinów nie ma w jeziorze, zgadza się? O co więc chodzi, do stu piorunów? W ten sposób nigdy nie omówimy całej operacji.

— Właśnie...

Zamilkli, spoglądając na siebie, jakby na chwilę zapomnieli, o czym mają dyskutować. A czas płynął wartko i nie należało go marnować.

— Dlaczego zapadła tam taka cisza? — spytała pani Maria w drugim pokoju, przyzwyczajona już widocznie do nieustannego hałasu.

—: Może dogadali się... ~- wyraził przypuszczenie pan Adam.

—• Albo myślał, co nie zdarza się znowu'tak często — powiedziała ze śmiechem pani Krystyna.

Cisza jednak nie trwała długo, Tyle tylko, ile trzeba na złapanie głębszego oddechu. Pojemność płuc cała czwórka miała podobną, w pewnej chwili wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Harmider podniósł się piekielny, drzwi wygięły się niemal w stronę korytarza, rodzice zaś uśmiechnęli się do siebie: no i proszę, dzieci są zdrowe i całe.

— Przyniosłem mapę!!! — przebił się głos Krzyśka, — Mapę, słyszycie?

— Pokaż!

Wielobarwna płachta znalazła się na podłodze, przykrywając dywan. Krzysztof wygrzebał z jednej z licznych kieszonek masywną busolę i zorientował mapę względem północy.

IB

— Gdzie to jest? — spytała Ola.

Siedli, kucnęli lub położyli się w takim miejscu, aby napisy nie były do góry nogami.

W dłoni Michała znalazło się potłuczone na brzegach, silne szkło powiększające. Gdy przyłożył je do oka, wydało się ono większe od głowy. Ola parsknęła śmiechem,

— Ładny jesteś! — wykrzyknęła. Michał zrobił niemądrą minę.

— A bo co?

—• Przez to szkło masz pyszczek jak hipopotam, a nos powiększył ci się do rozmiarów dużego kalosza.

— Dajcie spokój! — Asia, czując burzę w powietrzu, zareagowała natychmiast. — Musimy przecież ustalić wszystkie szczegóły. Krzycho, gdzie jest nasza baza? Pokaż nam dokładnie na tej mapce.

Krzysztof wskazał palcem błękitne oczko jeziora na zielonej płaszczyźnie lasów. Do jeziora wpadała mała, kręta rzeczka, wypływająca z drugiej strony rozlewiska. Gdzieś tam dały się zauważyć kreseczki mokradeł.

— Z dojazdem będą kłopoty — rzucił Krzysiek marszcząc brwi i sunąc nosem po papierze. —

Kolej tam nie dochodzi, można najwyżej wysiąść na tej tutaj stacji, a potem kilka kilometrów pchać się pieszo.

— Przez las? — zdziwiła się Ola.

— Też coś! Jest droga, ale taka podrzędna, wiejska. Prowadzi do jeziora i tam się kończy.

— Koniec świata... — szepnął Michał.

— Wakacje na końcu świata! — Ola wstała i poczęła wirować z szybkością tysiąca obrotów na minutę.

. — Uważaj, bo przewiercisz się do sąsiadów — ostrzegła Asia.

Skrzypnęły drzwi i w szparze ukazała się jasna głowa pani Krystyny.

— Ułożyście plany?

— Zaraz weźmiemy kartkę i będziemy wszystko zapisywać, wszystkim duże plecaki — powiedział Krzy-

2 — Wal

"o

17

siek, który jako doświadczony harcerz w stopniu tropiciela nieźle był przygotowany do organizowania podobnych imprez.

Dziewczęta poczęły nagle żałować, że nie mają chomika, który byłby wspaniałym towarzyszem ich przygód. Kiedyś przyjaźniły się z takim stworzeniem, który odszedł niestety do krainy wiecznych łowów po zjedzeniu czegoś, co nie było dlań przeznaczone. Potrafił stawać słupka, biegł na zawołanie, a nawet lubił czasem wspinać się po ramieniu i siedzieć tuż przy twarzy.

Michał, dostosowując się do tematu zoologicznego, zaplanował współudział Reksa. Był to wilczur niewilczur, duży i ciemny, żywo reagujący na ludzkie słowo. Stał się ich kompanem podczas różnych indiańskich i wojennych zabaw, jakie z kolegami urządzali w okolicznych lasach. Był też ulubieńcem Oli i Asi — witał je zawsze z niesłychaną wesołością, połączoną z wydawaniem zdumiewających szczęknięć, pisków i jęków.

— Wpisujemy Reksa na listę załogi! — rozdarł się Michał.

— Załoga? — Asia skoczyła na równe nogi. — To zupełnie dobry pomysł!

— A co będziemy tam robić? — Ola położyła się na dywanie i pstryknęła długopisem. Zaczęli wykrzykiwać różne pomysły. Jazgot znów powstał okropny, aż w pokoju, gdzie rodzice raczyli się kawą, zachwiała się ogromna donica z rozłożystą paprocią.

Dwugodzinna narada doprowadziła do uzgodnienia wielu ważnych szczegółów, a mianowicie:

1. Wakacje mają być fajne.
  2. Albo jeszcze lepsze.
  3. Będziemy się kąpać.
  4. I zbierać grzyby.
  5. Coś ty! W lipcu nie ma grzybów!
  6. A są!
  7. Zobaczymy na miejscu,
  8. Popłyniemy łodzią.
  9. Jeżeli będzie.
  10. Na pewno będzie!
  11. Łapać będziemy ryby.
- id
12. Na haczyk i do siatki.
  13. Wycieczka dokoła jeziora.
  14. Pieszko.
  15. Albo rowerem.
  16. Skąd weźmiesz rower?
  17. Zbudujemy szłaś.
  18. Resztę ustalimy na miejscu,
  19. I starym nic nie mówimy.
  20. Dobra!

Protokół sporządziła Ola, następnie odczytała — jak na ważnej, międzynarodowej konferencji — i wszyscy złożyli pod nim swoje podpisy.

Dokument zawinięty został w rulonik, wepchnięty do butelki, którą Krzysiek solidnie zalakował. Kilka kropel laku i wosku ze świecy kapnęło na dywan, co miało już na wieki pozostać pamiątką po tej historycznej naradzie.

Do lipca zostało jednak trochę czasu. Trzeba więc jeszcze było — choć z wielką przykrością — odłożyć plany wakacyjne, zawarte w zalakowanej butelce, na półkę. W szkołach nauczyciele z zadziwiającym zapałem nadal stawiali stopnie, jakby w ogóle nie zdawali sobie sprawy, że przyroda staje się coraz bujniejsza, pachnąca, i że wszystkim o tej porze roku ubywa nieco rozumu.

Tymczasem na całym świecie nauczyciele w tych właśnie tygodniach przed wakacjami wyciskają z uczniów ostatnie poty. Nie mają zatem ani krzty litości. Ha! Ale trzeba z nimi żyć w zgodzie, choć zupełnie nie mają pojęcia, co to są wakacje.

Wakacje...

Rozd/III/ ///

Koniec roku szkolnego. Mieszkanie W ruinie. Nareszcie sami.

Ostatni dzień roku szkolnego wypadł godnie i wspaniale.

Chłopcy ubrali się, a jakże, w ciemne garnitury, które — choć nie szyte na miarę — wyglądały zupełnie nieźle mimo za długich, u Michała, rękawów i zbyt krótkich nogawek Krzyś-ka.

Białe koszule ozdobione zostały krawatami, zawiązanymi na modny węzeł a la główka kapusty, buty — wyczyszczone, fryzury zaś skropione wodą bieżącą i gładko ulizane.

Dwie wyprostowane sylwetki, nie zginając prawie nóg, aby zachować wyprasowane na żyłki kanty, wyszły z domu w szyku torowym, a więc jedna za drugą. W taki też sposób pomaszzerowały w kierunku szkoły, aby tam, uroczyście i poważnie, odebrać świadectwa.

Zniknęły wkrótce za horyzontem, na który się składał odrapany murek (cóż, w mieście tak właśnie bywa), zakrywający dymiące zwykle śmietniki.

Można by przypuszczać, że chłopcy po jakimś czasie pojawią się znowu w polu widzenia, by kontynuować posuwanie się do uczelni. Nic bardziej błędnego!

Gdybyśmy spojrzeli, nawet ukradkiem, za wspomniany murek, ujrzelibyśmy ich w innej zgoła sytuacji. Z zapalem bowiem — o zgrozo! — dekompletowali oni włożony przed godziną uroczysty strój...

Po bez mała pięciu godzinach nasi młodzi przyjaciele wrócili z oddalonej o pół kilometra szkoły, prezentując się jednak zupełnie, ale to zupełnie inaczej! Poświęćmy im z tego powodu chwilę uwagi, nie sposób bowiem opuścić tak ważnego w ich życiorysie wydarzenia.

20

A więc po otrzymaniu świadectw gromadka chłopców, a w ich gronie — jak zwykle — Krzysztof i Michał, udała się do pobliskiego lasu, aby tam bez pamięci oddać się zabawie w Indian.

Toteż kanty w spodniach zniknęły bez śladu, na ich miejscu zaś Michał niósł dwie potężne dziury. Zrobiły się one „same”, podczas szaleńczego pościgu za zbiegłym jeńcem, wskutek zahaczenia nosiciela spodni o wystający korzeń. Zakotłowała » się wówczas ziemia, kamienie prysnęły pod niebo, rozmokła glina rozstała się na boki, a słońce na moment zgasło. Wrzask podniósł się okropny, jeniec umknął i był już o tysiące kilometrów, Michał zaś zbierał porozrzucone na wszystkie strony swoje ręce i nogi, aby na powrót móc kontynuować tak wspaniałe rozpoczętą akcję.

—• Poczekaj, ty!!! — ryknął w stronę krzaków, rzucił się głową w ich kierunku i po chwili szamotał się w kolczastej gęstwinie, z której Apacze musieli go wyciągnąć, albowiem o własnych siłach uczynić tego w żaden sposób nie potrafił. W trakcie tej skomplikowanej operacji rękaw prawie całkowicie odłączył się od marynarki.

Koszule, które jeszcze rano można było uznać za białe, teraz miały kolor soczystego błota. Krawat Michała znalazł się w kieszeni, Krzyśka natomiast gdzieś na przydrożnym drzewie — stał się w ten sposób znakiem rozpoznawczym dla indiańskiego patrolu. W marynarki, pieczołowicie odprasowane poprzedniego dnia, nabijało się tyle sosnowych igieł, że wyglądały jak pancierz jeża. W kieszeniach spodni natomiast spoczywały poczwórnice złożone świadectwa, potraktowane bez należytej czci, jaką okazywać trzeba wszelkim podpisanym i ostemplowanym dokumentom. Po wejściu do domu spowodowali kolejny, zupełnie normalny w podobnych sytuacjach atak nerwowy mamy. Z krzykiem i szlochem zamknęła się w łazience, zabarykadowała drzwi i wielkim głosem orzekła, że nie wyjdzie stamtąd do końca świata. Woli bowiem oglądać ciekący kran niż dwóch obdar-tusów i nędzarzy, którzy mają czelność nazywać się jej synami. Ojciec natomiast, ujrzawszy włączące do mieszkania potwory,

21

zassał w płuca taką ilość powietrza, że mógłby polecieć wprost na księżyc.

Kilkugodzinna kosmetyka połączona z prezentacją świadectw doprowadziła do tego, że chłopcy z indiańskich wodzów, wielce sfatygowanych zażartymi bojami, przemienili się na powrót w normalnych ludzi, mogących pokazać się cywilizowanemu światu. Odmiana ta przebiegła o tyle sprawniej, że okazywanie cenzurek nie było najlepszym z dotychczasowych występów Krzysztofa i Michała na rodzinnej scenie. Wetknięte tu i ówdzie trójce nie za dobrze świadczyły o ich przykładaniu się do nauki.

Nadszedł wreszcie wielki dzień przygotowań do wyjazdu. Dzień z niecierpliwością przez chłopców oczekiwany.

Pootwierano szafy, aby wydobyć z nich wszystko, co mogło być potrzebne na wakacjach.

Mieszkanie przybrało więc wygląd magazynu odzieżowego, w którym eksplodowała bomba znacznych rozmiarów. Chłopcy z taką energią przystąpili do kompletowania wyposażenia, iż w pewnej chwili nie można już było dobrać skarpetek do pary, sznurówek do butów ani bielizny do właściciela.

Miary nieszczęścia dopełnił Reks: przed godziną opuścił on domostwo, aby udać się na obchód okolicy, co wchodziło w zakres jego normalnych, codziennych obowiązków. Uczynił to jak zwykle nader pilnie, rozpoczynając pogoń za obcym kotem, który wykonał wspaniały skok przez dół z błotnistą mazią. Reks, będący zwierzęciem o dużym poczuciu humoru, tym razem nie poznał się na tak oczywistym żarcie i całym cielskiem wypełnił gliniany rozkop. Po wydostaniu się zeń wrócił do domu, aby bez uprzedzenia wejść w rozrzuconą wszędzie odzież.



Zaiste, Krzysztof, Michał i Reks pasowali do siebie jak mało kto...

s

Przy ścianach pokoju ustawiono plecaki. Większy, pomarańczowy, należał do Krzysztofa, zielony zaś był własnością jego brata.

Zostawmy ich tam, komunikując jedynie, że wyrywają sobie właśnie spodnie, Reks ujada i melodyjnie wyje, w kuchni

22

piszczy czajnik, a mama niechętnie nastąpiła na ogon czarnej kocicy, powodując jej skok na firankę. Najspokojniej natomiast zachowywał się zegar, dokładnie odmierzając czas do końca pakowania, który nastąpił w późnych godzinach nocnych.

Przenieśmy się tymczasem do mieszkania dziewcząt, w nadziei, że przynajmniej u nich wszystko przebiega sprawnie, że działają systematycznie i zgodnie. Chętnie opisalibyśmy scenę ze wszech miar budującą, aby udowodnić, że nawet najtrudniejsze, zadania można wykonać z uśmiechem i bez nerwów.

Niestety, w domu nikogo nie było.

Na podwórku też nie. Ani obok trzepaka.

Wewnątrz panowała absolutna cisza...

Cóż zatem stało się z Olą i Asią, które przecież następnego dnia o bladym świetle wyjechać miały wraz z chłopcami na wakacje?

Aby dociec prawdy, cofnąć się musimy o kilka dni.

Oto Asia pomyślnie zakończyła studia w szkole podstawowej i — jako absolwentka ósmej klasy — złożyła wymagane dokumenty do wybranej przez siebie (oraz przez wszystkich krewnych) szkoły odzieżowej. Niesamowita trema zżerająca po kawałku tak ją, jak i jej rodzinę, ustąpiła miejsca ogromnej

uldze. Radości w ich domu żadnymi słowami opisać się nie da, czynić więc tego nie będziemy. Można jedynie wyliczyć określone straty materialne, jakie ta szacowna rodzina poniosła z powodu wyniesienia Asi do godności uczennicy szkoły ponadpodstawowej.

Po odnalezieniu więc siebie na liście osobistości przyjętych w poczet uczniów wymarzonej szkoły Asia z szybkością ponad-dźwiękową pomknęła do domu, do którego wpadła wyrywając niemal drzwi z zawiasów. Potem Asia tańczyła po mieszkaniu, zwiewną sukienką strącając ze stołu:

chińską zastawę wymalowaną w kolorową tęczę,

otwartą butelkę atramentu, która szerokim łukiem pofrunęła na tapczan, oraz

24

nowiutki zegar stojący, kończąc w ten "^^b jego tykający żywot,

— Dosyć tego! — oświadczył Adam. — Nasze mieszkanie w ruinie, niech i dziadkowie się przekonają, co to za słodkie życie z takimi dziewczynami. Jedziemy do Włodawy!

— A Ola?! — wykrzyknęła pani Krysia.

W tym momencie weszła Ola, a za nią sznur koleżanek.

— Co się tu dzieje? — spytała.

— Tata wywozi nas do Włodawy w nagrodę za świadectwa — rzekła Asia i rozplakała się. — A na-na-sze plaaany? — zaczęła przez łzy.

Powstał taki gwar, że ledwo słyhać było ojca, który powiedział, że plany wakacyjne nie ulegają żadnej zmianie.

Wrócili w przeddzień eskapady, późnym wieczorem. Stanęli pośrodku mieszkania zziązani, śmiertelnie zmęczeni, toteż o pakowaniu plecaków nie było nawet mowy. Dziewczyny, już we śnie, padły na swoje tapczany. Pan Adam też się nie ościagał z udaniem do łóżka. Tylko niez mordowana pani Krysia pokręciła się jeszcze po kuchni, wykonując setki czynności: wytarła szklanki, podlała kwiaty, zaparzyła herbatę, wypila kawę i wreszcie sen ją zmógł w pobliżu lodówki. Zdążyła jeszcze, na szczęście, nastawić na czwartą maleńki, błyszczący budzik i schować go pod tapczan. Około północy więc w mieszkaniu słyhać było cztery donośne sapania, znamionujące głęboki, uzdrawiający sen całej rodziny.

Wczesnym świtem budzik zerwał się pierwszy. Po nim obudziła się Ola, czyniąc w domu

niesamowity jazgot, porównywalny do alarmu ochotniczej straży pożarnej.

Po dwóch godzinach z mieszkania nie pozostał kamień na kamieniu, dziewczęta zaś, otwierając ziewające dzioby, stały objuczone przed blokiem.

Wkrótce w perspektywie ulicy pojawił się fiat, z piskiem opon przywarł do krawężnika, otworzyły się drzwi i dziewczęta — wrzuciwszy plecaki do bagażnika — wtuliły się w siedze-

25

nia obok drzemiących r Reksiem na kolanach chłopców. Asia zaraz się przesiadła i zajęła miejsce obok kierowcy.

Machaniem nie było końca. Auto pomknęło do głównej ulicy, aby wypaść wreszcie za miasto, Słońce przypiekało już mocno, zapraszając gorąco na Kaszuby, Pasażerowie, budząc się od czasu do czasu, uśmiechali się do siebie.

Bvli wreszcie sami. I razem..,

Rozdział IV

Asia śmieje się podejrzenie. Kogo niesie % lasu?

Samochód brnął pod górę. Gdy znalazł się na szczycie krętej szosy, w oczy wszystkich buchnęło słońce; po przeskoczeniu grzbietu pasażerowie ujrzeli ogromne, wspaniałe jezioro.

Tafla wody skrzyła się milionami perełek.

—• Jakie piękne! —■ krzyknęła Asia, kokieteryjnym gestem poprawiając włosy i przeciągając się po drzemce.

— To już tutaj? — spytała Ola, ocknąwszy się ze snu na ramieniu Michała. Nie było jej chyba wygodnie, bowiem Michał, o czym warto wiedzieć, był młodzieńcem kościstym.

— Niedaleko — odparł, dumny, że może służyć informacją.— Zjedziemy teraz do wsi, miniemy rynek, a potem przez las.

— Lasy tu są wszędzie — wtrącił Krzysiek. — Dobrze\*, że jedziemy samochodem, bo od miasteczka, do którego dociera kolej...

— Powiedz, że ciuchcia!

—■ Stamtąd więc trzeba drałować na piechotę. A to przecież parę ładnych kilometrów.

—■ Czy zabraliśmy wszystko? — zaniepokoiła się Ola.

— Skąd mam wiedzieć? — Asia wydeła policzki. — Pakowaliśmy się jak na wojnę. Wiecie, że dzisiaj w nocy wróciliśmy z Włodawy?

— Butelka!!! — wrzasnął nagle Michał, aż samochód się zatrząsł.

— Spokojnie. W ostatniej chwili wepchnęłam ją do plecaka — rzekła Ola.

27

Pojazd przemknął przez wieś, dojechał do starego młyna i tuż za nim skręcił w lewo.

— No, ostatni etap — rzucił kierowca. — Trochę nas teraz wytrzęsie. Załoga, przygotować się do opuszczenia samolotu! Zapiać spadochrony!

Samochód zadrżał na wybojach. Pasażerowie poczuli się jak cytryny w sokowirówce. Trzymali się oparc, mimo to jednak od czasu do czasu któryś z nich podskakiwał wystarczająco wysoko, aby huknąć głową w dach.

— Ha.uuu — zawył Reks ziewając.

— Zakryj chociaż paszczę — zwrócił mu uwagę Krzysiek. Skończyła się leśna droga.

Pomiędzy drzewami zamigotało bliskie już jezioro.

\_ Tam! — Krzysztof wskazał dłonią, kiedy minęli kolejny zakręt.

Najpierw ujrzeli drewniany płot, a następnie zabudowania. Z lewej strony rozciągała się szeroka, wiodąca w dół ku jezioru kwiecista łąka.

— Oto nasze królestwo! — krzyknął Michał podrygując na siedzeniu.

W oddali stał ciemny, sosnowy las...

Gdy fiat, unosząc tumany kurzu, zatrzyma! się przed bramą, a kierowca wyłączył silnik, z domu wyszło dwoje starszych ludzi.

Jan Maszopa był roslym mężczyzną o kanciastej, 'pooranej bruzdami twarzy, wielkich, silnych

dłoniach i łagodnych, śmiejących się wciąż oczach. Twardo kroczył po ziemi, ciężko stawiając stopy i kołysząc barami. Jego żona natomiast, pani Dorota, charakteryzowała się niewysokim wzrostem i niejaką tuszą, która jednak nie przeszkadzała jej poruszać się lekko i zgrabnie. Krzysztof znający oboje z ubiegłorocznych wakacji, pierwszy ruszył na spotkanie.

— Jesteśmy, dzień dobry — powiedział szurając nogami Maszopa potrząsnął jego dłonią, o mało co nie wrywając

jej z barku,

— Pięknie rośniesz -- rzekł. -- Rodzice zdrowi"

28

— Oczywiście. I zadowoleni, że będą mieli bez nas trochę spokoju.

Maszopa roześmiał się.

— Czasem rzeczywiście trzeba odsapnąć — stwierdził. — Nawet i od własnych dzieciaków.

—• Zachodźcie. —• Pani Dorota wskazała domostwo, — Zjecie coś, odpoczniecie...

— Nie ma po czym odpoczywać — włączył się Michał, — To przecież tylko niecałe dwie godziny drogi!

Dzieci rzędem, kłaniając się gospodarzom i dźwigając pakunki, maszerowały do domu. Pomachały jeszcze kierowcy, który zawrócił i szybko odjechał, znikając wkrótce za ścianą lasu.

Reks pierwszy wyruszył w teren, Miał zaszczyt i wielką przyjemność znakomicie wyspać się w samochodzie, bo Ola trzymała na kolanach jego uszczęśliwioną mordę, Michał brzuch, a Krzysztof, niestety, całą resztę z ogonem.

Najpierw ostrożnie, w obawie przed niebezpieczeństwem, czyhającym zawsze na samotne i uczciwe zwierzę, obwąchał wszystkie dostępne zakamarki. Wepchnął czarny, ruchliwy nochał do taczki, przejechał nim wzdłuż parkanu i drewnitni, a następnie umieścił go w otworze niewiadomego przeznaczenia. Tam jednak spotkała go przykrość: okazało się bowiem, że z kurnika wypadło grzebieniaste stworzenie — ba, potwór wręcz — gotowe bronić do upadłego swego terytorium.

■ Postanawiając więc na razie wycofać się ze zwiadu w zagrodzie, ruszył w kierunku jeziora. Nowe otoczenie syczało, szumiało i brzęczało, pachniało również zupełnie inaczej niż w mieście. Gdyby Reks miał zacięcie naukowe, porozdzielałby wszystkie zapachy i począł analizować każdy z nich po kolei, klasyfikując je według przyjętych przez siebie kryteriów. Niestety, sympatyczne to zwierzę miało zainteresowania raczej przyrodniczo-humanistyczne, zatem logiczna analiza dźwięków i zapachów nie wchodziła w rachubę.

Odurzony wszystkim, co zdążył zaobserwować i wywęszyć, przestraszył się w końcu maleńkiej, zielonej żabki, która, skacząc do wody, wykonywała łuk tuż nad jego długą, ciemną nosą. Udał się więc do domu, gdzie miał nadzieję zastać swych przyjaciół.

Rzeczywiście — dzieci zdążyły się już rozlokować w dwóch niewielkich pokojach na piętrze.

Michał z Krzysztofem mieli wspaniałą widok na las i kawałek jeziora, dziewczęta natomiast mogły oglądać — kiedy tylko chciały —■ przystań, wodę i wysunięty cypel z żółtą plażą.

Nie udało nam się stwierdzić, jak cała czwórka ułożyła sobie życie w pokojach. Jesteśmy jednak pewni, że wszelkie działania organizacyjne przebiegały sprawnie, harmonijnie i z uśmiechem. Tym bardziej że pani Maszopowa chyżo przebiegała z pokoju do pokoju, pytając:

— No i jak, dzieciaki, wszystko w porządku?

— Oczywiście! — słyszała w odpowiedzi, cieszyła się; więc radością swoich lokatorów.

Dowodem zgody panującej między braćmi było chociażby to, iż żaden z nich nie był posiniaczony, co niekiedy zdarzało się w wypadku różnicy zdań.

Śniadanie zjedli skrupowani nieco nowym otoczeniem i powagą gospodarzy. Spałaszowali jednak znakomitą jajecznicę, popijając ją mlekiem.

Nie zauważywszy nawet — co wydaje się wręcz niezrozumiałe — Michał połknął kozuch: w domu walczył z nim każdego ranka, wyławiając go z kubka. Czyżby nagle zmienił mu się charakter?

Możemy mieć nadzieję, że obserwacja jego dalszych podczas tych wakacji poczyniń doprowadzi nas do jakichś ciekawych wniosków. W trudnych bowiem warunkach różne cechy ludzkie stają się

bardziej czytelne.

Wróćmy zatem do izby. Wstrzymaliśmy relację w momencie, kiedy Michał połknął kozuch, zdał sobie z tego sprawę już po fakcie, lecz ze zdumieniem stwierdził, że to, co właśnie zjadł, jest delikatne, miękkie i smaczne. Młasnął dwakroć, spojrzął na innych jakby w nadziei, iż zauważyli jego heroiczny wyczyn, a następnie skończył picie mleka.

Po śniadaniu podziękowali i prysnęli na dwór.

Właściwie nie prysnęli, wyszli bardzo spokojnie i statecz-  
ki)

nie, pokazując wszem wobec, iż są ludźmi doskonale wychowanymi.

faszerowali więc przez podwórko majestatycznie i godnie. Kto jednak przyjrzałby się im dokładniej, musiałby zauważyć, że robią coraz dłuższe i szybsze kroki. A zaraz za bramą poczęli nabierać jeszcze żywszego tempa, by wreszcie puścić się galopem, z łatwością przekraczając barierę dźwięku.

Pierwsza biegła Asia śmiejąc się nie wiadomo z czego (choć znamy takie przypadki, że woń lasu i jeziora potrafi odurzyć, i do czasu, gdy człek do niej się nie przyzwyczai — odbiera mu rozum i zdrowy rozsądek; objawami takiego schorzenia bywają przeważnie: ogromna radość, niepowstrzymany śmiech i oddech głęboki jak studnia) Stanęli na brzegu. Małeńkie fale lizwały piasek. Przytaczały z jeziora kłębu-  
szki piany.

Marszczyła się gładź wody, błyszcząc w słońcu i tysiącami lusterek odbijając jego promienie. Zmrużyli oczy. Do płuc wciągnęli przesycone żywicą i zapachem wody powietrze. Reks uczynił podobnie. Czekał też na werdykt, co pachnie najbardziej.

— Żywica! — zawyrokowała Ola. ' — Niesie z lasu...

— Kogo niesie?

— Zapach idzie właśnie z tamtej strony — rzucił Krzysiek.

— Przecież nie ma wiatru.

— No to co? I tak pachnie żywicą.

— I wodą.

— Wodą też. Z, rybami.

— A może ziemia, co?

Gdyby Reks nie był psem naprawdę dobrze wychowanym walnąłby łapą w piasek i wrzasnął: „Więc co tak pachnie, dc stu beczek solonych śledzi?!” Wstrzymał się jednak od wszelkich komentarzy, wiedząc, że węch ma dziesiątki razy lepsza od każdego ze swych przyjaciół z osobna, a nawet od wszy stkich razem.

32

- Idziemy na przystań —■ zaproponował Michał. — Zobaczmy te łodzie!

Wbiegli na pomost, aż zadudniło, Zatrzymali się dopiero przy jego końcu — skręcał tu pod kątem prostym i prowadził jeszcze kilka metrów w bok.

Stały tu dwie potężne, rybackie łodzie. Przycumowane do polerów przytuliły się burtami do belki odbojowej. Nie drgnęły nawet — wszak jezioro gładkie było jak lustro, a pirs pomostu dodatkowo je osłaniał.

— Hm... — powiedział Krzysiek z mądrą miną.

— Co mówiłeś? — spytała Ola biorąc go za rękę.

— Wszystko jasne — mruknął.

— To dobrze — wtrącił Michał.

— Odpłyń, chłopaku, bo myślę — niezbyt elegancko uciał Krzysiek marszcząc czoło, które przybrało wygląd suszonej śliwki węgierki.

— Widzicie go! — Michał wzruszył ramionami i wgramolił się do łodzi.

— I co? — Ola znów szarpnęła Krzysztofa.

—■ Tu są jakieś ryby! — krzyknęła Asia z końca pomostu, pochylona nad wodą.

— Nie przeszkadzaj. On myśli. Widzisz, jak wygląda: cały się pomarszczył — wtrąciła się Oleńka.

— Więc tak. — Krzysztof rozpoznał twarz, jakby wynalazł przynajmniej maszynę do szycia albo

dzwonek. —■ To jest łódź wiosłowa. Te maleńkie otworki służą do umieszczania dulek...

—■ Du... co? — Ola uniosła brwi.

— Dulek, w które wkłada się wiosła. Dziób znajduje się z tej strony, tam jest rufa, a wiosłarz siedzi plecami do dziobu.

— Czyli jedzie w tył. — Michał roześmiał się.

— Nie przerywaj! ~- rozgniewała się Ola. — A co to są te dulki?

— Metal w kształcie litery „U” z przymocowanym na dole bolcem, który z kolei wkłada się w otwór — rzekł Krzysiek i butem narysował na desce opisane urządzenie.

— Aha...

3 — Wakacje..

33

\* — Chodźcie tu wreszcie, ryby pływają!

Tego dnia przyjaciele zwiedzili najbliższy rejon, dwie godziny opalali się na rozłożonych kocach i wprost na trawie, brodzili po wodzie i grali w piłkę.

Asia skaleczyła sobie duży palec u nogi — prawdopodobnie o ostry brzeg muszli. Wracając więc do domu szła na pięcie, żeby nie zabrudzić rany.

Weszli na podwórko u schyłku dnia.

Zmordowany Reks wywiesił ozór, wielki i pomarańczowy jak zachodzące za las słońce.

A ziemia buchała jeszcze żarem...

Rozdział V

Cisza przy stole. Dramatyczna opowieść pana Maszopy.

Zmęczeni upałem i wielogodzinną bieżącą bieganiem zasiedli do stołu, nakrytego obrusem w kaszubskie hafty.

— Ręce umyliście, dzieciaki? — spytała pani Maszopowa krzątając się przy kuchni.

—■ Załoga, do wody! — huknął Krzysiek i wszyscy udali się do stojącej na podwórzu pompy. Nie zdradzimy wielkiej tajemnicy mówiąc, że Michał zalał się od stóp do głów za pierwszym podejściem, zmoczył innych i czmychnął do domu, aby zmienić ubranie. Wkrótce cała ekipa z powrotem znalazła się w kuchni.

Jan Maszopa zasiadł u szczytu stołu. Wielką łyżką nałożył na talerz parujące, wonne ziemniaki, z drugiej miski zaczerpnął pływające w tłuszczu skwarki (na które Asia zareagowała zgrabnie tuszowaną niechęcią), z wielkiego zaś dzbana nalał kwaśnego, mleka.

Położywszy dłonie na stół, spokojnie czekał, aż wszyscy uporają się ze sztucami.

Panowało milczenie, spowodowane nie tylko zmęczeniem, lecz i respektem dla gospodarza, który nie odzywał się ani słowem.

— Niechaj wam smakuje... — powiedział wreszcie Maszopa.

— I żołądków nie psuje — wyrwał się Michał z harcerskim okrzykiem, który bywał znakomity w warunkach obozowych, natomiast zupełnie nie pasował do tej schludnej kuchni i gościnnych gospodarzy.

35

Dziewczyny zachichotały, Michał zaś otrzymał pod stołem potężnego kopniaka, ' — Auuu! — pisnął.

— Cicho! — szepnął Krzysiek. — Nie drzyj się... Maszopa nie zareagował. Siedząc w nie zmienionej pozycji czekał na spokój.

— Niechaj wam smakują dary tej pięknej, kaszubskiej jriemi \_ rzekł. — Od setek, a może tysięcy lat żywiła ona ludzi pracowitych i dobrych. Jeśli dba się o nią i szanuje, jest wierna i szczodra, rodzi tyle darów, ile człowiekowi potrzeba. Spożywać je należy poważnie i z szacunkiem.

Włożył do ust pierwszą porcję ziemniaków i żuł je w milczeniu, popijając małymi łykami mleka.

Kiedy skończyli posiłek — a trzeba przyznać, że trudno było członkom załogi wytrzymać w całkowitym, poważnym milczeniu — Maszopa wytarł usta i powiedział:

— Jutro rano wyruszamy łodzią na wodę. Zanim to jednak nastąpi, muszę opowiedzieć wam historię związaną z tym pełnym ryb jeziorem. Chodźcie ze mną...

Wstał i ruszył do pokoju.

Słuchajcie uważnie — Maszopowa nachyliła się do Asi — bo to bardzo ciekawe. I prawdziwe. Gospodarz nie zapalał światła, choć w izbie panował półmrok. Sięgnął do kieszeni i wydobyl pudełko zapalek. Zagrzechotał nim i podszedł do kominka, na którego gzymsie znajdował się olbrzymi lichtarz ze świecą oblepioną kroplami zastygłego wosku.

Dzieci stały w pobliżu drzwi, ciekawe dalszego rozwoju wypadków

—■ Zbliżcie się do mnie ~ rzekł Maszopa. — Pokażę wam coś osobliwego,..

Trzasnęła zapalka, knot świecy w4koczył równym, spokojnym płomieniem. Gospodarz otoczył go dłońmi i powiedział:

\_\_ paj się. ogniu, daj nam siłę i chroń nas przed złem..

Nie dziwcie się: to taki stary, słowiański zwyczaj, który przetrwał jeszcze z czasów, gdy przodkowie nasi czcili płomienie..

\_\_ W harcerstwie też tak robimy —, szepnęła Ola.

36

Maszopa otworzył ciężką, dębową szafę. Pochylił się i zniknął do połowy w jej przestronnym wnętrzu. Dzieci otoczyły go półkolem.

Wyprostował się na całą wysokość.

W dłoniach dzierzył ogromne pudło. Postawił je na stole i otworzył. Wewnątrz leżał, słabo widoczny w mroku, duży kawałek drewna.

— Spójrzcie. Ta drzazga niczym się pozornie nie różni od .innych. Tak jednak nie jest. Ten przedmiot wyłowilem kiedyś z dna jeziora w niezwykłych i tragicznych okolicznościach, Położył konar na dłoniach Michała,

—■ Obejrzyjcie go dokładnie jako bardzo starą rzecz, tak starą, jak to jezioro, nad którym mieszkamy, To chyba część łodzi, prawdopodobnie z poszycia.

Ola dotknęła drewna koniuszkiem języka. Nie miało żadnego smaku,

Maszopa zaś zaczął opowiadać,..

Opowieść pana Maszopy

„Jak sami zauważyliście, rośnie tu ogromny i ciemny las, otaczający całe prawie jezioro. Gdy wieje wiatr, drzewa śpiewają starodawną pieśń, jakby pamiętały, co działo się tu przed setkami lat. Jezioro jest wielkie, rozległe i bardzo podobne do... Ale o tym opowiem wam kiedy indziej.

Teraz ciekawi was pewnie, skąd mam ten kawałek drewna ze starej łodzi i dlaczego chronię je w dużej szafie. Otóż przed laty, kiedy nie było was jeszcze na świecie, ja zaś uważałem się za człowieka całkiem młodego, do lasu, stojącego na tym cyplu ze złotym piaskiem, przyjechała pewna rodzina na wczasy.

Rozbili namiot i rozgościli się, uzyskawszy naturalnie uprzednio zgodę leśniczego. O, to jest, wspaniały człowiek i mieszka w tym lesie nie od dzisiaj. Jeśli nadarzy się okazja, a myślę, że taką znajdziemy, z przyjemnością mu was przedstawię.

Powróćmy jednak do turystów.

37

Byli to grzeczni i sympatyczni ludzie. - Przyszli do mnie któregoś dnia i poprosili o wypożyczenie łodzi.

— Czemu nie, bierzcie — powiedziałem.

Mężczyzna siadł do wiosł, kobieta z synem usadowili się] na ławce.

IIIę byli to ludzie obyci z wodą, lecz jakież to problem! zrobić niewielką przejażdżkę?

—■ Nie odpływajcie za daleko — ostrzegłem. — Nie wiecie pewnie, że jezioro jest zakłete...

— Eee, nie wierzę w takie historie, — Mężczyzna machnął dłonią. — Damy sobie radę.

Popłynęli. Wrócili po godzinie, przywiązali łódź do pa-l lika i powędrowali do siebie.

Na drugi dzień pogoda się popsowała. Wiał wiatr. Po jeziorze szły niewielkie grzywy. Wichura przeginała pnie, szumiąc w koronach drzew.

W południe przyszedł ojciec z chłopakiem. Znowu dałem im łódź, lecz ostrzegłem i tym razem:

— W legendy możecie nie wierzyć, lecz spójrzcie, co się dzieje. Trzeba bardzo uważać...

— Panie, ja w partyzantce byłem — powiedział ze śmiechem mężczyzna. — Łódź przeprowadzę i, jeśli można, zatrzymam ją aż do jutra.

Zgodziłem się. Miałem przecież dwie inne łódki przycumowane w przystani.

Popłynęli z trudem. Widziałem jednak, że dotarli do cypla.

W nocy pogoda pogorszyła się jeszcze bardziej. Nam, tu4 tejszym, wcale to nie przeszkadzało i nie przeszkadza do dziś! Nie pierwszyczna to dla nas, a żyć trzeba i do tej naszej przyH rody się przyzwyczaić.

Moja żona Dorota wstała w pewnej chwili z łóżka, podeszła do tego oto okna i wpatrzyła się w dal.

— Chodź no tu, Janek — powiedziała z wahaniem. — III cyplu coś się dzieje.

— Cóż się może dzieć? - odpowiedziałem; - Z dalekf przścież nie widać.

38

•I

— Ale ognie jakieś latają — rzekła. - - To w tę, to z powrotem...

Chcąc nie chcąc wygramoliłem się z betów i poczłapałem do okna. Miałem za sobą ciężki poranny połów i' bardzo byłem zmęczony.

Zbliżyłem twarz do szyby.

— Zgaś światło — powiedziałem z zafrasowaniem. Coś tam rzeczywiście się działo. W mroku migwały ognie dwóch łuczyw.

Podjąłem błyskawiczną decyzję.

Ubrałem się, narzuciłem nieprzemakalną, długą kurtkę i gumiaki. Wybiegłem na deszcz.

— Uwważaj na siebie! — krzyknęła żona.

Do cypla jest niemały kawałek. Już w połowie drogi słyhać było stamtąd krzyki i nawoływania.

Puściłem się biegiem. Znałem doskonale teren, urodziłem się tu przecież i wychowałem.

— Co się stało? — spytałem zdyszany, docierając na miejsce.

Kobieta była przerażona.

— On... on jest tam! — krzyknęła wskazując dłonią wzburzone jezioro.

— Kto, u diabła?!

— Nasz syn... jest... tam!

Jej ,mąż, zwinąwszy dłonie w tubę, krzyczał rozpaczliwie:

— Grzegorz! Grze-e-e-gorz!!!

Złapałem go za ramiona i ryknąłem mu wprost do ucha:

— Spokój!

A kiedy zamilkł, spytałem:

— Gdzie jest?

— Zabrał łódź bez naszej zgody i popłynął. Krzyczymy, ale nie odpowiada. Taki sztorm!

Potrącili głowy, widziałem to wyraźnie. Przejąłem inicjatywę.

— Niech pani woła i pali tu ogień. A pan za mną!

— Ależ... — próbował oponować mężczyzna.

— Biegiem, bez gadaniu! — krzyknąłem głosem nie znoszącym sprzeciwu

40

W szaleńczym tempie wpadliśmy na przystań.

— Są dwie łodzie. Ja jedną, pan drugą. Szybko... Zakotłowało się wokół wiosł. Rozdzieliliśmy się. Mężczyzna krzyczał co chwile:

— . Grzego-o-o-orz!!!

Oddaliłem się od niego. Po naszym jeziorze wiatr potrafi wariować, ale znam trochę jego sztuczki.

Skierowałem łódź w stronę odległych szuwarów.

Wiosłowałem z piętnaście minut.

I wtedy usłyszałem głos chłopaka. Nie było czasu do stracenia. Płynąłem, ciągnąc wiosła ze wszystkich sił. Wreszcie znalazłem się w pobliżu. Zapaloną lampę uniosłem w górę.

Łódź była pusta, dziobem wbita w gęsty las tataraku.

Chłopak był w wodzie. Gruntować nie mógł, wyrwać łodzi z pułapki też nie. Widocznie chciał odbić się od dna i wypchnąć łódź na wolną przestrzeń. Nie udało mu się to. Wiatr był zbyt silny.

Widziałem jego twarz nad powierzchnią wody. Ostatkiem sił trzymał się burty.

— Jeszcze chwila! — krzyknąłem.

Doszedłem łodzią, przywarłem do tamtej. Fale tłukły o drewniane burty i przedzierały się z szumem przez roślinność.

Podąłem mu rękę. Zacząłem ciągnąć. Okazał się cięższy, niż przypuszczałem. Zaparłem się o ławkę. Chłopak był coraz wyżej.

Nagle uderzyła fala większa od innych, szarpnęła; straciłem równowagę i wraz z chłopakiem wpadłem do wody.

Szuwary są zdradliwe: krępują ruchy, tną dłonie, utrudniają ratunek.

Wokół czern, lampa też poszła za burtę...

— Gdzie jesteś?! — krzyknąłem.

— Tutaj, tutaj... — Głos był coraz słabszy. Łódź wyrwała mi się z ręki. Było źle.

Złapałem wreszcie chłopaka. Trzymając się tataraku chwyciłem go mocniej i nagle pod nogami poczułem jakiś twardy przedmiot. Oparłem się o niego i przyholowałem chłopaka do łodzi.

41

Po chwili Grzegorz był na pokładzie. Już i ja miałem skoczyć do środka, lecz — powodowany odruchem — podciągnąłem nogą ów przedmiot, który tak nam pomógł. A kto wie, czy nawet nie uratował życia.

Był to właśnie ten drewniany palik. Bardzo stary, jakimś cudem trzymał się dna.

Chłopaka odstawiłem do rodziców.

Nie posiadali się z radości.

— Ostrzegąłem was przecież — rzekłem odchodząc — że jezioro jest zakłete i trzeba bardzo uważać.

Nic na to nie odpowiedzieli.

Drewno wysuszyłem i trzymam. Jeżeli raz uratowało mi życie, to kiedy indziej może szczęście mi przynieść?

Prawdopodobnie łodzią, z której pochodzi, pływał po jeziorze duch tego lasu. Mieszkał w potężnym dębnie i pewnego razu postanowił..."

' — Co postanowił? — zapytał Michał.

— O tym dowiedzie się innym razem — powiedział pan Maszopa. — Spójrzcie: dopała się świeca, na dworze ciemno, a wstać trzeba wcześniej.

— Czy popłyniemy w te szuwary?

— Oczywiście. Jutro dam wam też zadanie, bardzo zresztą trudne, na następny dzień lub dwa.

Jeżeli uporacie się z nim, poznacie tajemnicę jeziora. Ale o tym — sza!

Zasnęli, nim jeszcze głowy znalazły się na poduszkach...

Rozdział VI

Jest po północy... Krzysztof samotnie wyrusza do lasu.

Promienie księżyca wpłynęły do pokoju i załaty go bladym światłem. Na ścianach położyły się cienie mebli, wazonu z kwiatami, lampy z ogromnym abażurem. Krzesła wyglądały jak bogato rzeźbione trony, stojące na rozwartych, lwich łapach.

Krzysztof zbudził się pod naporem głębokiej ciszy panującej w domu. Przyzwyczał się spać przy akompaniamencie warkotu, dobiegającego z warsztatu naprawczego, który znajdował się w pobliżu ich domu, i dalekich odgłosów pociągu walącego o szyny zaraz za mostem.

Najpierw spojrzął na sufit, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Dopiero po chwili do jego świadomości poczęły docierać obrazy z poprzedniego dnia.

Na oknie wisiała zasłona w ogromne kwadaty, których cienie ułożyły się na podłodze w drgający, żywy dywan.

W oddali szumiał las. Korony drzew, ledwie muskane wiatrem, poddawały mu się z sennym ziewaniem. Las czekał na jasny wybuch słonecznego dnia.

A gdyby tak pójść nad jezioro? — pomyślał nagle Krzysiek. Zobaczyć, jak wygląda nocą...

Pomysł był przedni, trzeba go jednak wprowadzić w życie w zupełnej tajemnicy.

Nie było to łatwe zważywszy, że pokój znajdował się na piętrze, gospodarze spali na dole, obok



drzwi zaś wyczywał Reks.

Michał leżał na brzuchu w skotłowanej pościeli. Nocą zazwyczaj szalał, zanim znalazł najdogodniejszą pozycję. Stąd

43

rano jego tapczan wyglądał jak pobojuwisko lub wysłużony poligon wojsk zmechanizowanych.

Reks położył się na boku, wyciągnawszy swe cielsko <— wraz z ogonem — na całą długość.

Oddychał miarowo, z sykiern wypuszczając powietrze przez nos. Czasem jęknął; może w, swoisty, psi sposób przeżywał wczorajsze spotkanie z kogutem i zieloną żabą?

Krzysztof ostrożnie siadł na łóżku. Wyciągając szyję spojrzął przez okno. Na dworze nie było znowu tak ciemno, jak wydawało się w pierwszej chwili.

Sięgnął po ubranie. W tym samym jednak momencie Reks przestał śnić, poruszył się i zastrzygł uszami.

—• Ciiii... — wyszeptał Krzysiek.

Uczynił to w złą godzinę. Pies, usłyszawszy znajomy głos, zerwał się na równe nogi, gotów do natychmiastowej akcji. Powachlował kilkakroć ogonem, rąbnął nim o szafę, aż głu-; che echo rozległo się w całym pokoju i zapewne w najbliższej okolicy. .

Michał, jak ryba, jednym skokiem przewrócił się na drugi bok, mrużąc coś w poduszkę.

— Niczego spokojnie nie można zrobić — mruknął przez zęby Krzysiek. — Leżeć!

Zaczął się ubierać. Łóżko skrzypnęło przy wstawaniu, jęknęła deska w podłodze.

Spodnie, koszula, sweter...

1

Zaplątało się sznurowadło przy tenisówkach, podniósł więc but do oczu i prawie po omacku rozwiązał supeł.

Uformował kołdrę w taki sposób, aby Michał, gdy się zbudzi, nie zauważył" jego nieobecności.

Na palcach podszedł do drzwi.

Nacisnął klamkę, która zgrzytnęła nie naoliwionymi częściami. Reks nosem rozpychał szparę w drzwiach, wyrażając tym swoje rosnące zniecierpliwienie. Chłopak przytrzymał go za grzbiet, aby pies z impetem nie runął po schodach.

Krok po kroku schodzili na dół. Krzysztof wstrzymywał oddech, nasłuchując. Żaden szmer jednak nie zakłócał ciszy.

Wydostali się W końcu na podwórku. Skradając się wzdłuż

44

ścian budynku ominęli kurnik i drewnię, by wkrótce znaleźć się na drodze.

Mogli wreszcie odetchnąć. Za nimi stał uśpiony dom i mc nie wskazywało na to, aby ktoś się obudził.

Zeszli nad brzeg jeziora.

Księżyc wisiał nad rozlewiskiem, po którym biegł do stop Kfżyńska drgająca, srebrzystą linią. Nieba nie przykrywała ani jedna chmurka.

Las czarną ścianą otaczał jezioro, kryjąc w mroku swoje tajemnice.

Chłopiec poczuł się nieswojo. Gałęzie drzew, stojących przy samym brzegu, długimi mackami sięgały wody. Czekwały, uspio- i ne, na poranny, ożywczy wiatr.

Zabudowania zginęły w ciemności. Chłopca otoczyła gęsta, j mroczna pustka, pełna głuchej ciszy.

Zdecydował się jednak pójść dalej.

Gwizdnął na psa, którego obecność dodawała otuchy, i ruszył brzegiem. Księżyc celował w niego swą błyszczącą szprychą, wraz z Krzyśkiem wędrując po obrzeżu jeziora.

Reks biegł cicho, nadstawiając uszu, zważając na każdy dźwięk.

Szkoda, że nie zabrałem latarki, pomyślał nagle Krzysztof. Usiadł na zwałonym pniu i podparł głowę rękoma. Starał się nie odwracać, choć wciąż czuł, że za plecami dziać się mogą niestworzone

rzeczy. Pamiętał legendę o nieustraszonym człowieku, który dotarł nocą do skarbu tylko dzięki temu, że nie odwrócił się ani razu, mimo iż straszły go nie lada potwory, spadające głazy, gromy i błyskawice.

Aż się wzdrygnął na wspomnienie tej opowieści. Postanowił dotrzeć na cypel z żółtą plażą. To przecież tam przed laty przebywała rodzina z chłopcem, którego uratował rybak Maszopa. Stamtąd podczas wichury wyruszył ów chłopak łodzią w nieznaną, goniąc pewno swe kilkunastoletnie marzenia o wielkiej przygodzie...

Krzysiek wszedł między drzewa.

Maszerować było teraz o wiele trudniej. Zahaczał ubraniem o krzewy, potykał się o wyboje i korzenie, niekiedy de-

46  
likatna pajęczyna, upleciona między gałęziami, otulała jego twarz. Otrząsał się wtedy ze wstrętem, zdzierając dłońmi niteczki i wichrząc włosy, w które mógł się wplątać pająk.

Brnął po omacku, starając się trzymać jak najbliżej jeziora.

Nagle drgnął.

Zatrzymał się z jedną nogą uniesioną, gotową do następnego kroku. Odniósł wrażenie, że w tej głuszy nie jest sam. Ciarki przebiegły mu po plecach.

Reksa również coś tknęło. Pobiegł trochę do przodu, wrócił i stanął, chowając ogon pod siebie. Chłopiec przełknął ślinę. Żałował już, że opuścił przytulny pokój i wygodne łóżko. Ogarnął go strach, który w tej scenerii miał oczy jak młyńskie koła. Albo jeszcze większe.

Wstrzymał oddech. Próbował wzrokiem przeszyć ciemność, lecz nic nie udało mu się dostrzec. Z lewej strony, między drzewami, migotała tafla jeziora.

Jest tu kto? — chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle i załamał się na podobieństwo dziecioięego pisku.

Zresztą i tak nie otrzymałby żadnej odpowiedzi.

Do cypla nie było już daleko, nie honor więc się wycofywać. Krzysztof runął przed siebie.

Biegł kilkaset metrów, pragnąc jak najszybciej znaleźć się przynajmniej na odkrytym terenie plaży.

Potknął się o coś<sup>7</sup> wyciągnął jak długi, podniósł się i nie czując nawet bólu w kolanie gnał dalej.

Przystanął przy wysokiej sośnie. Oparł się plecami o pień i słuchał. Reks obok wywalił jęzor i ciężko dyszał.

— Cicho — powiedział chłopak.

Pies mlasnął i zaszurał ogonem po ściółce.

Daleko, w kierunku, z którego przybiegli, dał się słyszeć trzask gałęzi. Jeden, potem drugi.

Na ułamek sekundy mignęło jakieś światelko.

Nie zwlekając, Krzysztof ruszył przed siebie. Wkrótce wypadł na zalany światłem księżycy cypel.

Skrył się w cieniu, wśród krzewów, obok dawno wygasłego ogniska.

47

Mógł stamtąd obserwować polankę, nie zdradzając swojej obecności.

— Leżeć! — polecił psu, któremu udzielił się widocznie nastrój dramatycznego oczekiwania, bo bez wahania spełnił rozkaz.

W razie niebezpieczeństwa rzucam się do wody, pomyślał chłopak, widząc się w wyobraźni, jak zamaszystymi ruchami płynie w kierunku przeciwległego brzegu. Co jednak dalej? — przyszła chłodna refleksja, albowiem Krzysiek umiał pływać, to prawda, lecz na krótkich dystansach.

Nagle tuż przy skraju lasu coś się zaczęło dziać. Nie można było jeszcze ocenić, co to takiego, ale jedno było pewne: ktoś biegł w jego stronę.

Krzysztof przytknął twarz do ziemi. Dłonią namacał chłodną rękojeść harcerskiej finki, przypiętej do pasa.

Trawa odurzająco pachniała.,.

Rozdział VII

Energiczna akcja leśniczego. Nóż błyska w świetle latarki.

Kilka dni wcześniej leśniczy, dokonując obchodu lasu, natknął się na wnyki, sprytnie ukryte przez kłusownika. Nie ruszając prymitywnie wykonanych, choć zapewne skutecznych urządzeń, postanowił położyć temu kres.

Codziennie późnym wieczorem wyruszał do lasu. Zdejmował ze ściany starą, znakomicie utrzymaną śrutówkę, zarzucał ją na ramię i wędrował ku zagrożonym miejscom. O wnykach powiadomił całą służbę leśną. Gajowi więc też spędzali noce w lesie.

Bezskutecznie jednak. Nikt nie wchodził im w drogę — kłusownik był ostrożny, a może ktoś go ostrzegł...

Gdzieś około wpół do dwunastej w nocy leśniczy znalazł się kilkaset metrów od miejsca założenia pułapki na zwierzęta. Przyciął się za sągiem drewna, otulił ciepłą kurtką — lipcowa noc potrafi być chłodna — i zapadł jakby w odurzenie. Żaden jednak, najmniejszy nawet szmer nie uszedłby jego uwagi. Wszak znał ten las od kilkudziesięciu lat, jego nocne szmery i odgłosy. Bez wahania odróżniał chód zwierzęcia od zawsze niezdarnego poruszania się człowieka.

Minęła godzina uporczywego wyczekiwania. Potem jeszcze trochę.

Wtem jakiś obcy dźwięk przerwał leśną ciszę. Leśniczy sprężył się, zamienił cały w słuch.

Od jeziora dobiegł jego uszu szelest. To musiał być tylko człowiek — starał się iść ostrożnie, uważnie, stawał nogi z namysłem.

W tym rejonie nie było wiele domostw. Zagroda Maszo-

^ — ■ Wakacje

49

pów, o kilka kilometrów dalej skryta w głębokiej gęstwinie leśniczówka, na południe zaś od głównej drogi rozłożyła się niewielka wioska.

Kłusownik mógł być jej mieszkańcem, tego jednak do momentu złapania go na gorącym uczynku nie można było stwierdzić. Żadne zresztą ślady do wioski nie prowadziły.

A zatem kto?

Leśniczy wiedział, kiedy letnicy zjeżdżają nad jezioro i w których miejscach rozbijają namioty.

Cały ten rejon uznany został za strefę ciszy, niechętnie więc dawano zgodę na urządzenie obozowiska. Obcych latem było tu zatem niewiele.

Trzasnęły gałęzie. Człowiek skradał się w stronę zarośli, w których poblizu ustawione były wnyki. Czyżby dzisiaj? Coś mi na to wygląda, pomyślał leśniczy.

Podniósł się ze swego stanowiska i ruszył w kierunku tych odgłosów. Zdjął broń z ramienia i niósł ją w gotowości do strzału. Z przestępcami nie było żartów.

Szedł chyłkiem za szelestem. Od czasu do czasu przystawał sprawdzając, czy przeciwnik nie usłyszał go i nie przyciął się gdzieś w gęstwinie. Tamten jednak posuwał się dalej do przodu.

W pewnej jednak chwili pod butem leśniczego trzasnęła gałązka. Zamarł. Również kłusownik przestał się poruszać. Obaj nasłuchiwali w napięciu.

Trzeba go sprowokować, pomyślał leśniczy. Przypuszczał, że tamten człowiek, jak czyni się to w mroku zupełnie bezwiednie, ma wzrok skierowany w jego stronę — w kierunku, skąd dobiega niepokojący dźwięk.

Nacisnął więc przycisk latarki i na moment wyzwolił silny strumień światła.

Kłusownik rzucił się do ucieczki. Pędził do jeziora.

Dokąd biegnie? — pomyślał leśniczy. To przecież ślepy zaułek. Z cypla prowadzi już droga tylko przez wodę. A może chce rzucić się w pław?

Przyśpieszył kroku. Nie wątpił już, że człowiek, którego wytropił, jest śmiertelnie przestraszony.

Biegł nie przestrzegając środków ostrożności. Nie próbował nawet zmylić pogoni.

50

— Doświadczony kłusownik tak by się nie zachowywał — I mruknął leśniczy do siebie. Podczas długich lat życia w lesie widział jednak już niejedno ludzkie dziwactwo, które na tle przyrody szczególnie ostro się rysowało.

Szedł krok za krokiem. Stawał, nasłuchując, I znów posuwał się trochę do przodu. Nagle wszystko ucichło. Człowiek gdzieś się przyciął.

Trzeba zachować szczególną ostrożność, postanowił leśniczy. Jeśli kłusownik zorientuje się, że nie

ma już możliwość ucieczki, może zechcieć przebić się w tę stronę... Stał za drzewem i słuchał. Zaden obcy dźwięk nie mącił spokoju lasu. I to było najbardziej niebezpieczne. Gdyby znalazł się tu chociaż jeden z gajowych! We dwóch łatwiej by się uporali z przeciwnikiem. A gdyby tak wezwać strzałem pomocy? Nie wiadomo jednak, czy przed upływem trzydziestu minut ktoś dobiegłby z inego rejonu lasu. Wówczas na wszystko byłoby za późno. Na leżało więc podjąć walkę bez niczyjego wsparcia.

Jak kot przesunął się do następnego drzewa, potem do następnego, bezszelestnie stawiając kroki. W dali błyszczało jezioro, księżyc zaś świecił prosto w oczy leśniczego.

Był już na skraju polany.

Ukryty w krzewach i oparty o drzewo skierował broń w stronę cypla.

Czekał kilka minut w nadziei, że usłyszy coś, co pomoże mu w orientacji. Wszak przeciwnik nie mógł ująć inną drogą! Musiał być gdzieś tutaj. Może w tej kępie drzew? Albo wśród krzewów?

Raptem od strony gęstwiny rozległo się przytłumione warczenie psa.

A więc tam!

Nie poruszając się leśniczy krzyknął:

— Służba leśna! Wychodzić na otwarty teren! I ani jednego niepotrzebnego ruchu!

52

Odpowiedziała mu cisza, przerywana jedynie psim poburzeniem.

Zapalił latarkę. Mocny strumień światła oplótł kępę drzew. Ktoś tam był.

— Tu służba leśna! — powtórzył leśniczy. — Wychodzić natychmiast! W przeciwnym razie będę strzelał!...

Leżący człowiek trzymał w dłoni długi nóż, którego ostrze złowrogo błysnęło.

Nie poruszał się jednak nadal.

Nadleśniczy, sprężony jak do skoku, wkroczył na polanę.

Lufa śrutówki skierowana była na leżącego kłusownika.

— Liczę do trzech — krzyknął. — Raz, dwa...

Rozdział VIII

iNiechlutony powrót. Wyprawa do wsi. Wymar-1 lej? Nowy znajomy.

Tymczasem w domu Maszopów wybuchła panika.

Wszczął ją Michał jeszcze o świcie stwierdzając, że znak-i nął jego brat razem z psem. Z Tomotał do dziewcząt, narobił wrzasku, wszystkich mieszkańców błyskawicznie postawił na nogi.

Sam zaś odział się jak najszybciej i — nie myśląc nawet o myciu — zbiegł po schodach.

— Dokąd to? — wychyliwszy się z okna zapytała pani Ma-; szopowa, lecz Michał, nie zatrzymując się w wyciągniętym ga-J lopie, odwrócił się tylko i krzyknął:

— Lecę szukać! — i po sekundzie zniknął wszystkim. z oczu. Nawet z daleka widzieli kłęb kłm, przesuający się drogą z szybkością rajdowego motocykla.

— Zwariowali! — Asia ziewnęła szeroko i jeszcze przez kilka minut postanowiła pozostać w łóżku.

— A może coś się stało? — Teraz Ola nabierała werwy. — • Jakież błota, złodzieje albo co...

— To niesłychane — spod poduszki, którą Asia nałożyła\* sobie na głowę, rozległ się jej przytłumiony głos — żeby na-^ wet w czasie' wakacji nie można się było porządnie wyspać.

— Przecież już nie śpisz — trafnie zauważyła Ola.

— Michał dał się tak przeraźliwie, że zbudził chyba wszy-i stkie ryby w jeziorze. Jak mogłam spać? — Asia usiadła i pró-; bowała ułożyć słomianą fryzurę. — Wstaję. Ale jeżeli jutro...;

— Jutro będzie futro, koleżanko.

— Nie przerywaj, bo zaraz rzucę chodakiem. Jeżeli więc

54

jutro znów ktoś się będzie wygłupiać, pokroję go w plasterki, nosolę, przełożę cebulką i uduszę na miękko. Jasne?

— Mniam, mniam. — Ola pogładziła się po brzuchu. — Smacznie opowiadasz.

— Bo to jest bezczelność!

— Czego chcesz ode mnie? Trzeba spytać Krzyśka, jak wróci, co się stało. Idę na dwór.

— Poczekalabyś, człowieku...

Wyszły razem. Udały się nad jezioro, chwilę w milczeniu spoglądały na przeciwległy brzeg, jakby w nadziei, że tam właśnie, na wzgórzu, zobaczą Krzyśka z psem. Niestety, jezioro stało ciche, budzące się ospale do życia po wczorajszej gorączce.

Nagle Ola, która odeszła kawałek w stronę lasu, krzyknęła, wskazując wyciągniętą ręką na daleki wylot drogi:

— Patrz!

Oczom dziewcząt ukazał się osobliwy kondukt.

Na jego czele, choć już bez poprzedniego animuszu, kroczył Michał, ciągnięty przez uwiązanego na sznurku Reksa. Pies zachowywał się zupełnie normalnie, trzymał nos tuż przy ziemi i interesowało go chyba wyłącznie to, co sam uznał za godne uwagi.

Za nimi maszerował Krzysiek. Z niewiadomych powodów powłóczył nogami, wyglądał na zmęczonego i nieszczęśliwego.

Co innego warte było odnotowania. Pochód zamykał wysoki mężczyzna w zielonej kurtce, dźwigający strzelbę na ramieniu. Wszyscy razem kierowali się ku zagrodzie Maszopów.

Michał, przywołując dziewczęta, pokręcił ramieniem jak wiatrak. Niewiele myśląc Asia i Ola dołączyły do wędrowców.

— Witajcie, Maszopa — rzekł człowiek ze strzelbą. — Przyprowadziłem wam nie byle kogo.

Maszopa ze zdziwieniem przyglądał się gromadce „swoich” dzieci. Ukradkiem zajrzał również za ich plecy: może tam skrył się ten „nie byle jaki” osobnik? Nikt obcy jednak nie znajdował się w tym nader doborowym towarzystwie.

55

— No? — spytał.

— Złapałem kłusownika — rzekł leśniczy. — Polowałem 1 na niego już ładnych parę dni. Ale dzisiaj w nocy miałem wię- jcej szczęścia. Udało mi się wpędzić go w pułapkę...

— Gdzie go masz, leśniczy? — Maszopa był zdezorientowany i śmiesznie mrugał oczyma.

— Jakże to? — Leśniczy odłożył fuzję i wybuchnął śmiechem. — Nie widzicie?

Krzysiek zwiesił głowę, choć najchętniej zagrzebałby się j' w piasku. Spode łba spoglądał to na jednego, to na drugiego. Co za żywot, pomyślał. Że też mnie muszą przydarzać się ta-J kie historie. Człowieka wyśmieją, palcami będą wytykać, przy- j pominąć przez sto lat, jak wpadłem w sidła zastawione na kłusownika...

— Ale, ale, może poczęstowalibyście gości jakąś herbatą? — Leśniczy mrugnął do Krzyśka. — Mamy powody do zmę- j czenia, prawda, Krzysztof?

I opowiedział o swej przygodzie z „kłusownikiem”, o cało-i nocnych czatach w leśnych ostępach i nieudanych dotychczas! próbach złapania przestępcy.

— Słyszę szmery — mówił. — Wokoło noc, nic nie widać, j Co prawda wzrok przyzwyczył się już do ciemności, a uszyj mam jeszcze cieniutkie jak żyłki przed goleniem. W oddali,] czuję, ktoś się skrada. Zdąza na cypel. Na ułamek sekundy! zapalam latarkę...

— I dopiero to mnie naprawdę przestraszyło. Rzuciłem siej przed siebie na oślepe — uzupełnił Krzysiek. — Zaszylem się w chaszczach, a Reksowi kazałem być cicho. Wy też byście się schowali — zwrócił się do przyjaciół, jakby uprzedzając niej wiadomo jakie pretensje.

— ■ Więc pytam: „Kto tam jest?”, a on ani zipnie. Wiem, że] siedzi w krzewach, wreszcie słyszę warczenie psa. Błysnęło również ostrze noża.

— Coś ty? — Michał ze zdumienia otworzył usta. — Chciał leś się rzucić na leśniczego?

— Eee tam. — Krzysztof ze zniecierpliwieniem wzrusza ramionami.

56

— Wreszcie robię krok, potem drugi w stronę kryjówki kłusownika — ciągnie leśniczy. — Armatę, z którą w lesie się nie rozstaje, przygotowałem do strzału. „Ktoś ty?” — pytam wreszcie. A on co

mi odpowiada? „To ja...” JA! Jakbyśmy się znali od stu lat. Słucham: głosik, hm, hm, prawie męski i — mogę uczciwie powiedzieć — nieprzeciętnie odważny. Tak, tak, niemal partyzancka brawura zabrzmiała w tym „to ja...” Niebezpieczny, myślę sobie, przeciwnik. Bardzo niebezpieczny, trzeba uważać...

— ■ Ładne rzeczy. — Ola z niedowierzaniem spojrzała na Krzyśka. — Partyzant, no, no...

— ■ Wyłaż, mówię. Przez chwilę trwa milczenie, aż wreszcie ukazuje mi się ta oto postać. — Leśniczy wskazał na winowajcę. — Wyszedł z krzaków skurczony, zgarbiony jak Indianin, z błyszczącą finką w prawicy. Jeszcze chwila, a sam rzuciłbym się do panicznej ucieczki — zakpił. — Obok niego, czołgając się na brzuchu, a więc równie dzielnie i brawurowo, wydostał się z zarośli ten wspaniały pies zwany Reksem. Skierowałem na nich snop światła latarki. On wtedy...

— Ja wtedy, żeby pan leśniczy zgasił, bo razi — włączył się chłopak.

— Natychmiast też wymieniliśmy uprzejmości i adresy — kontynuował leśniczy. — Dokonałiśmy wzajemnej prezentacji jak na jakimś przyjęciu, a potem, żeby już nie było żadnych wątpliwości w tej sprawie, powędrowaliśmy do leśniczówki.

— Byłeś tam? — Michał aż podskoczył.

— Słyszysz chyba...

— I co?

— Potem ci powiem.

— Dość szybko zorientowałem się, że nie on jest kłusownikiem, na którego polujemy. Nakarmiłem go, owszem, apetyt to on ma: wypił baniak mleka, zjadł ser, jajecznicę i pół bochenka chleba, aż wreszcie...

Leśniczy na chwilę zawiesił głos.

— Co „wreszcie”? — spytała Asia.

— Zasnął na krześle.

57

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Krzysiek zrobił się purpu- rowy z wściekłości.

— Dobry jesteś, braciszku — wystękał Michał. — Nie'i masz już gdzie spać?

— Kiedy wstał dzień, postanowiłem ich, Krzysztofa i psa,| przyprowadzić, żeby znowu nie przytrafiła się im jakaś przy-goda. Dlatego jesteśmy. Pozwalam więc sobie oddać wam, panie Maszopa, udowodnioną własność. Przyznajecie się do niej,] gospodarzu?

Maszopa uderzył dłonią w stół i zaśmiał się tubalnie.

— Zaprosi nas pan do leśniczówki? — spytała wścibska Ola.

— Z przyjemnością. Wolałbym jednak umówić się na jakąś określoną godzinę, a nie wyciągać was po kolei z lasu...

Tego dnia jednak nie udało im się złożyć wizyty w leśniczówce, albowiem pogromca Krzyśka-partyzanta musiał jeszcze dokonać inspekcji innego rewiru.

— Będę przechodził tędy wieczorem, więc wpadnę wai| pozdrowić, zgoda? — rzekł zakładając broń na ramię.

Tego dnia mieli jednak w planie pływanię łodzią. Mimo trudnej, jak widzieliśmy, sytuacji jednego z człon-ków załogi postanowili nie zmieniać programu.

— Oczywiście, że płyniemy — rzekł Maszopa. Otworzyło się przed nimi wielkie, przepiękne jezioro. Krzj

sztof z Asią zasiedli do wiosł, rybak postanowił sterować, a| wkrótce przekazał rumpel Michałowi. Michał, jak wspomnieliśmy, miewał na ogół zwariowan pomysły, choć nie tylko takie przychodziły mu do głowy. Totej ilekroć chłopak wygłaszał swoją propozycję zorganizowani! czegoś, wszyscy jak na komendę wykrzykiwali ze zdumieniem „Chyba oszalałeś!”

— Coś ty! — powiedziała Aśka.

— To jest dobry pomysł — upierał się Michał. — Kto wi czy nie przydadzą nam się później.

58

— Do czego?

— Nie wiem jeszcze. Zawsze zdarzy się coś, co pokrzyżu- 1 je nam różne szyki albo...

— Możemy to zrobić, nic się przecież nie stanie. — Ola j wystąpiła nagle jako sojusznik Michała.

— Warto spróbować. 1 Ostatecznie nic nas to nie kosztuje.

— Pójdiesz? — zapytała Asia. ■-

— Pewnie.

— Jak chcesz.

— Wy jednak musicie zrobić resztę — oznajmił Michał.

— Idę z tobą — zdeklarowała się Ola. — Weźmiemy Rek-sa? Poprowadzi nas najkrótszą drogą. Maszerowali dziarsko w stronę wsi.

Co prawda nie znali jeszcze dokładnie drogi, wystarczyło jednak trzymać się duktu, a następnie — gdzieś przy trzech roślących brzożach — należało skrócić w prawo.

Przed domami nie zauważyli nikogo.

Było pusto, tylko gdzieś pies zaszczekał, zanosząc się chrapliwym ujadaniem.

Jakby wymiotło nagle wszystkich mieszkańców wioski, którzy — umykając przed potopem lub wybuchem wulkanu — umknęli w niewiadomym kierunku.

Przeszli kawał drogi, nie napotkawszy zaś nikogo, postanowili wrócić. Zagląдали w głąb podwórka, płosząc stadka kur i kaczek.

— Wymarła wioska — szepnęła Ola. — Pustki.

— Aaaale — bąknął Michał machnąwszy ręką, lecz zrobiło mu się nieswojo.

Nie mógł jednak przy dziewczynie okazać najmniejszego wahania, a poza tym nie miał ochoty na powrót do domu bez pomyślnych wyników eskapady. Wyśmiano by go, a przecież nikt tego nie lubi. Michał zaś szczególnie, taką już miał naturę

Weszli do jakiegoś ogrodu. Rosła tu wysoka trawa, dale; zaś, wśród wysokich drzew, jawiły się różnokolorowe kwiaty. Przed budynkiem stał wóz ze smętnie opuszczonym dyszlem.

Ani żywej duszy.

— Może spróbujemy zapukać do którejś chaty? — spytali

60

Ola. — Wygląda tak, jakby wszyscy nagle poszli spać. Przecież nie uciekli zostawiając cały dobytek! I zwierzęta.

— Jaikie zwierzęta?

— No, kury, kaczki i psa.

— Pewnie, że zapukamy. Ale do której?

— Popatrz. Tamten dom wygląda najlepiej. Może dlatego, że ma takie jasne, świeżo wymalowane ściany. Idziemy?

Michał pchnął furtkę, która zaskrzypiała głębokim basem.

Nim jednak doszli do drzwi, aby pukaniem spróbować wywabić mieszkańca tego domu, otworzyły się one z łoskotem.

Stał w nich mężczyzna niewysokiego wzrostu, z gęstą czupryną siwych włosów. Stał tak przez chwilę, jedną ręką oparty o framugę, spoglądał bacznie na dzieci, wreszcie powiedział:

— Jeszcze was tutaj nie widziałem. Chcecie mleka? Albo jabłek?

— Dzień dobry. — Ola dygnęła.

—■ ...bry — Michał zgiął się w pasie, co nie wyglądało na ukłon, przypominało raczej zamykanie się scyzoryka. — Pan tu mieszka?

— Ładna chata, co? — Twarz mężczyzny rozświetlił uśmiech, który pogłębił gęstą siatkę zmarszczek na jego policzkach. — Mieszkam, mieszkam. A wam czego trzeba," heT

Obserwowałem was i widzę, że chodzicie po Wsi w tę i z powrotem...

— Szukamy dzieci — rzekła Ola. — Dzieci?

—■ Dzieci z wioski — uzupełnił Michał. — Nikogo dotychczas nie spotkałiśmy. Coś pusto tutaj...

— Wszyscy na polach. Pracują, nie wiedzieliście o tym? Jesteście z miasta, a tam są inne obyczaje.

— Szliśmy przez las...

— Od Maszopów?

— Tam mieszkamy.

— Aaaa! To witam was serdecznie. Pan Maszopa to zacny, mądry człowiek. Jesteście jego krewnymi?

— Nie —• powiedział Michał. —. Przyjechaliśmy na waka-  
61

cje. Będziemy u niego'miesiąc. Rodzice znali się już wcześniej J a tu jest tak pięknie...

— Cóż więc z tymi dziećmi? — spytał mężczyzna. — Szukacie ich, po co?

— Robimy dziś nad jeziorem harcerskie ognisko. Będzie! leśniczy i chcieliśmy zaprosić dzieci, żeby opowiedzieć im o naszym mieście.

— Zaprowadzę was do nich, dobrze? Ale pod jednym warunkiem... — Mężczyzna chrząknął.

Przez chwilę trwała cisza. Przerwał ją Michał:

— Niech pan powie. Śmiało!

— Śmiało, powiadasz? Więc dobrze: mnie również zaprosicie na to ognisko. Nad naszym jeziorem jest strefa ciszy,; harcerzy nigdy tu nie ma. Obozów nie rozbijają; nie wolno się myć ani huczeć silnikami łodzi, ani garnków szorować. Niei przyjeżdżają więc. A szkoda. Dawno harcerzy nie widziałem.] Siedzimy tu na odludziu, tak że nawet szlak ich wycieczek] omija naszą wieś...

—■ Proszę przyjść — powiedziała Ola. — Siądziemy sobie nad wodą, a ogień będzie się palił...

— ...kaszubski, cenny ogień — dorzucił Michał.

— Dobrze mówisz —■ rzekł mężczyzna. — Podobacie mi się. Idziemy.

Do pól nie było daleko. Doszli tam w dwadzieścia minuta Okazało się też, że bez pomocy swego przewodnika niczego by nie wskórali.

—■ Walikowa! —■ krzyknął mężczyzna. — Gdzie wasze dzieł ciska?

j

— A, tam. Robią. — Kobieta pokazała dłonią.

— Dobrze. Ale wieczorem pójdą nad jezioro.

— A po co?

—• Ognisko będzie harcerskie. Wszystkie dzieci mają być jasne?

— Panie Nowicki, a czy to potrzebne?

— Potrzebne, i pani Walikowa. Nauczą się. czegoś, poznają nowych kolegów, a może i zaśpiewają nasze kaszubskie pki senki. I niech powiedzą innym dzieciom. Ale szybko. Wieczór

S2

się zbliża, a moi goście mają jeszcze huk roboty z przygotowaniem ogniska. To jak będzie?

— Będzie, panie Nowicki. Jak pan mówi, że trzeba, to trzeba. Fra-a-aneek! Mary-y-ysia! Ja-a-aneek!

— krzyczała kobieta. — Dawajcie tutaj!

—■ Wracajcie do siebie — rzekł pan Nowicki do Michała i Oli — i serdecznie pozdrówcie waszego gospodarza. Powiedzcie też, że przyjdę na ognisko. Do zobaczenia.

Ola i Michał biegiem puścili się drogą powrotną. Nie posiadali się z radości.

Rozdział IX

Artystyczne układanie stosu. Legenda jeziora. Trudne zadanie.

W wyznaczonym przez leśniczego miejscu, z dala od drzew i krzewów, nad samym brzegiem jeziora, Asia i Krzysztof przygotowali stos ogniskowy. Najpierw jednak zebrali się na naradę produkcyjną, aby podjąć decyzję co do typu ogniska.

Jest však wiele rodzajów ustawiania stosu. Należy też i wybrać odpowiednie drewno: czy ma ono palić się długo, czyj też błyszczeć wspaniałym, wysokim płomieniem, rozsiewającym wokół iskry.

— Znajdziemy w okolicy wiele drewna sosnowego — rzekł Krzysztof. — Daje ono czysty płomień, a nie dymi, jak na i



przykład brzoza.

— Słyszałam — dodała Asia —■ że doskonale nadaje się do! ogniska drewno świerkowe.

— Przyniesiemy więc i takie, i takie. Możemy też wzmo-] cnić ognisko polanami dębowymi, jeżeli je znajdziemy. Prze-] de wszystkim jednak zbierzmy gałęzie sosny i świerka.

Kiedyś, przed wiekami, wśród ostępów puszczy i lasów przy ognisku czuwali nocą wartownicy pilnujący dobytku rycerzy. Podobnie pasterze strzegli przy ognisku swego stada, chroniąc] je przed dzikimi zwierzętami. Ogniska takie musiały dawać wiele ciepła, palić się długo i równomiernie, by można było! przy nich i czuwać, i wypoczywać.

Inaczej natomiast układa się ogniska służące wieczornemu] spotkaniu przyjaciół. Winny się one palić płomieniem jasnym,; wysokim, skrzącym się wesoło. Nie wystarczy bowiem — jara często robią to ci, którzy nie znają się na rzeczy — położyć na ziemi górę suchego chrustu, wetknąć w nią papier i zal

64

palić. Jeśli ktoś tak czyni, jest to dowód, że nigdy nie był na prawdziwym, harcerskim ognisku, którego tradycje wywodzą się z dawien dawna.

Staneła wreszcie „pagoda”. Dzieci przygotowały polana od długich po coraz krótsze. Najpierw położono na ziemi, równolegle, dwa największe, na nich mniejsze, i tak coraz wyżej i wyżej.

Utworzył się w ten sposób stos ogniskowy w kształcie stożka o podstawie kwadratowej. Potem włożono do środka odpowiednio przygotowaną rozpalkę — igliwie, mech i korę brzożową. Papier naturalnie nie wchodził w rachubę.

—• Powinniśmy zapalić bez użycia zapalek — powiedział Krzysztof, choć jeszcze nigdy nie rozniecał ognia za pomocą hubki i krzesiwa. — Może nam się to nie udać. Zrobimy więc tak...

I podzielił się z Asią swoim pomysłem.

Wieczorem nasi przyjaciele ubrali się w harcerskie mundurki, które na wszelki wypadek wzięli z domu. Taki „wszelki wypadek” właśnie się nadarzał —• trudno byłoby bowiem prowadzić harcerskie ognisko bez koniecznej ku temu oprawy.

— Michał, ty zawsze musisz się ubrać jakoś dziwacznie — z wyrzutem powiedział Krzysiek. —■ Chusty nie wiąże się w ten sposób. Trzeba włożyć ją pod kołnierz i dopiero wówczas wciągnąć ściągacz...

Poszli nad jezioro.

Nie było tam jeszcze nikogo, choć leśniczy przybył już do Maszopów. Dzieci z wioski i pan Nowicki mieli zjawić się lada chwila.

Najpierw przyszły dzieci. Otoczyły wysoki stos, przyglądając się nieśmiało harcerskim mundurkom. Mniejsze chowały się za plecy starszych. Milczały.

—■ Siadajcie —• powiedziała Asia i wskazała ułożone w pobliżu belki. — Będzie wam wygodnie. Najstarszy chłopak, pociągając niepewnie nosem, zasiadł na wskazanym miejscu. Odwrócił się i — widząc wahanie swoich — powiedział:

— No!

5 — Wakacje...

65

— Przyjdzie pan Nowicki? — spytał Michał. — Poznaliśmy go dzisiaj we wsi. Bardzo miły człowiek.

— Tak —■ rzekła dziewczynka, której fryzurę stanowiło j mnóstwo maleńkich warkoczyków. —■ Najpierw poszedł do Ma- I szopy. Tam pewnie gadają. A co tu będzie?

— Zobaczycie — powiedział Krzysztof. — Jak ci na imię? i

— Basia.

— To są moi przyjaciele. Siostry Ola i Asia, a to Michał... ]

— Jestem jego bratem! . I

— Przyjechaliśmy na wakacje.

—■ Na wakacje w mundurkach? —• zapytał któryś z od- I ważniejszych. — Kazali wam czy co?

— Wzięliśmy sami. Jesteśmy harcerzami, więc zawsze ma- ; my je pod ręką.

—• Na szczególne okazje — dorzuciła Ola.  
— A jaka dzisiaj okazja? — spytał chłopak w krótkich spodenkach z naszytymi na nie kolorowymi motylami.  
— Złapanie kłusownika — wyrwał się Michał.  
— Kto złapał? — zainteresował się któryś.  
— Leśniczy. — Michał zaśmiał się, spoglądając na brata- 1 -partyzanta. — Dzisiaj w nocy.  
— Gdzie?  
— Podobno na cyplu przy plaży. Siedział w krzakach j i trzymał nóż.  
Krzysztof nadał się jak balon.  
—> Nie słuchajcie go —■ powiedział. —• Zawsze wygaduje j jakieś głupstwa.  
— Idą — szepnęła Asia. -  
Zbliżyły się ku nim cztery osoby: Maszopowie, leśniczy \ i pan Nowicki.  
— Michał i Ola — zakomenderował Krzysiek — pędźcie 1 do domu po ogień!  
Goście zasiedli na honorowym miejscu.  
Nikt się nie odzywał. Mrok skradał się już od lasu, pnie i drzew spowijała ciemność.  
Wreszcie od domu Maszopów oderwał się niewielki ognik. I To Michał i Ola nieśli zapaloną pochodnię.

66

Wszystkie głowy obróciły się w tę stronę — a płomyk i stawał się coraz większy i pełniejszy.  
Krzysztof wstał i powiedział:  
— Witam zgromadzonych na naszym pierwszym ognisku. | Jest taki harcerski zwyczaj, aby ognisko, bez pomocy zapalek, j zapalał gość honorowy. Prosimy, aby dokonał tego pan leśniczy, który..  
— ...kogoś dzisiaj złapał na cyplu — wyrwała się dziewczyna z warkoczykami.  
— Ciii — syknęła Asia.  
—■ Proponuję, żeby razem z leśniczym zapalił Nowicki — włączył się Maszopa. —■ Jesteśmy nad jeziorem, a on jest prze- i cięż marynarzem, chociaż morskim.  
— Marynarz? — Michał nachylił się do Oli. — Tutaj, w tych lasach?'  
— Zapraszam więc pana leśniczego i pana Nowickiego do ; zapalenia ogniska — pompatycznie rzekł Krzysztof.  
Możemy między nami powiedzieć, że po raz pierwszy prowadził on harcerskie ognisko, nadrabiał więc miną, ale aż cały dygotał ze zdenerwowania.  
Buchnął płomień.

Najpierw zajęła się podpałka dotknięta pochodnią. Jęzory jasnego, wesołego ognia wyrwały się z ułożonych w stos bierwion, wymykały na wolność, strzelały w górę. Po chwili objęły całą pagodę, a jej konstrukcja poczęła palić się coraz żywszym, równiejszym płomieniem. ..  
— „Płonie ognisko i szumią knieje...” —■ nieśmiało zaintonowała Asia.  
Popłynęła ta piękna pieśń o polskich kniejach, rycerzach i obrońcach granic. Do chóru włączyli się starsi, pamiętający słowa z lat swojej młodości.  
A iskry ulatywały w niebo, jakby unosząc w górę marzenia ludzi, którzy zgromadzili się wokół ogniska.

68

— Dobrze, że tu jesteście, dzieciaki — rzekł leśniczy. — Możemy podziękować za to naszym przyjaciom z Gdańska. Nigdy nie zbieramy się razem, pracujecie w polu z rodzicami, pomagacie w domu, a po wakacjach siedzicie nad książką. Zaśpiewajcie naszym gościom jakąś starą, kaszubską piosenkę.  
Dzieci spoglądały na siebie spod czupryn. Milczały onieśmielone. Wreszcie odezwała się Basia:  
— Janek zaśpiewa, on potrafi. Wrzeszczy różne takie kawałki...  
Janek poruszył się niespokojnie, widać było, że najchętniej uciekłby do domu.  
— No, Janek, śmiało — powiedział pan Nowicki. — Jesteś przecież odważny, robaczku świętojański. Pamiętasz, jak włąziłeś na moją najwyższą gruszę?  
Ociągając się Janek wstał, uśmiechnął się do swoich, później spojrzął w niebo i zaśpiewał

tradycyjną pieśń kaszubskich żniwiarzy:

Odmykajcie szeroko wrota,  
Bo niesiemy wieniec ze złota.  
Żeśmy dzisiaj dograbili,  
Beczkę piwa zarobili...

Dalej już śpiewały wszystkie wiejskie dzieci.

Gdy zapadła cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia, odezwał się leśniczy:

> — To jezioro, nad którym mieszkamy, jest bardzo, bardzo stare... Jeżeli chcecie, opowiem wam o nim przepiękną legendę. Każdy, kto tu mieszka, powinien wiedzieć, dlaczego to jezioro jest właśnie takie, a nie inne. Ma ono pewną szczególną cechę, a jaką, dowiedziecie się za chwilę...

Opowieść leśniczego

„Kaszuby to jeden z najpiękniejszych regionów naszego kraju. Wystarczy spojrzeć na te wspaniałe lasy i jeziora, od wieków żywiące tutejszych mieszkańców.

Jest tu aż 1465 jezior o powierzchni większej od jednego hektara, a wśród nich króluje jezioro Wdzydze, głębokie na 68 metrów. Istnieje też całe mnóstwo małych jeziorek, zwanych oczkami, które niezwykle malowniczo wkomponowane są w teren.

69

Wielkie tu są lasy...

Kiedyś, przed wiekami, w tych leśnych ostępach żyły dzikie zwierzęta, a w czasie wojen chowali się w nich ludzie. Jeśli idzie o drzewa, najczęściej spotyka się tu sosnę, buk, rośnie też tu lipa, czarna olcha, brzoza i grab. Pełno tutaj małych, wijących się rzeczek, często trafiają się bagna i trzęsawiska.

Musicie wiedzieć, że w kaszubskich lasach, wśród błot i bagien żyło — i chyba żyje nadal — wiele dobrych i złych duchów. Te dobre mieszkają w jarzębinach, kiedy więc będziecie w lesie i spotkacie to drzewo, należy z szacunkiem mu się pokłonić.

Kaszubskie lasy chroni Borowa Ciotka. Od setek lat pod jej płaszcz uykają zwierzęta, którym dzieje się krzywda, jeśli ktoś nastaje na ich życie czy wolność. Borowa Ciotka pomaga dzieciom w zbieraniu grzybów i jagód, a gdy jakiś człowiek zbłądzi w leśnej, przepastnej głuszy, wyprowadzi go z niej na bezpieczną drogę. Osłania też lasy przed burzami i wichrami i bardzo cierpi, jeśli ludzie niszczą przyrodę, co niestety tak często się zdarza.

Opowiem wam jednak o Borowiczku — innym opiekuńczym duchu kaszubskich borów.

Niewiele ludzi miało szczęście widzieć Borowiczka — chroni się on przed człowiekiem, wiedząc, że czyni on wiele zła. Słyszeli go natomiast drwale pracujący w różnych kwartałach lasu: rozpaczliwie płacze zawsze wtedy, gdy ścinane jest któreś z jego ukochanych drzew.

Borowiczek mieszka tu nie wiadomo od kiedy? zapewne jednak wiele, wiele setek lat.

Bardzo dawno temu zapalał on miłością do wielkiego dębu rosnącego w pobliżu miejsca, w którym się znajdujemy, i w nim zamieszkał. Wybrał to drzewo nie bez przyczyny: powiada się przecież, że Kaszubi są twardzi jak dęby.

Borowiczek był duchem bardzo ruchliwym. Wciąż obchodził swoje lasy, sprawdzał ich bezpieczeństwo, pielęgnował rośliny i troskliwie zajmował się zwierzętami.

Tu, gdzie teraz jest rozlane nasze Jezioro Elżyńskie, rósł

70

niegdyś wspaniały las, chował się w malowniczej kotlinie, zacisznej w wietrzne dni, dającej odpór zimowym wichryskom, a wiosną rodzącej całe łąny najpiękniejszych kwiatów. Tutaj więc najchętniej przebywał Borowiczek, skąd udawał się na dalekie wędrówki.

I tutaj pewnego dnia zapędziła się córka rybaka Wojciecha, która wraz z innymi dziewczętami z odległej wsi przywędrowała na grzyby do tego lasu. Stała oczarowana doliną i zalewającym ją blaskiem porannego słońca.

Zakochał się młody Borowiczek w Elżbiecie, córce Wojciecha, ona zaś pokochała jego.

Spotykali się, jak mogli najczęściej. Elżbieta swą miłość tać musiała przed rodzicami; któż by uwierzył, że jej wybrańcem jest duch tych borów?...

Niestety, ich szczęście nie trwało długo. Ojciec Elżbiety wraz z całą rodziną przeniósł się nad

morze i tam rozpoczął rybaczenie.

Borowiczek zaś z rozpaczy po utracie ukochanej płakał w swej dolinie trzy lata, trzy miesiące i trzy dni, aż dolina wypełniła się wodą, nad którą dzisiaj siedzimy.

A na pamiątkę tego, że Elżbieta znalazła się nad morzem, jezioro ma kształt..."

W tym momencie Maszopa ścisnął go za ramię i powiedział:

—■ Nic więcej nie mów, leśniczy. Na pytanie, jaki kształt ma jezioro, odpowiedzię muszą nasi harcerze. Obiecałem wam ważne i odpowiedzialne zadanie, słuchajcie więc: jutro wyruszyście na wyprawę. W ciągu dwóch dni — wcześniej nie zdążycie — obejdziecie brzegiem całe jezioro i wykonacie piękną jego mapę. Zgoda?

—• To nie będzie łatwe — wyrwał się jeden z chłopców — bo wokół jeziora są bagna, rzeczki i niedostępne dla ludzi miejsca.

Krzysztof zawahał się z odpowiedzią.

— Co, boicie się? — Leśniczy zaśmiał się. — Przecież dzisiaj w nocy...

71

— Ależ! — zachnął się Krzysiek. — Pójdziemy, no nie? — I zwrócił się do przyjaciół, — Jutro rano...

— A nie można by popłynąć? — wtrącił Michał. — Na i dwóch łodziach...

—• Można też zbudować jedną dużą, do której wejdziecie j wszyscy — włączył się milczący dotąd ipan Nowicki. — To ' przecież nic trudnego: dwie burty, dno i kilka wiosł. Nie chcielibyście podjąć się takiego zadania?

— Nowicki chowa coś w zanadru — powiedział ze śmie- 1 chem Maszopa. — Zawsze ma jakieś niespodzianki.

—■ O, to jest na razie tajemnica. —■ Pan Nowicki położył palce na ustach. — Mogę ją zdradzić tylko wówczas, gdyby ! nasi harcerze zdecydowali się na budowę krążownika.

—■ Bardzo chętnie —■ wyrwała się Asia z wypiekami na j twarzy, choć po ciemku i przy blasku ognia nje było ich widać. — Możemy spróbować...

— Umówmy się tak: kiedy pojutrze wrócicie ze swojej wędrówki, pomyślimy, co robić dalej.

Wpadniecie do mnie i —■ jeśli budowa tego wodnego pojazdu będzie was nadal interesować — spróbuję wam pomóc. Zgoda?

— W porządku — rzekł Krzysztof. —• Przyjdziemy do pa- .1 na zaraz po powrocie.

—■ Nowicki był marynarzem. — Pan Maszopa czuł się w 1 obowiązku, aby o tym powiedzieć. — Podczas wojny walczył na jednym z polskich okrętów. Dobrze mówię, Ryszardzie?

— Ano, tak było. Może kiedyś nadarzy się okazja, to opowiem wam i o tym.

— Czy my też moglibyśmy...? —■ nieśmiało spytała Basia z warkoczykami.

— Pewnie, że tak! —■ Michał jako pomysłodawca zaproszenia dzieci najbardziej powołany był do tego, aby odpowie-] dzieć. — Razem zbudujemy statek i potem wyruszymy na mo-, rza...

— Powiedziałeś trafnie! — Leśniczy roześmiał się. — Dlaczego jednak, dowiesz się niedługo. Po waszej wycieczce i nie-, łatwym wcale zwiadzie terenowym.

— Ogniska już dogasa blask — rzekł Krzysztof słowami

72

harcerskiej piosenki. — Jest już późno, a wy musicie wrócić do swoich domów. Istnieje taki zwyczaj, że kiedy odśpiewamy fragment piosenki, którą za chwilę usłyszycie, wszyscy wstajemy i trzymając się za ręce tworzymy krąg przyjaźni. Oznacza on, że zawsze będziemy sobie pomagać, nawet w największym niebezpieczeństwie, i dzielić się ze sobą radościami i smutkami. Wszyscy harcerze tak robią.

I kiedy stali ze splecionymi dłońmi, a w kręgu dopalał się ogień, poczuli nagle, jak są sobie bliscy: i ci najstarsi wiekiem, mający za sobą dziesiątki lat, i ci najmłodsi. Dzieci z miasta, które przyjechały tu na wakacje, i dzieci ze wsi, wrosnięte w kaszubską, przepiękną ziemię.

A las szumiał głucho, jakby pochwalając wszelkie decyzje, jakie zapadły przy płonącym ognisku. I

Rozdział X

Kto liczy „p.k.”? Ze wzgórza widać jezioro.

— Nastaw budzik — powiedziała Ola. — Najlepiej na piątą.

— Za późno. Jeżeli mamy zacząć wcześniej, trzeba wstać przynajmniej o czwartej, zjeść coś, zabrać prowiant i w drogę. Wtedy jest jeszcze chłodno i dobrze się idzie. No i zyskujemy kawał dnia. Jezioro jest dość rozległe.

— Słuchajcie — włączyła się Asia z rzeczową propozycją, — Musimy się zastanowić, co zabieramy ze sobą. Przecież to cała wyprawa. Że też wymyślili takie zajęcie: rysowanie brzegów jeziora, jakby nikt przed nami tego nie zrobił!

— A może byśmy wykombinowali jakiś dokładny plan, co? —■ spytał Michał. — Przerysujemy wszystko jak trzeba, wymalujemy kredkami, i będzie szkic, że palce lizać. Ułatwimy sobie robotę. — Też coś! Nie byłoby to uczciwie! — zaprotestował Krzyś. — Taki z ciebie harcerz? A poza tym wycieczka może być bardzo fajna.

—• Wcale nie jestem tego taka pewna — powiedziała Asia. — Tyle kilometrów będziemy musieli przejść, że aż zetrzemy nogi do samych kolan. Zmniejszymy się o połowę. Zo-baczycie. Zapamiętajcie sobie moje słowa.

— Prorocze, dodaj. — Michał zgadzał się z Asią.

— Przygotujmy plecaki. — Krzysztof przejął inicjatywę. — Pakujemy do nich wszystkie niezbędne rzeczy. Ola, weź kartkę i zapisuj...

Siedzieli w pokoju chłopców, podnieceni jeszcze udanym

74

ogniskiem i ciekawie zapowiadającą się znajomością z panem Nowickim.

Rzucony przez niego pomysł zbudowania własnej łajby wydawał się niezwykle nęcący i podniecający, tym bardziej że on sam — stary marynarz — obiecał fachową pomoc. Należało przypuszczać, że z taką ekipą — przecież i dzieci ze wsi miały ochotę na prace stoczniowe — uda się wybudować nawet stu-tysięcznik.

„ Zbliżała się już północ, a przygotowania do pieszej wyprawy wokół jeziora nie ruszyły jeszcze z miejsca. Gdyby miała trwać jeden dzień, nie byłoby żadnych problemów. Jezioro El-żyńskie było jednak duże i obejście go w ciągu dnia - nawet od świtu do nocy, nie wydawało się możliwe.

Dwa dni to akurat tyle czasu, aby wykonać forsowną wycieczkę połączoną z zadaniem topograficznym. W takim jednak wypadku rodzą się kłopoty związane z aprowizacją i noclegiem, który trzeba przygotować sobie samemu. Należałoby pomyśleć o zbudowaniu szałasów.

Nasi przyjaciele, w miarę doświadczeni harcerze, zapakowali plecaki szybko i starannie, układając po stronie pleców rzeczy miękkie, które podczas marszu nie uwierają, a w miejscu najbardziej dostępnym pozostawiając ręcznik, przybory do mycia i jedzenia..

Wkrótce potem udali się na spoczynek. Ze szczególną przyjemnością Krzysiek przyłożył twarz do poduszki, lecz na rozpamiętywanie porannego zdarzenia zabrakło mu już czasu. Oczy zamknęły się same i sen zarzucił na chłopca swoje bezwzględne sidła.

Świt był jeszcze blady, kiedy ekipa stanęła przed domem.

Członkowie załogi sennie spoglądali na świat i siebie, ziewali rozpaczliwie i przecierali zaspane' oczy. Najchętniej wskoczyliby z powrotem do przytulnej pościeli, aby pospać jeszcze choć z godzinkę.

—• Dokładnie o dwudziestej trzeciej — rzekł gospodarz na pożegnanie —■ musicie znaleźć się w tamtym miejscu. — Pokazał na wzgórzu po drugiej stronie jeziora. — Nadacie stamtąd sygnał: trzy długie błyski latarką. Będę wówczas wiedział.

że wszystko w porządku, jesteście zdrowi i bezpieczni. A teraz uregulujemy zegarki.

Każdy z uczestników wyprawy szedł objuczony jak dromader. Na ich grzbietach kiwały się wypchane plecaki, u boków wisały torby chlebakowe. Michał taszczył jeszcze garnek, który miał służyć do przygotowania ciepłej strawy. Leżał dnem do góry na plecaku, wystając ponad głowę tragarza. Do pasów wędrowców umocowane były manierki napełnione wodą z sokiem.

— Później poszukamy lasek —■ powiedziała Asia. —■ Bę- I dzie nam wygodniej i po skautowsku...

Początkowo trasa prowadziła wzdłuż jeziora. Wąska, wyr § godna ścieżka, którą można było maszerować tylko gęsiego, z obydwóch stron zarosła bujną roślinnością. Gdzieniedzie | ukazywały się kępy dorodnych pokrzyw wyłazających aż na dróżkę. Kiedy Michał, zamiast pod nogi, spozierał

na drzewa i zahaczał o kępkę parzących liści, z ust jego wydobywał się wrzask:

— O, niech to porwą diabły morskie i lądowe!

Nie trzeba nikogo przekonywać, że po godzinie takiego marszu nogi w krótkich spodenkach całe były w bąblach, Michał zaś —■ próbując drapać się tu i ówdzie — wykonywał ruchy jak podczas murzyńskiego tańca, grzechocząc jednocześnie garnkiem.

Zeszli na skraj jeziora. Słońce stało już wysoko, las rozbrzmiewał śpiewem ptaków, a w najbardziej osłoniętych miejscach — delikatnym brzęczeniem owadów. Siedli pod drzewami.

— Nic nie zapowiada zmiany pogody — odezwała się Asia ponuro — a my dźwigamy wszystko, jakbyśmy się spodziewali ulewy i burzy z piorunami...

— Taka jest zasada... — zaczął Krzysiek. —• I to niejedna, a wszystkie razem są bardzo mądre. Tylko że plecy bolą niesamowicie, mimo tych zasad, o których mówisz.

— Gdyby zaczęło padać, wyjmujemy peleryny.

— I gumiaki, i parasole — dorzuciła Ola.

76

—■ Znasz jakąś zasadę, która głosi, jak przenieść ciężar w odpowiednie miejsce bez wysiłku?

— Owszem, jest taka.

— Ciekawe... « — Trzeba znaleźć kogoś silnego, gotowego na wszystko.

Przeniosłby swój plecak, twój i jeszcze przez rzekę ciebie na rękach.

— Dobrze by było. —■ Asia westchnęła. — Przydałby się taki rycerz.

—• A wiesz przynajmniej, kto to jest rycerz? — spytała Ola.

— No?

— To facet z zakutą głową.

— Łbem — wtrącił Krzysiek.

— Niech będzie. Co robimy?

—• Musimy teraz dostać się na ten mały cypelek i wyrysujemy trasę, którą przeszliśmy dotychczas. Stamtąd dobrze j będzie widać linię brzegu.

Zostawili plecaki i pobiegli na brzeg.

Reks, który dzielnie towarzyszył im w wędrowce, buszował z nosem w krzewach i trawie.

— Zaraz, zaraz! — krzyknął nagle Michał.

— O co znowu chodzi?

— Czy liczył ktoś p.k.? —■ Jakie „peka”? — spytała ze śmiechem Ola. —• Już jak ty coś wymyślisz...

— Bez tego plan nic jest niewart. Muszą być odległości, 1 no nie? Przecież nie mamy żadnej metrówki, więc liczą się pary kroków o znanej długości.

— On ma rację — powiedział Krzysiek takim głosem, jakby oskarżał siebie o największą głupotę.

— Nie mogłeś wcześniej o tym powiedzieć?!

—• Ty jesteś starszy i zawsze wszystko wiesz — z sarkastycznym uśmiechem odpalił Michał. —• Wielki topograf! Wystarczy zwrócić uwagę, a zaraz się obraża...

- Hej! ~- zawołała Asia. — Bądźcie eleganccy przy kobiecie

78

tach, prawda, Olka? Narysujemy teraz na oko, a potem będziemy liczyć tak, jak powiedział Michał. Dawajcie papier.

Zaczęli ciągnąć linię wzdłuż obserwowanego wybrzeża. Pokłócili się kilkakrotnie o różne wygięcia, wcięcia i zakola. Ostatecznie jednak wspólnym wysiłkiem udało się nanieść na kartkę zarys brzegu, który zadowolił wszystkich wędrowców.

— No! — Krzysztof spojrział na trzymany w dłoni papier. — Całkiem niezłe.

e — Zaznaczmy jeszcze, jakie drzewa znajdują się przy brzegu. Mapa będzie bardziej dokładna.

— Słusznie. Iglaste na pewno, trochę liściastych też.

— Napiszemy, jakie?

—■ Ależ, Oleńko, na mapie nie trzeba pisać takich szczegółów. To nie zwiad terenoznawczy. Mamy narysować jezioro i koniec.

—• Proponuję, żebyśmy naszkicowali stąd dalszy odcinek brzegu, tak jak go widzimy. A kiedy dopełniemy do tamtych drzew, porównamy szkic z terenem. Co?

—• Odpoczęliśmy, a\* teraz w drogę. — Krzysztof podał hasło do odmarszu. —• Za jakąś godzinę zrobimy przerwę na posiłek i pójdziemy dalej.

— Do wzgórza jest niesamowicie daleko.

— Za dnia trzeba przygotować szałas, bo po ciemku nic nie będzie widać,

— Chodźmy.

Na trasie zrobili obiad, na który złożyła się zupa w proszku popychana chlebem. Ułożyli z kamieni palenisko, garnek napełnili wodą i ugotowali ją razem z koncentratem.

Przed wieczorem znaleźli się w rejonie wzgórza. Spędzoną tutaj noc mieli jednak długo pamiętać...

## Rozdział XI

Operacja „lina”. Bagno czatuje na samotnych...

— Już nie mogę — powiedziała Ola. — Padnę gdzieś pod drzewem i zostanę tu na wieki.

Przeszliśmy chyba z tysiąc kilometrów. Czy czasem nie zwariowaliśmy?

— Jeszcze trochę — powiedział Krzysiek. — Myślisz, że my czujemy się wypoczęci?

— Olka, dawaj plecak — zaofiarował się Michał, z trudem przetykając ślinę.

— No i proszę, rycerz się jednak znalazł — powiedziała Asia.

— Nie gadaj. Przecież ona ledwo zipie...

— Na górę nie jest daleko. Widać ścieżkę, choć prawdopodobnie dawno nikt nią nie szedł, taka zarośnięta. A tam spróbujemy zbudować sobie chatkę. Rano znowu musimy pędzić dalej.

Krzysztof z Michałem dźwigali plecak Oli. Ona zaś ciężko brnęła po stoku, chwytając się krzewów i trawy, a niekiedy gałązek drzew.

— Spójrzcie, tam jest o wiele łagodniejsze podejście. Łąka prowadzi do samego lasu.

— Skąd mogliśmy wiedzieć? Łatwiej nam będzie iść na zwiady lub na jagody.

— Dojdźmy najpierw do szczytu.

Na samej górze była polana, otoczona drzewami i bujną roślinnością. Otwierał się z niej widok na całe jezioro. Po przeciwnej jego stronie majaczył niewielki kształt domu Maszopów.

— Nasz szef miał rację mówiąc, żeby zatrzymać się tu na

BO

biwak. Zna ten teren jak własną kieszeń — powiedział Michał. — Wspaniałe miejsce. Gdzie stanie szałas?

—■ Właśnie — rzekł Krzysiek. —■ Przede wszystkim zbudujemy wigwam. Zostawcie tu plecaki, mam nadzieję, że nic im się nie stanie. Idziemy do lasu. Zbieramy najpierw długie żerdzie, z których wykonamy szkielet.

—■ A na wierzch zarzucimy peleryny. Będzie cieplej.

— Doskonały pomysł — powiedziała Ola. — Gdyby zaczęło padać...

— Wypluj to słowo — rzekł Krzysiek. — Na razie nic nie zapowiada deszczu. Niebo jest czyste, słońce zachodzi pomarańczowo, a nie czerwono, a po zachodniej stronie brak jest chmur. Wszystko w porządku.

— Racja — przytaknęła Asia. — A na ziemi rozłożymy mech. Siana pewnie nigdzie nie znajdziemy.

—■ Kiedyś na obóz każdy harcerz przywoził siennik i pchał do niego słomę. Prycze też budowało się samemu. Musiały mieć dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości. — Krzysztof recytował jak harcerski weteran.

— Potrzebne były deski...

— I duże namioty.

— Musimy wystawić warty — zmieniła temat Ola.

Na skraju polany rosła samotna sosna. Doskonale nadawała się do tego, aby właśnie pod nią zbudować szałas. Miała rozłożyste gałęzie.

Asia przyglądała się jej przez chwilę i wreszcie wypaliła:

— Słuchajcie, a może on by wisiał? Na tej wystającej gałęzi?  
— Kto ma wisieć? — Michał otworzył usta ze zdumienia.  
— Szalas, tylko szalas. Jeszcze nic ci nie grozi.  
— ■ W wiszących domach mieszkają Afrykańczycy. My na razie nie jesteśmy czarni.  
— Nie chodzi mi o to, żeby szalas wisiał gdzieś wysoko. Stać będzie na ziemi, a czubek zwiążemy linką i podczepimy do konara. Gdyby rozszalała się wichura, chatka nam się nie przewróci. To chyba bardzo ważne, nie uważasz?  
— Asia zwariowała. Zupełnie. Po co ci takie kombina-

6 — Wakacje

81

cje? — spytała śmiejąc się Ola. — Trzeba by wejść na tę sosnę I i przełożyć linkę...'

— Przecież to nic trudnego. Krzysiek powiedział, że po- |  
trafi robić takie rzeczy.

— Pewnie — rzekł Krzysztof z wahaniem.

Kiedyś próbował takiej sztuczki, choć wówczas — o czym donosimy z przykrością — nie odniósł znaczącego sukcesu. Je- |  
dynym śladem, jaki mu pozostał po usiłowaniach wdrapania się na sosnę, były rozległe rany na nogach.

Jednakże ani Michał, ani dziewczyny nie wchodziły w ra- ■ chubę. Zresztą słowo się rzekło i nie było innego wyjścia jak wspinaczka.

Należało dostać się na gałąź, rosnącą na wysokości pięciu metrów, i przerzucić przez nią długą linkę.

— Mam taką propozycję. — Była to dla Krzyśka ostatnia deska ratunku. — Do końca linki przywiążemy kamień i przerzucimy przez konar.

Rzuty jednak niewiele pomogły. Najpierw bowiem kamień nie chciał dolecieć do gałęzi, potem —  
gdy wreszcie znalazł się po drugiej stronie — 'nie wiadomo dlaczego nie zjeżdżał w dół. Wreszcie kolejny rzut Krzyśka okazał się tak silny, że koniec linki, obciążony kamieniem, owinał się wokół gałęzi i... tak pozostał.

Wszyscy w niemym milczeniu zadarli głowy do góry. Ro-  
zumieli, że Krzysiek w tej sytuacji — a Krzysiek rozumiał to najbardziej dobitnie — musi znaleźć się na górze, i to za wszelką cenę, jeśli nie chce stracić autorytetu. Przełknął ślinę i nabrał powietrza w płuca.

— Weszło... — przerwał ciszę Michał.

— Co teraz? — dopytywała się Ola. — Ani w jedną, ani w drugą.

— Nie możemy stracić sznurka — orzekła Asia. — Nie ma rady. Właż.

Chłopak stał przez chwilę pod drzewem, spoglądał w górę, chrząknął i czuł się nad wyraz niepewnie. Pień wznosił się nad nim aż pod niebo.

82

¥III

— No! — ponagliła Ola.

Musiał wykonać ten wiewiórczy manewr, jednak lęk przed ewentualną kompromitacją wydawał się większy niż przed posądzeniem o brak odwagi.

— Słuchajcie, dziewczyny — powiedział łamiącym się głosem. — Przyniescie jeszcze trochę chrustu, a tymczasem Michał mi pomoże. On wie, co i jak...

— Chciałabym zobaczyć, jak wchodzi się na takie drzewo, \_\_ Ola wyraźnie nie wyczuwała sytuacji. — Właż szybko i potem pójdziemy po resztę chrustu.

— On ma pietra — parsknął Michał..

— Zamknij się! — warknął Krzysiek. Obliznął wargi.

Jak to było? Kiedyś znał cytowany przez drużynowego wierszyk, którego jednak nie mógł sobie przypomnieć. „Kolanami objąć pień, obejmować go rękoma, stopy złączyć, jak...” — i co dalej?

'— Może cię podsadzić? — drwił Michał, choć przecież sam także nie wszedłby na sosnę.

Miły jest ten mój szlachetny braciszek, pomyślał Krzysztof. Już ja mu się odwdzięczę przy najbliższej okazji. Przed oczyma miał brązową, chropowatą korę. Dłuższą chwilę, jak zawodnik na olimpiadzie, koncentrował siły i wreszcie skoczył na pień, obejmując go kolanami i ramionami.



Uczylił to jednak z takim impetem, że drzewo zadrżało w posadach, o mały włos nie wyłaząc z ziemi, a ż podrapanego nosa chłopca pociekła krew.

— Biedny! — rozczuliła się Ola, kiedy Krzysztof znów przyjął pożyacie wyjściową, jakby atakował przeciwnika jedną z technik walk Wschodu. — Chodź, zrobię ci opatrunek.

— Dajcie wreszcie spokój! — Chłopak był coraz bardziej wściekły. — To zupełny przypadek.

— Pierwsza rana odniesiona w bitwie o sznurek na sośnie. — Michał znów kpił, co nie było ani uprzejme, ani eleganckie.

Krzysztof skoczył po raz drugi.

84

Ścisnął pień ramionami, kolana podciągnął nieco ku górze. Poluzował uścisk rąk i przesunął je wyżej. I znowu kolana. Starął się policzkiem nie trzeć po korze.

— Nieźle! — krzyknęła Asia.

Czuł, że waży coraz więcej. Nawet nie spodziewał się, że dźwiga na sobie taki ogrom kości i ciała. Przez myśl przemknęły mu jakieś prawa fizyczne, „zasłyszane” w poprzedniej klasie. Spojrzał ku górze: wydało mu się, że na gałęzi siedzi druh Newton i kiwa na niego palcem.

Tak, tak, z klasówki o tym czcigodnym naukowcu dostał trzy minus.

I znowu: kolana nieco wyżej, potem ramiona. Jakby przy każdym ruchu rozciągał potężną sprężynę, przyczepioną do ziemi.

A jednak gałąź była coraz bliżej i bliżej. —■ Jeszcze trochę! — rozdarł się Michał. — Najwyżej pół piętra...

Wreszcie złapał się konara. Ostatkiem sił wśliznął się na niego, usiadł. Niewiele brakowało, a spadłby na złamanie karku.

Dyszał ciężko jak parowóz. A tu jeszcze linka była poza zasięgiem ręki.

—■ Uważaj, żeby gałąź nie pękła, bo się zabijesz! — krzyknęła Asia.

Odplątał linkę, wyciągnięty jak struna. Kamień przełożył górą i opuścił.

B

—■ Huraaa, zwycięstwo! — cieszył się Michał, podskakując zwawo. — Możemy wiązać nasz wigwam. Krzycho, a jak stamtąd zejdziesz?

— Najwyżej zeskoczę.

—■ Oszalałeś? — Ola potraktowała problem bardzo serio. — Połamiesz nogi...

— Albo kręgosłup — dorzuciła Asia.

— Najpewniej i jedno, i drugie — oznajmił złowieszczo Michał.

Zejsście jednak okazało się łatwiejsze, niż można było sądzić, i wkrótce Krzysztof znalazł się na ziemi.

85

— No, chłopie, jesteś całkiem niezły — z uznaniem odezwała się Asia.

Usiedli w kółeczku. Krzysiek w środku, dysząc z wywieszonym językiem. Obok położył się Reks, zupełnie poprawnie naśladując swego przyjaciela.

— Zrobimy teraz tak — rzekł Krzysztof, który poczuł, iż wzmocnił swój autorytet i ma teraz prawo do wydawania zarządzeń. — Wszyscy idziemy do lasu na jagody, maliny i co tam jeszcze, potem dziewczyny gotują owocówkę, a my stawiamy szałas. Zgoda?

Zaakceptowali pomysł.

— Każdy z nas pójdzie inną trasą, wtedy zbierzemy więcej. Wracamy za godzinę...

— ... i przygotujemy spanie. — Ola ziewnęła.

— O jedenastej mamy świecić latarką.

— To jeszcze kupa czasu.

Ola wyszła ostatnia. Wróciła bowiem na miejsce biwaku po torebkę foliową. Przecież nie będzie w dłoniach dźwigać darów lasu, jakie zbierze wkrótce w tym bogatym rejonie.

Po polance skakał Reks, uśmiechając się wyraźnie do dziewczynki.

— Idziesz ze mną? ' Ruszyli opadającym łagodnie stokiem w kierunku leżącego niżej malowniczego zagajnika..Trwała tam cisza, taka głęboka, przedwieczorna cisza, wypełniona jedynie delikatnym szumem ! dalekich sosen, drganiem gałęzi i bzyczeniem owadów.

Reks buszował po krzewach, rzucając się na osłep tam, gdzie przemknęła jaszczurka lub zatrzepotał ptak.

Wśród niewysokich brzózek rozciągał się gąszcz krzewów malinowych. Między zielonymi liśćmi migotały czerwone owoce, a gdzieniegdzie, przy samej ściółce, wisiały na kształtnych łądzykach karminowe krople poziomek.

— Wspaniale! — ucieszyła się Ola.

W torebce było coraz więcej malin. Oczywiście, Ola na

86

leżała do grona łakomczuchów, więc część zbiorów znalazła się w jej ustach. Tu i ówdzie na policzkach dziewczynki pojawiły się purpurowe plameczki.

Wędrowali dalej, tymczasem wieczór zahaczył już o szczyty sosen. Zagajnik przemienił się w las, nabierając głębszego brązu.

Na ziemi leżały tysiące okazałych szyszek, które trzeszczały, gdy się po nich chodziło. Delikatny mech natomiast tłumiał kroki.

Ola kilkakrotnie schyliła się po grzyby, wystawiając ze ściółki swoje sympatyczne łebki. Nie bardzo potrafiła odróżnić złe od dobrych, postanowiła więc zapakować wszystkie do woreczka, aby przedstawić je później wysokiej radzie obozowej.

Rozejrzała się.

Nie było tutaj malin ani jagód. Między drzewami przebły-skiwała jaśniejsza przestrzeń. Tam się skierowała, nieprzerwanie schodząc w dół.

Za ostatnim szeregiem sosen rozciągała się uprawa leśna, ubarwiona trawami i krzewainami. Pełno tam było kolorowych kwiatów, tkwiących w zieleni jak rodzynki w cieście.

Rosły tu też maliny. Niewiele ich było, ale przynajmniej garść owoców udało się Oli zebrać.

Tymczasem Reks, kiedy Ola coraz dalej i dalej wchodziła w gęstwinę, spostrzegł jakiś ruch. Może był to zając albo sarna. Skoczył w krzewy i zaczął ujadać.

— ■ Reks! Reks! — krzyknęła Ola.

Jej głos nie dotarł jednak do adresata, który ogłuchł już prawie od własnego krzyku.

Ola maszerowała więc dalej. Skończyły się brzózki, a teren wciąż opadał.

Drzewka rosły tu rzadziej. Z daleka dobiegało nieustanne szczekanie psa, który odpędzał wywęszonego nieprzyjaciela.

Zrobiło się chłodniej. Las z wolna przygotowywał się do snu. Ola jednak nie napelniła jeszcze swojej torebki.

Wydało jej się, że nieco dalej, w odległości może stu metrów, mającą w szarości malinowe krzewy.

Opędzając się ra-

87

mionami od uderzających ją w twarz gałęzi, ruszyła w tamtą stronę.

Zapadła cisza. Reks zakończył akcję bojową i zapomniawszy widać o dziewczynce zawrócił ku miejscu zbiórki. Obejrzał się jeszcze kilka razy.

Rzeczywiście, maliny były dorodne. Zapadał jednak zmierzch i czerwone plamki, tak jaskrawe w słońcu, tonęły teraz w głębokim cieniu.

Ola skaleczyła się o kolce broniące dostępu do owoców, lecz nie dała za wygraną. Przecież nie może wrócić właśnie teraz, gdy pojawiła się szansa na tak piękne zbiory!

Skreśliła w lewo.

Przesuwała się powoli wzdłuż krzewów, potem weszła w wolniejszą przestrzeń między konarami.

— Jest chyba strasznie późno — powiedziała głośno do siebie.

Znalazła się jakby wewnątrz ciemnej, leśnej czaszy. Postanowiła wracać. Robiło się coraz bardziej ponuro. Chcąc skrócić sobie drogę, powinna obejść uprawę, przez którą przedzierała się niedawno.

Reksa nie było. Zboczyła w jakąś ścieżynkę, która zdawała się prowadzić tam, skąd niedawno dobiegało szczekanie. Szła coraz szybciej.

A las stał cichy i zdradliwy...

Wszystko wyglądało tu teraz zupełnie inaczej niż za dnia. W gęstwinie krzaków krył się już mrok,

nie pozwalający odróżnić kształtów liści czy gałązek.

Korony drzew zlewały się ze sobą. Nad głową rozciągał się coraz cięższy, czerniejący dach, podparty wieloma strzelistymi kolumnami pni.

Wreszcie trochę wolnej przestrzeni. Widać jeszcze było kępy traw. Wystarczyło przejść przez tę polankę, aby znów znaleźć się w lesie.

Ola nie wiedziała, że takie kępy kryją w sobie ogromne niebezpieczeństwo. Szczególnie w terenie, gdzie jest wiele jezior połączonych cienkimi rzeczkami.

88

Raptem ogarnął ją lęk.

— Reks! Reks! — krzyknęła, lecz bez rezultatu.

Niewiele myśląc weszła na łąkę.

Zrobiła kilka kroków po miękkim podłożu. Coraz bardziej oddalała się od ścieżki, którą przyszła.

Gdyby wiedziała, że pod dywanem, po którym maszeruje, rozpościera się bagno! Śmierć dla nieostrożnych i samotnych...

Rozdział XЧ

Niepokój. Rozpacz. Przerazenie. Akcja ratownicza.

Krzysztof pierwszy zjawił się w obozowisku. „Obozowisko” jest w tym wypadku formą umowną, bowiem nic jeszcze nie zostało przygotowane do zbudowania harcerskiej osady.

Jedynie lina zwisała z gałęzi w oczekiwaniu, że ktoś się wreszcie ulituje i coś na niej powiesi.

Prawdę powiedziawszy • ta smętna lina, choć z takim mozołem założona, wyglądała dość groteskowo i śmiesznie. Dla kogoś, kto nie wiedziałby, w czym tkwi cały problem, byłaby ona nie lada zagadką.

Poza Krzyśkiem nikt się jeszcze nie zameldował na wzgórzu.

Chłopak wyspał maliny i borówki do garnka, zszedł z nim . nad jezioro, nabrał wody i wrócił na górę. Przydźwigał też ka- ' mienie, z których zbudował bardzo prostą kuchnię polową. Teraz należało poczekać na resztę załogi;

Nie tracąc czasu na próżne czekanie, przyniósł chrustu, j grubsze gałęzie połamał na niewielkie paliki i rozpalil pod kuchnią. Wzniósł się w górę niebieskawy dym, rozprzestrzeniając ; się powoli wśród drzew.

— A, jesteś wreszcie. — Uśmiechnął się na widok Reksa, który wpadł na polankę. — Jak poszło?

Pies kilkakroć zamerdał ogonem, a potem niecierpliwie obiegł łąkę. Wetknął pysk w krzewy, obwąchał plecaki, a nie znalazłszy nikogo, wrócił do Krzyśka i zaszczekał.

— ■ Dobrze psisko! — Chłopak poklepał go po głowie. — Ale teraz mi nie przeszkadzaj.

Gdybyż wiedział, jaką informację chciał mu pies przeka-

zać! Zbyttnio jednak zajęty był rozpalaniem ognia, później zaś przygotowywaniem szkieletu wigwamu, aby zwrócić uwagę na niepokojące zachowanie się czworonoga. Tym bardziej że wkrótce Michał wdrapał się na szczyt wzgórza, informując krzykliwie, że przydźwigał garść malin.

— Też się wysilił! — prychnął Krzysztof.

— Nie było więcej — odparł Michał, lecz jego umazana twarz wyraźnie wskazywała, co stało się z resztą zbiorów.

\_ Mógłbyś się pohamować — zwrócił mu uwagę Krzysiek. ^— Nie mam słów na taką twoją bezczelność. Przecież zjadłeś nasze wspólne owoce i umazałeś się w dodatku jak nie-boskie stworzenie.

— Przysięgam, że...

— Stary! Nie mnie nabijać w butelkę! Od dziś, gdy będziesz szedł na jagody, zabieraj lusterko.

Albo przejrzyj się chociaż w jeziorze.

Michał mieszał się i zbiegł ze stoku, aby umyc w jeziorze twarz.

~ Nie ma jeszcze Oli? — spytała Asia oddychając spieszenie. — Ale dymi...

k

— Zaraz pewnie przyleci,

— Reks był z tobą?

— Nie.  
— To z Michałem...  
Ten wyszedł właśnie na polankę.  
— Michał, był z tobą Reks?  
— Biega gdzieś tutaj...  
— Ale czy w lesie miałeś go ze sobą? — Nie.  
— Słuchajcie — powiedziała Asia. — Jest prawie noc. Olka boi się ciemności, więc powinna już tutaj być. Która godzina?  
— Zaraz będzie dziesiąta.  
— Ale Oli nie ma...  
—■ Przystań się panikarskie nastroje! — rzucił Krzysiek. — Wkrótce przyjdzie i będzie po kłopotcie.

91

Asia była jednak wyraźnie zaniepokojona. Siadła po turec-ku przed kuchnią i grzebała chwilę patykiem w ogniu.

— ' Krzycho — powiedziała wreszcie. — Chodźmy jej poszukać.

Chłopak ustawił właśnie szalasy, układał teraz drobniejsze patyczki i miał już całą konstrukcję pokryć peleryną.

— Eee, dajże spokój... — rzekł niezbyt pewnie.

—■ Z takiego lasu i przez tydzień można się nie wydostać. —■ Na pewno nic się jej nie stało. Zaraz tu będzie.

— Puste gadanie. Taki z ciebie wielki harcerz, a każdemu kazałeś iść osobno. Też coś!

—■ Pojedynczo można nazbierać więcej jagód. Gdybyśmy szli razem, to...

— Po dwie osoby to już co innego.

— Dobra, dobra. — Zamyślił się. — Może i masz rację... Michał krzątał się przy szalasy, montując konstrukcję. Dokładał patyków, ściągał sznurki.

— Ja bym poszedł szukać — powiedział.

— A może jeszcze trochę poczekamy? — Krzysiek czuł ciężar odpowiedzialności, która wcale nie dodaje pewności siebie. —■ Na przykład piętnaście minut, co? Tymczasem skończymy chatkę, ułożymy koce...

Asia energicznie rzuciła patykiem w ogień i podniosła się z ziemi.

— Czekaj sobie. Ja idę do lasu.

— Sama nie pójdziesz. Jak razem, to razem.

— Bierzymy latarki, prawie już nic nie widać.

— Co z ogniem? Przygasimy go chyba?

Michał przysypał płomienie. Migając latarkami poszli w kierunku, w którym udała się Ola.

—• Palą ognisko — powiedział Maszopa do swojej żony. — To chyba oni. Może gotują sobie herbatę. Doświadczeni z nich przecież harcerze. — Zaśmiał się donośnie.

— Niepokoję się o nich — odrzekła Maszopowa.

— Dajże spokój, Są dzielni.

92

— Noc zapada...

— Duchów nie ma, czego się tu martwić... Ale co to? Nie widzę ognia. Przygasili? Pewnie idą spać.

— Kazałeś im świecić latarką, tak?

— O jedenastej. Za niecałą godzinę. Maszopa zmarszczył czoło.

— Coś mi się tu jednak nie podoba — rzucił w zamyśle- niu. — Nawet gdyby szli spać, nie gasiliby ognia. Przy płonieniu czuwa się lepiej. Ano, zaczekajmy...

—■ Ola! O-o-o-ola!!! — krzyknął Krzysztof, gdy przedarli się już przez zagajnik. Odpowiedzi nie było.

Las stał cichy i tajemniczy, chowając w swych cieniach ponure widma.

Asia czuła, jak przerażenie ścisła jej krtań. Siostra nie zabrała latarki, w tej cz\*erni więc nie może się poruszać. Co ona musi teraz przeżywać! Pewno siedzi gdzieś w gęstwinie wsłuchując się w każdy szmer, każde drgnienie gałęzi...

— Reks! — Krzysztof przywołał psa. — Szukaj, psina, szukaj!

Pies biegł w pobliżu nich, nie objawiając ■nadmiernej odwagi-

—• Maże się rozdzielimy? — zaproponowała Asia. — Na odległość głosu...

Szli teraz wyciągniętą tyralierą, przekazując sobie sygnały latarkami. Wśród drzew migały światełka, między którymi biegał Reks.

Coraz bardziej oddalali się od obozowiska...

— Za pięć jedenasta — powiedział Maszopa. — Wyjdę przed dom.

— Wyjdź.

—• Zgaś światło, a kiedy krzyknę, zapalisz trzy razy, dobrze? To będzie dla nich sygnał, że widzimy ich i odpowiadamy,

93

Domostwo zapadło w ciemność. Maszopa zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka, który nosił tylko od święta. Z dalekiego wzgórza nie nadchodził żaden sygnał.

Dziesięć minut po jedenastej, piętnaście...

— Krzysztof! — zawołała Asia. — Już po jedenastej. Mie-  
liśmy świecić.

— O, rany! Rzeczywiście! Michał, wracaj do obozu i miga] J  
latarką. Wiesz, kropki: sygnał alarmowy.

— Sam mam iść?

— Chyba strach cię nie obleciał?

— Dobra, lecę. Zabrać Reksa?

— Będzie nam tutaj potrzebny. Szerokiej drogi! I nie trać  
ducha!

1

Michał znalazł się sam wśród czarnych drzew i z duszą j na ramieniu coraz to przyspieszał kroku.

— Matka, miałaś rację! Coś się musiało stać! Biorę łódź I  
i skoczę na drugą stronę.

Przestraszył się. Dzieci nie dotrzymały przyrzeczenia. Zga- 1 sło ognisko. Na wzgórzu ciemno,  
jakby nikogo tam nie było. ! I to od niedawna, bo wcześniej ogień był dobrze widoczny.

Nie potopili się przecież, bo i gdzie?

Nikt chyba w lesie nie zabłądził. Harcerze dobrze wiedzą, j że trzeba się trzymać razem. Ale  
sygnału nie nadali. To złe. j Może zapomnieli? O to jednak trudno ich było podejrzewać.

Albo też tak byli zmęczeni, że położyli się jedno obok drugiego i zasnęli snem sprawiedliwych,  
acz znużonych wę- j drowców.

Trzeba coś zrobić, pomyślał Maszopa. Przecież to on sam zaproponował im wędrówkę wokół  
jeziora!

Bagna są dość daleko od wzgórza, więc tam chyba me za-; wędrowali. A gdyby jednak?...

Odcumował łódź. Wskoczył do środka i usadowił się wyj godnie. Chwycił wiosła, które głucho  
stuknęły

94

Odepchnął się od mola. Dziób skierował na jezioro. Siedział tyłem do kierunku ruchu. Pióra wiosel  
cicho, spokojnie zanurzały się w wodzie, by po mocnym pociągnięciu z lekkim pluskiem  
wychynąć na powierzchnię. Skrzypiały obracające się dulki.

Do przeciwległego brzegu było ponad pół godziny wiosłowania.

Maszopa nie potrzebował się oglądać. Znał to jezioro zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że jeśli światło  
z jego okna znajduje się pod najwyższym kompleksem stojących dalej drzew, to łódź płynie prosto  
do wzgórza.

Miał tu wiele takich nigdzie nie opisanych — z których często korzystał — punktów  
orientacyjnych. Pozwalały mu one nawet w nocy precyzyjnie żeglować po Elżyńskim.

Odwrócił się kilkakroć za siebie, żeby sprawdzić, czy nie zapaliło się ognisko. Na wzgórzu jednak panował mrok.

Łódź szybko i bezszelestnie sunęła w czerń nocy. Spadające z wiosel krople wody jak perły płonęły przytłumionym blaskiem, skradzionym wychodzącemu zza lasu księżycowi.

Michał biegł.

Przedzierał się przez zarośla, które boleśnie uderzały go po twarzy.

Błede światło księżyca, przesiewające się tu i ówdzie przez gałęzie, stwarzało nastrój grozy. Pod drzewami skryły się cienie, podobne do pochylonych ludzi, upiorów i zjaw. L

Biegł z zapaloną latarką. W jej nikłym blasku czuł się nieco pewniej. Czasami oglądał się w obawie, czy nikt nie próbuje zaatakować go od tyłu, rzucając się zdradliwie z gęstwiny.

Wspiął się wreszcie na górę.

Stanął...

Wydawało mu się, że jego oddech, tak głośny w panującej wokół ciszy, słychać aż na środku jeziora.

Pobiegł do szałas. Może Ola wróciła i śpi? Wigwam jednak był pusty.

96

Przejechał latarką wokół siebie. Ani znaku życia.

Nagle uzmysłowił sobie, że szukanie teraz kogoś po lesie, jak czynią to Krzysztof z Asią, jest zupełnie bezsensowne. Mogą się jeszcze pogubić, zbaczając na niewłaściwą ścieżkę.

Chyba już północ, pomyślał. Nie miał zegarka, żeby to sprawdzić.

Ze szczytu wzgórza wpatrzył się w przeciwległy brzeg.

Na uchwycie latarki był guzik. Zaczął go naciskać i światło zamigotało wieloma krótkimi błyskami.

Maszopa musi się dowiedzieć; że dzieje się coś niedobrego.

Z tamtego brzegu nikt jednak nie odpowiadał.

Michał odstawił garnek z zupą owocową i bardziej rozniecił ogień. Podrzucał patyczki, aż płomień buchnął wysoko.

— Będę sygnalizował po indiańsku — powiedział głośno do siebie.

Zdjął pelerynę z szałas i — machając nią energicznie — to zasłaniał, to odsłaniał światło.

— Na pewno zobaczą — stwierdził, Odpowiedzi jednak nie było...

Maszopa wiosłował.

Był już na środku jeziora. Miał twarde, żyłaste dłonie, przyzwyczajone do ciężkich wiosel.

Pochylał się całym ciałem do przodu, pióra wiosel wchodziły do wody, a potem przechylał się do tyłu, zginając ramiona w łokciach.

Za łodzią błyszczał maleńki, delikatnie szumiący kilwa-ter.

Nagle jakiś nowy element wdarł się w mrok. Z początku Maszopa nie mógł się zorientować, skąd pochodzi to nowe wrażenie: spojrzał na wzgórze.

Tam płonęło ognisko.

Ale jakoś inaczej: zapalało się i przygasało. Wyglądało to na specjalny sygnał.

Maszopa ze zdwojoną energią naparł na Wiosła.

7 — Wakacje:..

97

Wołanie nie dawało efektów. Krzysztof z Asią zatrzymali | się, zmęczeni, na brzegu lasu.

— Może wróciła? — z rezygnacją w głosie spytała dziewczynka.

— Na pewno, Asiu — powiedział Krzysztof, delikatnie | biorąc ją za rękę. — Nic się nie mogło stać. Ola jest duża i je- I żeli zabłądziła, to nie będzie się kręcić po lesie, tylko poczeka j do świtu.

— ■ Też mi gadanie — odparowała Asia. — Pewnie lata po drózkach i ryczy. Jak ty byś się czuł na jej miejscu?

— Marnie.

. — A widzisz. Są tu też dzikie zwierzęta, może wilki albo niedźwiedzie.

— Bzdura. Nie wymyślaj takich rzeczy, bo sama umrzesz ze strachu. Idziemy dalej?

Wędrowali, trzymając się za ręce. Tak było raźniej. Pies biegł przed nimi.

— Ola! O-o-oola!!! — krzyknęła znowu Asia i głos jej się załamał.

Jedyną odpowiedzią była cisza. Wołanie pochłonęły drze- i wa...

Ola zrobiła kilka kroków po miękkim, uginającym się dywanie. Chciała jak najprędzej przejść przez tę łąkę.

Nagle coś chkipnęło pod jej butami.

Czyżby się przesłyszała? Zrobiła następny krok i bulgot stał się wyraźniejszy.

Zdziwiła się. Podmokła łąka?

Po chwili prawa jej noga zapadła się w błotnistą otchłań. Dziewczynka wyszarpnęła ją, ale but został pod trawą. Za- 1 chwiała się, z trudem chwytając równowagę.

Zrobiła jeszcze dwa kroki. Oby jak najprędzej wydostać się z tej dziwnej, mokrej łąki! Sytuacja jednak powtórzyła się. \

Ola chciała się cofnąć, rzucić do tyłu, lecz podłoże chwiało się, jakby miało odpłynąć.

Bagno,..

98

Stała czując, że prawa noga, pozbawiona bucika, miękko wchodzi w grunt. Stopa dziewczynki znalazła się w zimnej, ohydnej mazi. Próbowwała ją wydostać, opierając się na drugiej nodze. Trawa nie wytrzymała jednak obciążenia i poczęła się zapadać.

Ola wyciągnęła przed siebie ramiona. Dłońmi chwyciła lepka ^rawę.

Mrok objął tymczasem bagno i stojący wokół niego ponury, czarny las.

Drzewa wyciągały do niej zakrzywione szpony. Niekiedy skrzypnął pień, jakby naigrawając się z Oli, która wolno, lecz bezustannie zapadała się w błoto.

— Ratunku! — krzyknęła.

Nikt jej nie usłyszał. Tylko noc była świadkiem tragedii.

— Asiu-u-u-u! — krzyknęła jeszcze raz, wyteżając wszystkie siły.

Szukała nogami jakiegoś oparcia. Na próżno.

Znowu próbowała wydostać się na powierzchnię. Nic z tego nie wyszło.

Błoto powoli wsysało ciało dziewczynki, która zdawała już sobie sprawę z grozy sytuacji.

Była tak przerażona, że nie mogła zebrać myśli. Ta czarna puszcza, bagno, drzewa...

I ten księżyc, który wychylił się właśnie zza drzew i oświetlił scenę. Rozgrywał się na niej, wydawało się, ostatni akt dramatu.

— To nie ma sensu. Szukanie igły w stogu siana! — krzyknął Krzysztof. — Musimy wrócić i wezwać pana Maszopę. Bez niego nic nie poradzimy.

Asia siedziała na zwałonym pniu z twarzą w dłoniach. Łzy ciekły jej między palcami.

— Weź się w garść. — Krzysztof pogładził ją po jasnych włosach, pełnych igieł i liści. — W taki sposób jej nie pomożemy.

99

— Chodźmy jeszcze kawałek — chlipała dziewczyna. — A nuż trafimy na ślad...

— Dobrze. Wejdziemy w ten las po prawej stronie. Popatrz, tu są maliny. Może je zbierała?

Wkroczyli w gęstwinę, znów przesyłając sobie świetne znaczki.

Zbyt byli przejęci, aby nadal bać się lasu. Zresztą grozę tłumilo śmiertelne zmęczenie. Mieli wszak za sobą cały dzień morderczego marszu.

Nagle Krzysztof stanął, pochylił się. Na ścieżce, którą właśnie przecinał, leżało coś odmiennego od leśnej ściółki.

— Asia! Prędzej!

Kucnęli oboje. W trawie bieleła kilka grzybów, wyrwanych ludzką ręką i wyrzuconych.

— Szukaj, szukaj! — Asia przyciągnęła pysk Reksa do trawy. — Wąchaj, może to Ola...

Pies kręcił się w kółko. Zdezorientowany spoglądał na las.

Nagle, jakby podejmując decyzję, ruszył ścieżką.

Pobiegli za nim, nawołując...

Maszopa dobrnął na szczyt wzgórza.

— Co się tu dzieje, Michał?  
— Jak to dobrze, że pan przyplynał! — Chłopak rzucił się ku niemu. — Najpierw zaczepiliśmy linę, o, tę, a potem Krzysiek powiedział, że musi być zupa owocowa, Zgodziliśmy się z nim, bo...  
— Nie gadaj tyle. Do rzeczy.  
— Poszliśmy na jagody. Zginęła nam Ola.  
— Dokąd poszła? ■  
— W tamtym kierunku. Ale później może gdzieś skręciła albo co...  
— W suchym lesie nic jej się nie stanie. Najwyżej naje się strachu. Dalej jednak rozciąga się niebezpieczne bagno.  
■ — Ba-gno? — stęknął Michał.  
— Znam krótszą drogę, Biegniemy!

100

Reks szczekał.

Było w tym jego szczeku coś takiego, że Krzysztof z nowym zapalem ruszył przed siebie, wlokąc niemal Asię za rękę.

— Już nie mogę — wymamrotała dziewczynka, któryś już raz potykając się o korzenie.  
— Szybciej!

Pies stał nad brzegiem polany i ujadał. \_^^— Szukaj! — ponaglał go Krzysztof.

— Oleńka! — zawołała Asia.

Strumienie latarek sunęły po polanie. Nagle... widok, który zjeżył im włosy na głowach.

Ola była kilkanaście metrów od nich... W dziwacznej pozycji. Ponad trawą widniała tylko część jej tułowia.

Krzysiek rzucił się ku niej.

— Uważaj! • — krzyknęła Asia, lecz było już za późno. Chłopak znalazł się w mokradle.

— Ratunku... — Ola nie miała sił, żeby wołać głośno.

—• Asia! — wrzasnął Krzysztof. — Długi kij! Pomóż mi wyjść! Prędko!

Dziewczyna skoczyła do lasu i przywlokła po chwili suche, niewysokie drzewko.

— Rzucam! — powiedziała i pchnęła konar na chłopaka. Z wielkim trudem Krzysztof wciągnął się na gałąź. Cały

był umazany błotem.

—• Znosimy patyki. Ola, jeszcze chwilę! Nie bój się! Zaraz cię wydostaniemy!

Układali ścieżkę z gałęzi. Asia zносиła je, Krzysztof zaś rzucał jedną na drugą, coraz bliżej i bliżej Oleńki.

Wszedł potem na ten chybocliwy, delikatny chodnik, Pełznął na kolanach. Jeszcze dziesięć metrów, osiem...

— Asia, prędzej! Rzucaj tutaj, na mnie! Ja już sobie poradzę...

Trzy metry, dwa...

—■ Doskonale! — zabrzmiało z tyłu, — Tylko spokojnie i bez nerwów!

— Pan Maszopa! — Asia podbiegła do niego i rozplakała się, — Ola jest tam..,

101

— Bez gadania — uciał Maszopa. • Znosimy gałęzie. Krzysiek jest. lżejszy ode mnie, ale przy wyciąganiu Oli musi mieć mocne oparcie, Michał, masz tutaj moją latarkę i świeć.

— Już nie mogę... — pisnęła Ola. Była całkowicie wyczerpana.

— Za pięć minut... za pięć minut będzie po wszystkim — wychrypiał Krzysztof.

Wyciągnął ramię. Jeszcze kawałeczek. No, jest już przy niej.

— Krzysztof, łap! — Maszopa rzucił w jego kierunku długą linę, zakończoną woreczkiem z piaskiem.

~ Przywiąż Olę, a my będziemy... — włączyła się Asia.

— Nie przeszkadzaj — rzekł Maszopa. — Poradzi sobie. Widać, że zna się na rzeczy.

Krzysztof przeciągnął linę pod ramionami Oli.

Związał.

Nie starał się nawet wykonać prawidłowego węzła ratowniczego. Czuł, że ciało dziewczynki



wiotczeje. Był to już ostatni moment na udzielenie pomocy.

—• Gotowe! — krzyknął głucho, pochylony do Oli. — Możecie wybierać!

Linka naprężyla się. Maszopa ciągnął z wyczuciem. Koniec liny buchtował Michał. Asia stała nad skrajem topieli i z drżeniem wpatrywała się w dwie, ledwie widoczne w promieniu latarki postacie.

— Puszczaj, Ola — powiedział Krzysztof. — Teraz złapiesz mnie za rękę. Uwaga...

Leżąc, pomagał dziewczynce. Jej ciało powoli wynurzało się z otchłami.

Wreszcie cała znalazła się na chruście. Leżała z zamkniętymi oczyma.

— Jeszcze kawałeczek i będziemy na brzegu! Krzysztof oddychał jak miech.

### Rozdział XIII

Czy jezioro ma kształt potwora? Plany łodzi.

Ola popłynęła do domu natychmiast po powrocie na „Wzgórze Bagienne”, jak nazwali miejsce swego biwaku. Choć wzgórze było suche i w dzień nasłonecznione, to wydarzenia, jakie rozegrały się w jego pobliżu, miały zasadniczy wpływ na nazwę pagórka.

Dziewczynka była wyczerpana, ledwo trzymała się na nogach. Przy tym miała na sobie strój, którego kolor znakomicie współgrał z barwą gleby. Od czasu do czasu odpadały od niej różnej wielkości płaty błota, z łoskotem niknąc w trawie.

Pan Maszopa zapakował Olę do łodzi — a mówiąc dosłownie: rzucił ją jak pakunek — i przetransportował na drugą stronę Jeziora Elżyńskiego. Tak było najśluszniej.

Reszta załogi jednak, choć poruszona do głębi wypadkiem, postanowiła kontynuować wyprawę. Mimo przygody chcieli wykonać zadanie. Reks też nie wyrażał ochoty na powrót, wahając się przed skokiem do łodzi.

Dopiero zatem następnego dnia wieczorem dobrnęli do macierzystej bazy...

Aby być w zgodzie z faktami, trzeba powiedzieć, że nie wyglądali lepiej od wczorajszej Oli, która zdążyła już podleczyć nerwy i zmienić toaletę. Wyprała też strój turystyczny, jaki miała na sobie wczorajszego, tragicznego dnia.

Weszli na podwórko jak trzy cienie. Rozglądali się wokół zdumieni, że wrócili jednak i — o dziwo — żyją. Każde z nich skróciło się przynajmniej o pół metra.

— Dalej nie idę — wymamrotał Michał, stojąc trzy metry od drzwi wejściowych i opierając się na grubym kiju.

103

—• Ja też nie. Nie i koniec — dorzuciła Asia i padła na ziemię.

— Przecież... — Krzysiek chciał powiedzieć, że są właśnie u celu i wystarczy niewielki wysiłek, żeby znaleźć się w łózkach. Urwał mu się jednak wątek, bowiem przejście takiej trasy w upalny dzień odbiera zdolność logicznego myślenia. A nawet myślenia zupełnie zwyczajnego.

W dziwacznych pozach trwali więc przed domem, a wyglądali jak żywe wizerunki z legendy o uśpionych rycerzach, zalanych poświatą księżycową.

— Co wam jest? — Ola „z piskiem opon” zatrzymała się w progu. — Hej...?

Odpowiedzi nie było.

Krzysiek patrzył w ziemię, Asia w niebo, Michał zaś spoglądał na Olę takim wzrokiem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

Wykapani się jednak, choć ta operacja przebiegać rftusiała szybko i sprawnie, albowiem szum wody spływającej do wanny zamykał im powieki.

Zmyli z siebie zwały brudu i kurzu, otrząsnęli się i ostatkiem sił dobrnęli do łóżek.

— Pod żaglami „Zawiszy” życie płynie jak w baj... baj... — zanucił Michał i wyłączył zasilanie.

Zerwali się nader wcześnie: przed południem następnego dnia.

Wypełzli z łóżek wolno i ostrożnie. Każdy bardziej energiczny ruch wywoływał niesamowity ból wszystkich mięśni.

— To ci odpoczynek! — wrzasnął Michał, kiedy stwierdził, że nogi drżą mu jak nowo narodzonej sarence. — Zjem coś i kładę się z powrotem.

— Nie roztkliwiaj się nad sobą! — powiedział Krzysiek, choć i jego kondycja pozostawiała wiele do życzenia, ale on nigdy by się do tego nie przyznał.

Do pokoju wtargnęła Ola.

— Wstawać, chłopaki! — zakwiliła. — Śniadanko będzie dzisiaj w ogródku,  
104

— A pukać cię nie nauczyli? — warknął Michał, który zapinał właśnie koszulę.

— Ojej, jaki delikatny! A tak niedawno sam wleciałeś do damskiego... no...

— Buduaru — odpowiedział Krzysiek.

— Otóż to.

— Wtedy zniknął Krzycho i sytuacja była alarmowa — usiłował bronić się Michał.

. — Teraz też. Jajecznicza stygnie. Kury się wściekną, że cały ich wysiłek idzie na marne. A tak w ogóle — zmieniła temat — to chciałam wam podziękować...

Ola była wyraźnie wzruszona. Ucałowała obydwu chłopców w policzki, a Krzyśka dodatkowo pogłaskała pieścizotliwie po głowie.

— Eeee tam! — Krzysiek spurpurowiał po korzonki włosów. Zdawał sobie sprawę, że wygląda co najmniej idiotycznie, siedząc tak na łóżku rozczochrany i śpiący jeszcze w środku.

— Małe piwo — skomentował Michał. — My tak zawsze...

— Asia już wstała? — zapytał Krzysztof.

— Budziłam ją, ale pogryzła poduszkę i teraz wyłazi z pierza, — Ola zachichotała. — Zaraz chyba zejdzie. Powiedziała, że włoży klipsy.

— KH... co? — Michał nie mógł skojarzyć sobie tej nazwy z przedmiotem.

— Takie żabki na uszy.

— Aha...

— Babska sprawa. — Krzysiek wzruszył ramionami — Nam nic do tego. Niech sobie przyczepiają swoje żabki. Idziemy?

Jedli w milczeniu. Każdy starał się uporządkować biegające pod czaszką, niesforne myśli.

— Masz szkic? — zapytała Asia.

— Szkic? — Krzysztof bujał chyba jeszcze gdzieś myślami bardzo daleko.

— Rysunek jeziora.

— W pokoju.

— Przynieś, popatrzymy...

105

— Michał, bądź tak dobry i skocz na górę. Mapka leży pod poduszką.

— Dobra — bez komentarzy zgodził się Michał, co wywołało nieme zdziwienie.

Po chwili szkic znalazł się na środku stołu.

— I co?

— Zwyczajne jezioro.

— Ale kształt! Miał coś przypominać...

Obracali papierem to w jedną, to w drugą stronę. Nie odzywali się słowem.

Maszopa pochylił się nad stolikiem. Mruczał coś przez chwilę i kiwał głową.

— Wyprawa uwieńczona sukcesem, mili państwo — rzekł. — ■ Tak właśnie wygląda Elżyńskie.

Macie ołówki? Poprawię tylko część zachodnią jeziora...

Kilkoma ruchami wygiął jeszcze linię brzegową. Gdzieś tam zagęścił drzewa, domalował niewielką rzeczkę, której nasi wędrowcy nie zauważyli, oraz przedłużył nieco cypel.

— ■ Teraz jest akurat — ■ orzekł, trzymając kartkę przed sobą i mrużąc oczy. — I co wam to przypomina, he?

— Potwora na dwóch łapach — strzelił Michał.

— Tylko bzdury ci w głowie! — Asia skrzywiła się. — ■ Nic, tylko potwory, kosmici, UFO i inne gady...

— ■ No i co? Każdemu to samo może przypominać coś innego!

— ■ Powieście szkic na drzewie i przypatrzcie mu się. Może ten kształt skojarzycie sobie z czymś znanym?

— ■ Kamień? Zwierzę? Roślina? — wahała się Ola.

— A gdybyście sięgnęli do geografii? Trochę namysłu i będziecie wiedzieć.

, Mieli niepewne miny. Mrugali oczyma, chrząkali i wzruszali ramionami.

— Ma pan atlas? — spytał Krzysiek.

— Pewnie, że mam. Stary, jeszcze niemiecki. Spróbujcie jednak bez atlasu. Co prawda rok szkolny się skończył, ale w makówkach pozostały chyba jakieś resztki,...

106

— Pójdziemy z tym na cypel, dobrze? — Asia podniosła się z ławeczki. — Wygrzejemy stare kości, pomoczymy w wodzie nogi...

— Spójrzcie na to z tej strony — odezwała się Ola, gdy leżeli już na piasku. Michał głucho stęknął, masując obolałe uda i krytycznie spoglądając na nabrzmiałe pięty. — Kształt jeziora rzeczywiście przypomina zwierzę. Z otwartą paszczą.

— Przecież pan Maszopa mówił o geografii, a nie zoologii — wtrącił Krzysiek. — Więc na przykład jakieś państwo. Chociażby Francja.

— Albo .morze — powiedziała Asia.

— Morze?

— Co może? — zapytał Michał.

— Nie „co może”, tylko morze, woda.

— Może woda? — Michał w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Był wyraźnie wyczerpany, również umysłowo.

— Pokręciło ci się w głowie od tego wszystkiego — rzuciła Ola.

— Taki na przykład Bałtyk — ciągnęła Asia. — Tu leży Polska, tam Szwecja. Proste, nie?

— To trzeba było od razu tak mówić — z obrażoną miną wtrącił Michał.

— Rzeczywiście, coś w tym jest. — Krzysiek wstał i założywszy ręce do tyłu zaczął spacerować.

— Auuu!!! — wrzasnął nagle, skacząc na jednej nodze, drugą zaś trzymając w garści. — Jakies szkło czy muszla, niech to...

—i Nie hałasuj! — rzekła Ola. — Człowiek tyle przeżył i nie podnosił wrzasku.

Krzysiek się zmieszał, ale nie powiedział tego, co pomyślał, że do końca wakacji Ola strugać będzie bohaterkę, choć przecież to oni ją uratowali, a nie ona ich.

— Tu domalujemy Gdańsk — Michał zerwał się z ziemi — a tam Gdynię.

— I Sopot!

— Nie ma Helu...

108

— Bornholmu też nie-

— Za to jest jakaś tajemnicza wyspa, którą możemy odwiedzić. Może są tam ludożercy? — wyraziła przypuszczenie Ola.

—■ No, Judzie! — Asia wzniosła ręce do nieba. — Jezioro ma być do czegoś podobne, a nie identycznie takie samo.

—■ Wtedy by się zgadzało. Jak się nazywają te zatoki? Jedna Fińska...

— A druga Botnicka.

— Botnicka to ta większa,

— Nie wiadomo tylko, czy panu Maszopie akurat o to chodzi.

— Zapytamy, zobaczymy...

Rzeczywiście, Jezioro Elżyńskie miało kształt Morza Bałtyckiego. Maszopa z uznaniem klasnął w wielkie dłonie i pokiwał głową.

— Nie jesteście...

—' ...tacy głupi, na jakich wyglądamy! — dokończył ze śmiechem Michał.

— Moi drodzy, myślenie ma ogromną przyszłość. W szkole na pewno dostajecie same piątki. W tym momencie Krzysiek zaczął kaszleć, Michała znów rozboleły nogi, Asia wyciągnęła z kieszeni lusterko i poprawiła fryzurę i tylko Ola poważnie pokiwała głową.

— Staramy się ~ rzekła. — Ale czwórki też nam się zdarzają.

— O, tak! Zdarzają się czwórki. To święta prawda — energicznie przytaknął Michał.

— Teraz już wiem — Ola aż podskoczyła — jak leśniczy chciał zakończyć swoje opowiadanie przy ognisku. Borowiczek płakał po swej Eli tak długo, że zrobiło się jezioro, a na pamiątkę tego,

że dziewczyna wyjechała nad morze...

— ...jezioro przybrało kształt Bałtyku — uzupełniła Asia. — Czy tak miało być, proszę pana?

— Zgadza się. Skoro już wszystko wiecie, trzeba ten plan

109

przerysować na inny papier, wypisać odpowiednie nazwy i pomalować na różne kolory. A teraz czeka na was pan Nowicki. Mieliście coś wspólnie zaplanować...

— Wszystko wiemy. — ■ Michał machnął ręką jak człowiek, który posiadał wszelkie rozumy. — Jezioro jest jak Bałtyk, bo Ela uciekła nad morze.

— Uciekła, Ela? — Pan Nowicki podniósł okulary na czoło i wlepił oczy w Michała.

— To pan nie wie?

— Zna pan przecież legendę o Borowiczku, a Michał trochę przekręcił...

— Co przekręciłem, no co? — oburzył się Michał. — Tak właśnie było.

— Aha! — pan Nowicki zaśmiał się. \* — To ta Ela! Najpierw jednak siadajcie. Miejsca jest aż nadto.

Zakrzętała się przy kuchni, stawiając wkrótce na stole dzban z herbatą.

— Przynieście szklanki i babkę — powiedział.

— Mówił pan o budowie jakiejś... — Michał był niecierpliwy.

— Bierzcie cukier... Odpowiada wam ta propozycja?

— Ja lubię słodką herbatę — powiedział Krzysiek.

— Ależ chodzi mi o budowę łajby!

— Nigdy jeszcze nie robiliśmy czegoś takiego — odezwała się Asia. — Toteż nie mamy pojęcia, jak się do tego/zabrać.

— To żaden problem, moi mili. — Pan Nowicki sprawiał wrażenie, że gdyby zaplanowali zbudowanie rakiety między-galaktycznej, podszedłby do problemu równie zdecydowanie. — Po pierwsze: drewno pływa, a więc zbudować trzeba z tego materiału.

—\* Okręty są stalowe, — Michał błysnął nagle głęboką wiedzą.

—• Okręty płyną — zgodził się pan Nowicki niezbyt pewnie — a nie sama stal. Po drugie — odszedł zgrabnie od sprawy okrętu — jednostka musi być przystosowana do rejsu w

110

każdych warunkach z liczbą cztery do sześciu, a nawet do siedmiu osób załogi. Pasuje?

— Tak, naturalnie. — Krzysztof co do tego nie miał wątpliwości, — Czy jednak tyle ludzi...

— Może być mniej, to nie przeszkadza,

— Aha...

— Żeby jednak ruszyć na morze, bo przecież nasze jezioro ma kształt Bałtyku i niewiele jest od niego mniejsze, trzeba zabrać prowiant, ubrania, konieczny sprzęt i moc innych niezbędnych rzeczy. Musi być magazynek...

—■ Zgadza się. — Asia pokiwała głową. — I koło ratunkowe czy kapoki.

— I wiadro — dorzucił Krzysiek.

— Dlatego nasza łódź musi mieć odpowiednią wielkość i wytrzymałość.

— Tratwa! — wykrzyknął Michał. — Tratwa będzie najlepsza!

Wszyscy zamilkli, czekając na reakcję pana Nowickiego. Ten jednak miał minę komicznie żalną.

— Tratwa — mruknął pogardliwie. — Czy prawdziwi marynarze żeglują na takim niewydarzonym placku z pni i desek? A może z beczek? Byłby to wstyd i hańba! Jeżeli chcecie pływać na tratwie, ja do tego ręki nie przyłożę.

— Więc łódź?

— Najchętniej zbudowałbym z wami jakąś kaszubską, tradycyjną łódkę — powiedział pan Nowicki. — Na- to jednak nie możemy sobie pozwolić.

— Kaszubską? A różni się ona od innych? — spytał Michał.

— O, tak! Kaszubi przecież żeglują po morzu od wielu wieków. Jeszcze stosunkowo niedawno po Zatoce Gdańskiej pływało wiele kaszubskich jednostek, takich jak czółna, zugi, skutki czy pomeranki. W większości odeszły one do historii i bardzo rzadko któraś z nich rozwinie swoje żaglowe skrzydła nad morzem.

— Język kaszubski jest taki dziwaczny... Pan Nowicki roześmiał się.

111

— Górale też posługują się swoistą gwarą. Pamiętajcie jednak, że język polski, którego używamy na co dzień, czerpał również z gwary kaszubskiej. Mogę wam powiedzieć kilka kaszubskich słów z terminologii żeglarskiej. Mieszały się w niej kiedyś słowa rodzime, niemieckie, holenderskie, skandynawskie. Dzisiaj już się takich słów prawie nie używa. Słuchajcie... Wiecie, co to jest wiosło? Tak? Wątpię... To przecież drąg do odpychania się od dna. A rymy? Rymy to dwa wiosła. Gniazdo masztu nazywało się spur, wanta — iftong, nadburcie zaś — szonsklyda. Długo by można wylizować...

— Jaką łódź będziemy budować?

—• Żadną z tych, które wymieniłem. Byłoby to zbyt trudne. Mogę zaproponować wam wykonanie solidnej łodzi, do której wejdzie siedem osób: sześciu wioślarzy i sternik, oraz ma-natki, jakie są potrzebne.

— To już skutnictwo,.. ~ odezwał się z wahaniem Krzysiek.

— Eee, zaraz skutnictwo! Prosta ciesielka i wszystko. Za kilka dni, najdalej za tydzień, modemy wodować. Więc jak?

Dzieci spojrzały po sobie. Posiadanie własnej łodzi było pokusą nie lada, tylko że najgorsze to własnoręczne budowanie. —• Zaryzykujemy? — Krzysiek był prawie zdecydowany.

— Czeką nas jednak ciężka praca, uprzedzam. Powiedziałem: ciesielka, ale prawdę mówiąc, mało kto potrafi dziś zbudować taką łódź. Nie wiem, czy dacie radę.

— Spróbować chyba można.

—i A ty, Michał — pan Nowicki wskazał na niego palcem — chyba jesteś słaby, co?

— Ja, słaby? — Michał wyraźnie poczuł się dotknięty, nadał się więc jak balon napęczniony gazem i puszczony ponad dachami wieżowców.

— Dźwigał największy toból z garnkiem. — Ola wstawiła się za przyjacielem.

— Pokazać wam plany? — spytał pan Nowicki z tajemniczą miną.

— Oczywiście! — Asia machnęła dłonią, zrzucając ze stołu szklanekę, która z trzaskiem rozprysnęła się na kawałki. —

112

Bardzo przepraszam! — Rzuciła się do zbierania szklanych drobin.

— To na szczęście —• powiedział ze śmiechem pan Nowicki. — Zaczekajcie chwilę.

Na stole pojawił się stos ksiąg, przede wszystkim o żeglarstwie i okrętach wojennych.

— A to — rzekł pan Nowicki, zawieszając głos i rozkładając wielki arkusz kalki technicznej — to jest nasza łódka. Zaprojektowałem ją już dawno, ot tak sobie, lecz nikt jej jeszcze nie budował.

Spójrzcie, jakie to proste. Tutaj jest dno, lekko wygięte burty, uniesiony dziób i rufa, ogromny forpik, trzy ławki... Zobaczcie, ile miejsca! — mówił z coraz większym zapałem. — Można zrobić komory wypornościowe w przedniej części forpiku i pod ławkami.

— Trzeba strugać wiosła.

— Pagaje, kochani, tylko pagaje! I sternik również używa takiego samego wiosła. Nie trzeba robić rumpla, który po ka-szubsku nazywa się ylmund. Potem tylko kosmetyka i wypływamy.

— Jaką damy jej nazwę?

— „Marzenie"! — krzyknęła Ola nie zastanawiając się ani chwili.

— Pierwszy pomysł jak zwykle znakomity. — Pan Nowicki uśmiechnął się promiennie. — Ta łódka od dawna jest moim marzeniem. Akceptujecie?

— Brawo! — Michał aż podskoczył z wrażenia.

— Jutro skoro świt przychodzicie do mnie. Idziemy do drewnutni i zaczynamy — powiedział gospodarz. — Czy macie może jakieś inne plany?

— Raz kozie śmierć — rzekła Asia. — Słuczonej szklanki nie da się zlepić i decyzji też nie zmienimy.

Postanowili więc, że to marzenie się spełni.

8 „

Rozdział XIV

Upał. Prace skutnicze. Elementy na kozły. Pudło spada z szafy.

— Jesteście wreszcie! — Pan Nowicki powitał ich przed swym schludnym domem. — Dlaczego tak późno?

Odziany był j<sup>i</sup>r w kombinezon, taki, jakiego używa się w stoczniach: granatowe spodnie na szerokich szelkach. Z bocznej kieszeni wystawał koniec żółtej metrówki.

— Późno? — zająknął się Michał. — Pędziliśmy jak szaleni. A śniadanie łykaliśmy w drodze jak popędzane gęsi.

— Na świeżym powietrzu lepiej smakuje — dorzuciła Ola śmiejąc się wesoło — szczególnie jak nie ma czym popijać bułki z serem.

— Michał o mały włos byłby się udusił — poinformowała Asia. — Trzeba go było walić po plecach.

Pan Nowicki tryskał energią. Oczy mu błyszczały z podniecenia.

Krzysztof przyglądał się ukradkiem temu prawie siedemdziesięcioletniemu człowiekowi z bujną grzywą siwych włosów i dziwił się, że tyle w nim młodzieńczej radości i werwy. Nie wiedziałem, pomyślał, że można być tak młodym w starości. To stwierdzenie, które nagle przyszło mu do głowy, miało według niego filozoficzną głębię, postanowił je więc zapamiętać.

— W porządku, robaczki świętojańskie — rzekł pan Nowicki. — ■ Ale każda chwila jest droga.

Spójrzcie: słońce dawno już wstało, przyroda się obudziła, rosa nawet zdążyła wyschnąć. Człowiek powinien chodzić spać r kurami...

— Z kim? — parsknął Michał.

— Nie słyszałeś? Z kurami - fuknął na niego Krzysiek.

114

Michał jednak zaczął się śmiać tak rechotliwie, że zaraził tym wszystkich.

— ■ To... musi... być... bardzo niewygodne — wyrzucał z siebie wśród chichotu.

Nowicki śmiał się wraz z innymi.

— Tak się tylko mówi, kolego — powiedział, kiedy się uciszyło. — Dobrze jest iść na spoczynek, gdy zapada zmierzch, wtedy właśnie kury włączają do kurnika i zasypiają. Ale oczywiście w naszych czasach nie jest to możliwe. No i wcześniej wstawać. Kto rano wstaje...

— ...ten w południe ziewa — zakończyła Asia niezupełnie zgodnie z przysłowiem.

— Przebierzcie się, a potem przyjdziecie do drewnitni. Musimy się zastanowić nad kolejnością naszych prac. Czekam na was. Zakurzę sobie jeszcze papieroska i rozejrzę się po dechach.

Weszli do pokoju, w którym poprzedniego dnia pili herbatę i jedli domowe ciasto.

— Muszę napisać opowiadanie, jak topiłam się w bagnie — poinformowała zebranych Ola.

— Opowiadanie? — zdziwił się Michał.

— Nie wiesz, że Ola zabawia się w pisarza? — spytała Asia z udanym zdziwieniem. — Wozi zawsze ze sobą zeszyt i opisuje w nim różne przygody i zdarzenia.

— Naprawdę? — ■ Michał spojrzał na Olę z niedowierzaniem. — Pokażesz mi ten zeszyt? — spytał nachylając się ku niej.

~ E tam. Nic ciekawego.

— Na pewno fajne rzeczy.

— Wiesz, czasem kładę się na tapczanie i myślę. Poznają zwierzęta, zaprzyjaźniam się z krasnalami i kwiatami, chodzę po kolorowych ogrodach...

— Ja też zamykam oczy i widzę przybyszy z kosmosu i gwiazdne wojny. Niektórzy śmieją się ze mnie, kiedy o tym opowiadam. Może też mam to opisać?

'—\* Oczywiście! Jak się w przyszłości przyłożysz, powstanie

115

z tego prawdziwa książka. Po powrocie do domu coś ci przeczytam ze swojego zeszytu.

■ — Tylko na pewno, obiecałaś!

— Ja dotrzymuję obietnic, nie to co niektórzy...

Wyszli na dpór. Nowicki 'skrył się gdzieś za stertą desek.

— Jesteśmy! — krzyknął Krzysiek.

— Aaa, to znakomicie! Chodźcie tutaj. Rozłożyłem cały plan, a tam leżą rysunki poszczególnych

elementów konstrukcyjnych.

— Drewna starczy?

— Kochani, powiem wam coś, ale żądam zachowania ścisłej tajemnicy. Zgoda?

— Naturalnie!

— Te deski przeznaczone były na podłogę w moim domu. Leżą tu od ubiegłego roku i schną. Znakomicie nadają się teraz do obróbki.

— A dlaczego to jest tajne? — szeptem spytał Michał.

— Gdyby się we wsi dowiedzieli, że zamiast podłogi zrobiłem z tych desek łódź, wzięliby mnie na języki. Wiecie, jacy są czasem ludzie. Na pewno by powiedzieli: stary i pstro mu w głowie. Nie ma porządnej podłogi, a wybudował łódź, która nie wiadomo po co jest mu potrzebna. Ludzie nie wszystko rozumieją...

— No bo pewnie: co z tą podłogą? — zapytał Krzysiek. — Widzicie, już pierwszy prześmiewca się znalazł. Zawsze

chciałem tę łódź zbudować. Już w młodości ciągnęło mnie do wody. Ale później, po wojnie, okazji nie było. Zająłem się czymś innym i wreszcie osiadłem tutaj. Długo byłem sołtysem, tak, tak. Z roku na rok były jednak rzeczy ważniejsze niż jakaś tam łódka. Czy one rzeczywiście były ważniejsze? W domu podłoga jest. Widzieliście, chodziliście po niej. Stara, bo stara. Ale jeszcze i mnie przetrzyma... Mam wnuka. Wyjechał właśnie z rodzicami za granicę. Może pn, kiedy dorośnie, położy nową podłogę...

Zamyślił się przez chwilę. Wreszcie wolno powiedział, nie patrząc na nikogo:

116

— bo marzyć trzeba zawsze. O wszystkim: o rzeczach pięknych i strasznych, o dalekich morzach i nie zdobytych górach. O tym co człowiek najbardziej pragnie. Czasem jakieś marzenie się spełni. Krzysztof, chwytaj tę deskę, przeniesiemy ją na kozły. A wy następne.

— od czego zaczniemy? — Asia wydubała drzazgę z dłoni. — Zbijemy dno czy burty?

— Wydaje mi się, że najpierw z tych krótkich dech spro-filujemy wręgi. Będą podstawą szkieletu. Mamy elektryczną piłę, strugarkę, młotki, dłuta, piły, wkrętaki; wszystko w tamtej skrzyni. Słońce grzało coraz mocniej. Ostry dźwięk piły tarczowej wwiercał się w uszy, a wióry tryskały wokoło. Pan Nowicki przycinał deski. Elementy przenoszono na kozły, aby tam wygładzać je strugarką i papierem ściernym, którego cały rulon stał w kącie drewnutni.

Była to rzeczywiście mordercza robota. Dzieci zrzucały z siebie wierzchnie odzienie.

— Przy pracy słońce bierze — powiedziała Ola, stojąc już w kompletnym stroju kąpielowym. — Chciałabym wrócić do domu opalona jak Murzynka.

— Na razie piecze. Nie było jeszcze ani kropelki deszczu..

— Wypłuj to słowo, Michał! Przypomniało mu się! Nit wolno kusić losu. Ani słowa więcej na ten temat.

— Dobrze już, dobrze. — Michał wzruszył ramionami. — ■ Ale na plaży opalać się jest o wiele przyjemniej.

— Wcale nie — włączył się pan Nowicki. — Właśnie przy pracy, jak zauważyła Ola, słońeczko chwyta najszybciej.

— Ręce już bolą od tego tarcia. Będzie jakaś przerwa?

— Miejmy nadzieję.

— Zmęczeni? — Pan Nowicki oglądał dokładnie każdą deskę, gładził ją i odkładał na bok. — Skończymy elementy wręgów i umkniemy do domu. Przygotowałem cały garnek kompotu, moi mili...

— O, właśnie! — krzyknął Michał. — Język przysycha mi do podniebienia. W ustach mam same trociny, piasek i popiół. Niedługo nie będę mógł wypowiedzieć ani jednego słowa.

118

- No to skocz do kuchni. Przynies trochę kompotu w kance i metalowy kubek. Albo, jeśli chcecie, sok z kiszonych ogórków... Trzeba czyścić mocniej, moje robaczki. Każdy element musi być gładziutki jak lustro. Wręgi składać się będą z trzech takich kawałków, ustawionych pod kątem i złączonych śrubami. Poprzycinałem je już na odpowiednią długość. Wyżłobimy tylko miejsca

złączeń i do wieczora tę część roboty mamy z głowy.

. — Do wieczora — westchnęła Asia, — Padniemy tu z gorąca. Duchota taka...

— Co to za gorąc! — skwitował to śmiechem pan Nowicki — Gdybyście wiedzieli, jak w Afryce operuje słońce. Wisi prawie nad głową i wierci w niej dziurę.

— Był pan tam?

— Owszem.

— Dawno?

— Wydaje się, jakby to było wczoraj, a przecież minęło czterdzieści lat! Trwała wówczas wojna...

— Wojna w Afryce? — Michał znów zadał pytanie, nie przemyślawszy go do końca.

— Wojna ogarnęła cały świat — powiedział pan Nowicki. — Zahaczyła również i o ten kontynent.

— Pływał pan wtedy?

—• Hola, hola! Bierzmy się do roboty, bo czas ucieka. Później pokażę wam zdjęcia. Chcecie?

— Stare? — spytała Asia.

— Z tamtych czasów. Byłem wówczas młody, nosiłem czapkę na bakier i miałem jeszcze wszystko przed sobą.

Członkowie załogi — teraz, kiedy jednostka była w budowie, słowo „załoga" poczynają nabierać znaczenia — nie byli przyzwyczajeni do ciężkiej, fizycznej pracy.

Stało się tak, że każdy siedział na jakimś pniaku i w milczeniu, ponuro, szlifował deskę. Z boku zaś pan Nowicki piłą ramową i dłutem wykonywał nacięcia do łączenia poszczególnych elementów.

Słońce przechyliło się już na drugą stronę nieboskłonu. Naprędce przygotowane kanapki z serem i ogórkiem dawno

119

już zamieniły się w spożytkowaną energię. Trzeba było pory- I śleć o obiedzie,

—i Czyścimy i składamy narzędzia. Zapraszam was do 1 domu — powiedział pan Nowicki.

— Pomożecie mi przygoto- i wać jedzenie. Proponuję, żebyśmy od razu poszli się umyć i przywędrowały do kuchni. Sam przecież nie przyrządzę za- i dnego smakołyku!

Z piersi brygady stoczniowej wyrwało się westchnienie ulgi. Ola postanowiła jeszcze tylko usunąć zadziory na końcu I jednego z elementów. Uparcie szorowała gładkie już drewno.

— No! — huknął pan Nowicki, gdy bez ducha padli na kanapę. — Można was zaliczyć do kwalifikowanych specjali- | stów budowy okrętów.

— Mam bąble — stwierdził Krzysiek.

— Ja też — dodała Asia. — Wolę już szyć na maszynie. I To bardziej kobiece zajęcie.

—■ Po wakacjach uszyjesz mi taką długą, balową suknię — zaproponowała Ola. — Musi mieć tysiąc falbanek, wstążeczek i guziczków.

— Jeszcze czego! Wiesz, ile to pracy?! Zwykłą sukienkę szyje się parę dni.

— W takim tempie, jak ty to robisz...

— Nie bądź złośliwa. Gdyby siedzieć od rana do wieczora, to poszłoby szybciej. A tu jeszcze dochodzi szkoła.

— Albo dyskoteka z Jarkiem.

—• Cicho bądź! — Asia zrobiła się purpurowa. — Nie pchaj nosa do nie swoich spraw!

—■ Ja tam wolę sklejanie modeli samolotów i okrętów — wtrącił się Krzysiek. —• Do szycia nie wziąłbym się za żadne skarby.

— To łatwe — powiedziała Asia. — Kroisz materiał we- | dług rysunku i potem to wszystko łączysz.

— Sklejasz okręty? — Pan Nowicki słyszał z kuchni tę | interesującą dysputę. — To pewnie znasz klasy jednostek bojowych, co?

—• Jasne! Pancerniki, krążowniki, lotniskowce, niszczyciele, fregaty, korwety...

120

— Dobry jesteś, bratku: Dziewczyny, chodźcie wreszcie! — zawołał gospodarz. — Krzysztof, ty jesteś najstarszym mężczyzną w tym towarzystwie, wejdiesz więc na taboret i zdejmiesz z szafy to wielkie pudło. Uważaj, jest dość ciężkie.

Chłopiec zsunął karton, a następnie — głośno sapiąc — podał je Michałowi.



W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Przyszła Basia z Jankiem.

— Dzień dobry — powiedziała Basia. — Jak się macie?

— Wspania... — odparł Michał i ciężkie pudło wypadło mu z rąk. Huknęło donośnie o podłogę, a wokół rozsypały się setki zdjęć.

— Co robisz, chłopie! — Krzysztof był wściekły. — Zawsze musisz nawalać. Masz chyba dziurawe ręce!

— Oj, nie krzycz, nic się przecież nie rozbiło. Gdyby w środku były szklanki, to co innego.

— Pomożemy wam pozbierać. — Janek kucnął przy pudle.

— Słyszeliśmy, że miałaś wstrząsającą przygodę. — Basia z troską zwróciła się do Oli. — Dobrze, że wszystko skończyło się szczęśliwie. Wlazłaś na bagna, co? Straszna historia.

— Asiu, wyłącz zupę — krzyknął pan Nowicki. — Jeśli chcesz, dopraw ją czymś. Słoiczki i flaszeczki są w kredensie.

Wreszcie łyżki zadzwięczały o talerze. Jedli w skupieniu, Michałowi zaś kleiły się oczy. Wszyscy byli bardzo zmęczeni pracą i słońcem.

— Która godzina? — spytała Asia.

— Trzecia za siedem.

— Przed nami długi jeszcze dzień...

— Części do wręgów mamy gotowe, poszło nam o dziwo dosyć szybko — powiedział pan Nowicki. — Możemy je połączyć i poustawiać na kozłach do góry dnem. Zmocujemy je tylko deskami... A teraz obejrzymy fotografie.

r Zasedli wokół kartonu.

Rozdział XV

Świat wspomnień... Pierwsze „wodowanie”? Powrót ze śpiewem. Historia z zeszytu.

— Nigdy nie miałem czasu na uporządkowanie tych fotografii — powiedział pan Nowicki. — Wszystko jest przemieszane, nie ma chronologii ani kronikarskiego sensu. Będziemy zatem wyławiać obrazki zupełnie losowo, bez planu... Basiu, podaj mi jakieś zdjęcie.

Dziewczynka wzięła pierwsze z brzegu. Nowicki pochylił je tak, aby światło padało na obraz. Zmarszczył brwi, lecz po chwili roześmiał się szeroko.

— Oto jedno z pierwszych zdjęć, jakie zrobiono mi Anglii. Trafiłem tam w trzydziestym dziewiątym roku na pokładzie kontrtorpedowca ORP „Burza”...

Zamyślił się przez moment.

— Trzy okręty wyszły z Bałtyku pod koniec sierpnia tegoż roku. Może dlatego uniknęły losu „Wichra” i „Gryfa”, które zginęły na Helu już w trzecim dniu wojny. \*

— I cały czas był pan na „Burzy”?

— Do czterdziestego drugiego. To zdjęcie jednak pochodzi z pierwszych miesięcy wojny. W tle widać angielskie miasto, a ja pozuję przy swoim dziale z taką napuszczoną miną... Byłem artylerzystą, wyobrażacie sobie? No... dalej, podawaj. Gdybym chciał dokładnie opowiedzieć o każdej fotografii, nocy by nam nie starczyło... Dziękuję. Co teraz mamy? Okrętowa maskotka, sympatyczny kocur. Przywiązał się do mnie. O, a tutaj stoję z angielską dziewczyną w mundurze. Była to wrenka, skrót od angielskiej nazwy Pomocniczej Służby Kobiet, stąd ten mundur.

122

—• A to? —■ Michał przyglądał się czemuś od pewnej chwili.

— Angielski hełm. Takie nosiliśmy na okrętach: płaskie jak talerze... Tutaj zaś, w tropikalnym stroju, jesteśmy na Morzu Śródziemnym. Eskortowaliśmy konwój, który wiozł żołnierzy, osławionych później udziałem w bitwie o Monte Cassino. Popatrzcie, sztorm! Atlantycka fala przewala się przez dziób, okręt idzie pochylony, a ja w zjudwestce trzymam wachtę. Kołnierz podniesiony, zimno. Grube rękawice. Musieliśmy nosić takie pasy ratunkowe. Bez przerwy mieliśmy je na sobie, nawet podczas snu. W każdej chwili mogliśmy być zaatakowani przez inboota...

— Co to było? — zapytała Ola.

—■ Niemiecki okręt podwodny — udzielił odpowiedzi Krzysztof. Klejąc modele sięgał zazwyczaj do literatury fachowej wyciąganej z biblioteki ojca.

—■ Tutaj czyścimy działo długim, skręcanym z kawałków wyciorem. Taaak... Ten chłopak z rozwianymi włosami później zginął, uderzony w głowę odłamkiem niemieckiej bomby lotniczej. Liczył sobie niewiele ponad dwadzieścia lat. A na pewno miał wiele marzeń, planów, podobnie jak wy teraz. Był człowiek i go nie ma. Koniec. Ciało pochowaliśmy w morzu zgodnie z ceremoniałem... Jak on miał na imię?#Heniek? Żywy, wesoły, taki trochę jak Michał, grał na gitarze i śpiewał rzewne piosenki: o dalekim domu, umajonych ogrodach i spacerze po nadmorskim bulwarze...

— „Burza” zatonała?

—■ Nie, kochani. Po wojnie wróciła do Polski, jeszcze trochę pływała, później zaś zrobiono z niej muzeum. Zwiedziło je tysiące ludzi. Ja sam byłem na niej kilkakrotnie.

— Musimy tam pójść — powiedział Michał.

~ Już nie. „Burza” była stara i oddano ją na złom. Taki jest los każdego okrętu, choćby najbardziej sławnego. Teraz oglądać można „Błyskawicę”, piękny, niegdyś supernowoczesny kontrtorpedowiec. Dzisiaj mówi się...

— Niszczyciel! — dorzucił Krzysztof.

— „Błyskawica” stoi przy Skwerze Kościuszki w Gdyni.

123

— Zwiedzaliśmy ją z klasą - włączyła się Ola. — Tylko nie pamiętam, jak się nazywa.

— A tutaj znowu... Co to? Zaraz, zaraz... Już wiem! Byłem w specjalnym obozie, gdzie zrobiono ze mnie podoficera. Do munduru przyszyłem trzy złote paski i zostałem bosmanmatem. A mat we flocie to jak major w piechocie, mówiło się wówczas.

— Jak pan wrócił do Polski?

— Na „Błyskawicy” właśnie. Wcześniej jednak przeszedłem z „Burzy” na inny okręt. Wiele było jednostek bojowych, które pod polską banderą służyły u boku brytyjskiej marynarki. Mieliśmy przecież dwa krążowniki, niszczyciele, okręty podwodne, ścigacze...

— Na tym zdjęciu stoi pan z kolegami.

— To już na moim nowym okręcie. Polacy dostali takie trzy. Były to niszczyciele eskortowe, które otrzymały piękne nazwy: „Kujawiak”, „Krakowiak” i „Ślązak”. Trafiłem na „Ślązaka”. Eee, kochani, był to okręt cacko, zgrabny, szybki i nieźle uzbrojony, a przy tym zupełnie nowoczesny.

— Czy jest tu gdzieś jego zdjęcie w całości?

— Było, oczywiście, było... Wyjmiemy część tych fotografii, to się znajdzie.

— O, jest! — Michał podał jakiś niewielki fotogram.

— To nie „Ślązak”. Widzicie? Ten ma na burcie wymalowany numer 'taktyczny „H-34”, który nosiła „Błyskawica”. Szukajcie „L-26”. Miałem gdzieś rysunek wykonany przez pana Werkę, najlepszego portrecistę statków i okrętów, wycięty z jakiegoś czasopisma.

— Mam! — Asia triumfowała, trzymając poszukiwaną rycinę. -- Proszę — podała ją panu Nowickiemu. Ten wygładził złożony papier.

Marynarz wpatrywał się w barwny obraz. Mruczał pod nosem i kiwał głową.

— Walczymy z samolotami — rzekł wreszcie w zamyśleniu. — Ja jestem w rufowej wieży „stodwójki”. Dość duży kaliber. Nadlatują junkersy i messerschmitty, a my bezustannie rąbiemy po niebie. Mordercze tempo. Podajemy ładunki, celu-

124

jemy i chwytamy za dźwignię odpalania. Głowa pełna huku i łoskotu. Widzimy te samoloty, jak nurkują na nas z wyciem, czekamy, aż bomba rąbnie prosto w nas. Ale już się nawet nie boimy, chcemy tylko trafić w tego hitlerowskiego łobuza albo go chociaż odgonić. Jeśli atakuje nas, daje spokój okrętom, które ochraniają. Konwoje bez przerwy chodziły przez Atlantyk. Na okrętach były nieprzebrane ilości bezcennego ładunku wojennego i mnóstwo ludzi. Ile tego poszło na dno,

ilu ludzi nigdy już nie wróciło do domu...

— Bandera ładnie tu wygląda.

— Tak, \*\*biało-czerwona. Niemcy byli wściekli. Krzyczeli przecież na cały świat, że Polski już nie ma. Ale jak „nie ma”, skoro okręty działają na” wszystkich morzach i noszą barwy narodowe? Takie maleńkie kawałeczki Polski pływają wszędzie i wbijają wrogowi bolesne szpile! Topią ich jednostki, strącają samoloty. Bali się Polaków w starciach bojowych, wiecie li bowiem, jak potrafimy walczyć... No, kochani, obiadek ju' zjedzony. Posprzątajcie talerze, a ja tymczasem pochowa zdjęcia. Na pewno będziemy mieli jeszcze okazję w nich poszperać.

Znowu wyszli na słońce. Zrobiło się parno, a od zachodniej strony niebo pociemniało.

Teraz już w składzie siedmiu osób montowali elementy wręgów.

— Panie Nowicki — spytał Krzysztof — a może naszą łódź nazwiemy „Ślązak”?

— Nie. To imię jest święte. Nasza łódź, choć też będzie poważną jednostką, nie jest okrętem wojennym. ORP „Ślązak” odszedł w mrok historii. Już go nie ma. Anglicy sprzedali go po wojnie Indiom, gdzie pływał jakiś czas pod nazwą „God-avari”. Cóż, niechaj „Ślązak” żyje w naszych sercach, na fotografiach, we wspomnieniach...

— Opowie nam pan, gdzie walczył ten okręt?

— Z wielką przyjemnością, tym bardziej że byłem na nim od chwili podniesienia polskiej bandery do zakończenia wojny. O, to jest historia pełna dramatów... Teraz ustawimy wręgi na kozłach i przybijemy listwy mocujące. Od jutra przygotowu-

126

jemy dalsze części. Oby tylko pogoda dopisała, bo robi się ponuro, zobaczcie, co się dzieje.

— I duszno.

— Czego to jest oznaka, wiecie?

— 'Burzy z piorunami! — Ola trafiła w dziesiątkę.

—■ Na wszelki wypadek przykryjemy później wszystko brezentem.

Nadchodził wieczór. Stocznia zamilkła.

Każdemu choć jeden raz wyrwało się — najczęściej niechcący — pytanie o deszcz. A wiedzieli, że nie wolno o tym mówić.

Spróbujcie jednak wytrzymać!

Powiedzcie sobie: „nie będę mówił słowa deszcz”, kiedy właśnie jego, w skrytości ducha, obawiacie się najbardziej. Niełatwo jest upilnować języka, kiedy czyni on różne fanaberie. To palnie głupstwo, puści plotkę, ugodzi kogoś boleśnie lub — w rozpędzie — zahaczy o najskrytszą tajemnicę. I cóż począć z takim urządzeniem, które potrafi być krnąbrne, nieposłuszne i narowiste? Trzymać go w klateczce za zębami? Ależ to zupełnie niemożliwe!

I doczekali się skutków swego gadulstwa.

Wywołali przysłowiowego wilka z lasu. Niebo, czerniejąc, zakryło tak piękne dotychczas słońce. Granatowy kozuch chmur ciągnął wprost na nich, a potęgujący się wiatr gwizdał już w konarach drzew, gnąc je i szarpiąc.

Byli ledwie w połowie drogi, gdy dopędziły ich pierwsze krople, wielkie, prawie jak kurze jaja. Odskoczyli w bok, pod drzewa, i zatrzymali się u stóp rozłożystego dębu.

— Ochroni nas Borowiczek. — Michał otrząsnął się z wody. — Pewnie tutaj mieszka.

— To nie ma sensu — powiedziała Asia, której wilgoć rozprostowała kręcące się lekko jasne włosy. — Możemy sterczeć tu do jutra. Przecież leje coraz bardziej.

127

— Przemkniemy pod drzewami. — Marynarz miał rację, że przykrył kozły z wręgami —■ odezwał się Krzysztof.

Między sobą mówili o Nowickim właśnie „marynarz”, czemu zresztą pan Nowicki na pewno byłby rad.

—< Mokre drewno się wypacza — podkreślił Michał.

— Powiedział, co wiedział.

—• A co, nie mam prawa? Tylko ty jesteś mądry?

— Też mi mądrość — odparował Krzysiek. — Uważaj, żeby ci się głowa od takiej mądrości nie spaczyła.

Asia zarechotała.

— Oj, wy, mężczyźni, jesteście jak dzieci...

—• Biegnijmy! — Ola wkroczyła do dyskusji, która mogła przybrać niebezpieczne rozmiary, zakończone możliwą do przewidzenia awanturą. — Od drzewa do drzewa. I tak zresztą zmokniemy.

Ruszyli galopem. Wkrótce zmoczeni już byli do suchej nitki.

Na drodze powstały kałuże, na których rześisty, ciężki deszcz tworzył pęcherze powietrza. Niebo grzechotało ponuro, przetaczając nad głowami anielskie kręgle.

—• W czasie burzy nie wolno biegać! — Michał zatrzymał się nagle.

— W lesie można. Byle nie po otwartym polu.

— Ani stawać pod samotnym drzewem. Piorun trzaśnie i po tobie.

— Pędzimy!

— Biegiem marsz! — zakomenderował Krzysiek.

Do domu było jeszcze daleko, w pewnej chwili więc załoga doszła do zupełnie prostego wniosku, że bardziej mokrzy już nie będą.

Zwolnili kroku i szli teraz rozchlapując błoto i oblizując wargi z deszczowej wody.

— Możemy to potraktować jako chrzest bojowy — rzekła Asia. —■ Pierwsze wodowanie naszej znakomitej, sławnej na cały świat ekipy.

128

- Lewa, lewa! — wrzasnął Michał, bijąc tenisówkami po kałużach. — Śpiew od czoła!

— Nie strasz przyrody.

—< Trzy, cztery! —■ Chłopak nie dawał za wygraną. — Kompania wykonuje koncert b-rooll.

— Co śpiewamy?

— Jak będziemy otwierać usta, to się potopimy! Na lądzie! Wstyd.

- — Słoneczny marsz!

— Słoneczny, cha, cha, cha!

— Uwaga...

—■ „Wszyscy wraz, wszyscy wraz, zaśpiewajmy marsz, hej, bracia, wraz, niech każdy z nas...”

Rzeczywiście śpiewali. Tego bezspornego faktu ukryć się nie da.

Musimy jednak ze smutkiem — zatykając szczelnie uszy —■ poinformować, że zbiorowe śpiewanie nie było najmocniejszą stroną naszej załogi.

Oto Krzysztof, przechodzący mutację, piał to grubo, to nagle cieniutko jak pisklę.

Michał, choć w śpiew wkładał niezwykle wysiłek, aż oczy wychodziły mu z orbit, wył o dwa tony za wysoko.

Asia, nie bardzo znając słowa, włączała się tylko wówczas, kiedy domyślała się, co trzeba śpiewać.

Funkcjonowała więc jak popsute radio, które ma czkawkę, czyli okresowe przerwy w transmisji.

Ola natomiast, potykając się o ściółkę, i nie dotrzymując kroku reszcie maszerującej grupy, kwiliła własnym rytmem zupełnie inną piosenkę.

Razem wyglądało to jak porykiwanie cielaków zaatakowanych przez osy.

Obawiamy się, że przemarsz naszej załogi spowodował wypłoszenie zwierząt z najbliższej okolicy.

Przeżalone małe i duże stworzenia umknęły chyba w najdalsze rejony kaszubskich lasów.

Na domiar złego wzmógł się deszcz, głosy więc pomieszały się z kłaskaniem nóg w kałużach.

8 — Wakacje

129

Wreszcie znaleźli się w domowym zaciszu, powitani radośnie przez gospodarzy.

Zdjęli ubrania, wykręcili je nad wanną, która jnapelniła się prawie po brzegi, pani Maszopowa zaś

rozwiesiła odzież nad kuchnią.

— Ola, wyjmij swój zeszyt — powiedział cicho Michał idąc po schodach w kąpielówkach. — Zaraz przyjdę, tylko włożę coś cieplejszego.

Na okładce grubego brulionu widniały kolorowe rysunki zwierząt, unoszących się nad modrymi falami. Małpka z uśmiechniętą minką siedziała na palmie, a zgrabna łódź kiwała się w rytm niebieskich fal.

Tytuł zeszytu brzmiał: „Nieprawdopodobne historie”. Znać było ponadto na brulionie ślady częstego użycia.

— Proszę —■ rzekła niepewnie Ola wręczając go chłopakowi.

Każda z opowieści opatrzona była ilustracją. Staranne i kształtne litery tworzyły wyrazy, wyrazy — zdania, te zaś układały się w interesujące historie.

—■ Nikt tego jeszcze nie czytał — rzekła Ola opanowując treść. — Jestem ciekawa, jak to się słyszy. Przeczytaj coś głośno.

— Co?

— Na przykład o czarodziejskim kwiecie, opowieść numer trzy, napisaną w październiku zeszłego roku, kiedy założyłam ten zeszyt.

— Dobra, czytam.

— Poczekaj! Najpierw przeczytaj sobie po cichu, żebyś się potem nie pomylił, wtedy staniesz i wyrecytujesz tak, jakbyś był na scenie. Z uczuciem, wiesz...

— Nie wygłupiaj się.

— To nie żarty. Ja zamknę oczy i będę sobie wyobrazać, że jestem w teatrze. Dobrze?

— Niech będzie.

Za oknem szumiał deszcz, wystukując o dach monotonna melodię.

— Jestem gotów — oznajmił Michał.

130

— A ja zamieniam się w słuch — odrzekła Ola kładąc się wygodnie na łóżku.

— „Czarodziejski kwiat”,... — zaczął chłopak.

—• Bardziej melodyjnie. Nie wstydź się. Niech ci się zdaje, że jesteś sam i robisz próbę głosu. Poza tym ja mam większy powód do zdenerwowania.

— Dlaczego?

— Nie rozumiesz? Przecież jestem autorką.

—■ Faktycznie, o tym nie pomyślałem. Wobec tego odwrócę się do ciebie tyłem i oboje będziemy jakby oddzielnie.

— W porządku. Świetny pomysł.

— „Czarodziejski kwiat — jeszcze raz zaczął Michał. — Pewnego pięknego dnia poszłam na łąkę, aby zbierać kwiaty do wazonu.

~ Szłam powoli, ponieważ miałam dużo czasu. Zawsze mam dużo czasu, bo nikt mnie nie pyta, co robię. Bardzo lubię spacerować.

Kiedy już z naręczem kwiatów wracałam do domu, zobaczyłam małą stokrotkę. Nie była to jednak zwyczajna stokrotka, a przekonałam się o tym tak...

Zbierałam tylko długie kwiaty, bo wazon był wysoki. Mała stokrotka nie była mi potrzebna, chociaż wyróżniała się urodą.

Ominęłam ją więc i już chciałam odejść, gdy kwiatek przemówił ludzkim głosem:

— Zerwij mnie, proszę, zerwij, a nie będziesz tego żałować. Schyliłam się i zerwałam kwiatek.

W domu wszystkie

kwiaty umieściłam w wazonie, stokrotkę natomiast zabrałam ze sobą na dwór.

Na dworze spotkałam koleżankę Kasię, która właśnie dostała nowy, błyszczący rower.

— Bardzo bym chciała mieć taki rower — powiedziałam do Kasi.

I w tej chwili stanął przede mną taki sam rower, kolorowy i całkiem nowiutki.

¶

Kasia zdziwiła się, a kiedy jej powiedziałam, że to dzięki stokrotce, zaczęła mi zazdrościć.

Opowiedziała zaraz o tym zda-

rzeniu dzieciom na podwórku. Wszyscy przybiegli i ktoś wyrwał mi kwiat. Potem bili się o niego i zniszczyli stokrotkę.

Rower zniknął, a ja wróciłam do domu i było mi smutno."

Zapadła cisza.

— Podoba ci się? — spytała Ola.

—■ Fajne... Ale jak mogłaś oddać stokrotkę? Ja bym nigdy do tego nie dopuścił. I taki rower straciłaś! Wiesz, ile jeszcze prezentów dostałabyś od tego kwiatka?

—■ Ja wszystko tracę. Przyjaciół też — z goryczą powiedziała Ola. —■ Wiesz, chciałabym mieć przyjaciółkę, na której zawsze mogłabym polegać. Zawsze! Czy jest dobrze, czy źle. Żeby mnie nie oszukiwała, nie zostawiała samej, żeby pomagała mi w ciężkich chwilach... Nie miałam szczęścia takiej znaleźć. Może nie ma dla mnie przyjaciółki?

—« Dłaczego przyjaźnisz się z kwiatami, zwierzętami i duszkami ze swego zeszytu?

—■ Oni jeszcze nigdy mnie nie zawiedli. Pojawiają się, gd jestem w potrzebie, dają mi trochę radości i znikają. A gd zamykam oczy, zaraz są przy mnie, spełniają moje życzenia albo pokazują piękny świat. Rozmawiają ze mną o wszystkim, pytają, jak było w szkole, przejmują się moimi kłopotami i zmartwieniami...

Michał siedział ze spuszczoną głową.

—■ Ja ci zawsze będę w życiu pomagał — powiedział wreszcie. — Kiedy będzie ci smutno, daj mi znać, zaraz przyjadę na rowerze i cię rozweselę. Chcesz?

— Chciałabym — odparła Ola.

Rozdział XVI

Wręgi pod plandeką. Diabeł morski. Opowieść pana Nowickiego.

Rozpadało się na dobre.

Las wyglądał, jakby się nań patrzyło przez źle wyregulowaną lornetkę. Wierzchołki drzew niknęły w szarym, niskim kożuchu chmur.

Umówili się jednak z panem Nowickim i trzeba było iść. No i poszli, choć nie mieli na to najmniejszej ochoty. Wilgoć wałcząca z nieba drobną mżawką nie zachęcała do pracy przy łodzi, choć trzeba przyznać, że ta praca stawała się coraz bardziej ciekawa.

Wręgi, zmontowane poprzedniego dnia i ustawione na kozłach, połączono listwami, które wskutek tego lekko się wygięły. Tak też już miały pozostać.

Szkielet zatem stał spokojnie i czekał teraz na dalszy montaż.

Gdy zmrúżywszy oczy spoglądało się na ową konstrukcję, można było sobie dośpiewać resztę.

Wystarczyła odrobina wyobraźni, a tej nasi przyjaciele mieli pod dostatkiem, kto wie, czy nie w nadmiarze.

— Trzydniówka — orzekł pan Nowicki patrząc w niebo, kiedy zielone stożki (czyli dzieci pod pelerynami) znalazły się przed jego domem.

Zabrali się jednak do pracy. W suchej drewnutni cięli i szlifowali deski na poszycie.

—■ Mam zasadnicze pytanie — odezwał się w pewnej chwili marynarz. — Łódź wkrótce będzie gotowa. Pomyśleliście jednak, co dalej?

—■ Oczywiście, ruszamy w rejs! — wykrzyknął Michał.

133

—■ Nie wymyśliłeś nic nowego — rzekł Krzysiek. — To zaplanowaliśmy już na początku.

— A przed rejssem? Zastanowili się.

— Musimy przewieźć nasze „Marzenie" —: oznajmiła Ola.

— Chyba że spłynie z deszczem do jeziora — dodała nie bez złośliwości Asia.

— We wszystkim macie rację. Co jednak trzeba zrobić przed wypłynięciem, gdy już łódź będzie na brzegu?

— Malowanie.

— Czyszczenie.

— Pakowanie!

—■ Ejże, moje robaczki! A nie słyszeliście o doniosłej uroczystości...?

— Wodowanie! — wykrzyknęła Asia, która uczestniczyła kiedyś w podobnej imprezie w Stoczni Gdańskiej.

— Zgadza się. Uroczyste wodowanie połączone z nadaniem imienia, a nawet — w naszym wypadku — z podniesieniem bandery...

—• O rany, skąd weźmiemy banderę?

— Powiem wam w tajemnicy, że pani Ma szopo wa pięknie haftuje. Od lat robi kaszubskie wyszywanki. Te wszystkie obrusy, serwetki i poszewki na poduszki, które znajdują się w ich domu, są dziełem jej rąk. Może ona coś poradzi?

— Tym razem ja będę miała świetny pomysł — wyrwała się Ola. — Zorganizujemy konkurs na scenariusz uroczystości.

— Pomysł do niczego — orzekł Krzyś. — Siądziemy dzisiaj i napiszemy. Co ci po konkursie? Tylko zbędna biurokracja.

— ...kracja — potwierdził z przekonaniem Michał.

W mieszkaniu sporządzili plan wodowania, który prezentował się ciekawie i bogato.

— Mamy nowy dokument — powiedziała Ola, która i tym razem sporządziła protokół — i włożymy go do naszej butelki.

Pamiętamy, że podczas historycznej narady, jaka odbyła się przed samymi wakacjami, właśnie Oleńka spisywała propo-

134

zycje zaplanowanych poczynąń. Zdobywała więc powoli nie byle jaką specjalność.

—■ Kto będzie mistrzem ceremonii? —■ spytał pan Nowicki.

Spojrzeli na Krzyśka.

Wtedy wpadła Basia z Jankiem.

— Siadajcie, bo jest ważny moment — zwrócił się do nich marynarz i nakazał ciszę.

— On ma największe doświadczenie — rzekła Asia wskazując na Krzysztofa. Musimy tu jednak dodać, że w karierze Krzysztofa odnotować należy co najwyżej prowadzenie ogniska i apelu szkolnego, na którym to apelu zwrócił się do pani dyrektor per „druhno dyrektorko”, na co szkoła ryknęła śmiechem, a pani dyrektor... lepiej nie mówić.

— Słuchajcie — odezwał się Krzysiek. — A może uroczystość poprowadzi Ola? Przecież to ona wymyśliła nazwę dla naszego krążownika. Co ty na to? — zwrócił się do dziewczynki.

— Nie potrafię robić takich rzeczy. — Ola zbladła jak ściana. — Wszystko zepsuję, jak zwykle...

— Nauczysz się, co za problem!

— To jest mądry pomysł — z uznaniem powiedział pan Nowicki. — I bardzo szlachetny. Nie każdy potrafi zrezygnować z popularności na korzyść przyjaciela.

— Ja nie chcę — oświadczyła Ola. — Trzeba mieć donośny głos.

— O, masz wystarczająco donośny — orzekła Asia, która знаła swoją siostrę i jej niektóre akcje na podwórku.

— Zgódź się, co ci zależy — włączyła się Basia. — Nawet jak się pomylisz, to nikt się nie będzie śmiał.

— No, po męsku — rzekł Janek. — Raz kozie śmierć...

— To tak, jakbyś występowała w teatrze — powiedział Michał. — Wykujesz rolę, jaką zaraz napiszemy, a później już tylko występ przed publicznością.

— Boję się...

— Znajdziemy stokrotkę i po kłopocie — dodał chłopiec tajemniczo.

—• Jaką stokrotkę? — zapytał ze zdziwieniem pan Nowicki.

135

— Taki kwiatek, który wszystkim pomaga, tylko trzeba go szanować i chronić.

— Znajdziemy go razem —\* rzekł Krzysztof na chybił trafił.

—• To nic trudnego, wiem, gdzie rosną — powiedziała Basia.

— Ola musi sama. — Michał zachowywał się jak adwokat, który zna najskrytsze tajemnice swego klienta. — Jej sprawa.

— Teraz coś wam pokażę. — Pan Nowicki podniósł się z krzesła. — Mam tutaj coś, co was

zainteresuje.

—I Ojej! — Asia podskoczyła z wrzaskiem, kiedy marynarz położył przed nią jakieś dziwaczne, zasuszone stworzenie.

— To diabeł morski — powiedział pan Nowicki. — Obejrzyjcie go dokładnie, a ja opowiem wam dramatyczną historię ze swego życia. Po powrocie do Polski, gdy ustały już działania wojenne, osiadłem na Wybrzeżu i zająłem się rybaczeniem. Znałem się na morzu, a kiedyś pływałem na kutrze. Co szkodziło mi jeszcze raz spróbować? Wydarzyło się wtedy coś, co zakończyło moją rybacką karierę. O mało co nie postradałem życia. Nie wróciłem już nigdy na morze, choć kocham je bardzo, i osiadłem w naszej wsi...

Opowieść pana Nowickiego

„Podobno diabeł morski, ta dziwaczna ryba, która od czasu do czasu wyskakuje z wody, przefruwa kawałek na swoich niewielkich, jak widzicie, skrzydełkach i spada z powrotem w fale — jeśli więc owo stworzenie da się złapać, a potem wysuszyć, to, powieszzone na cienkiej niteczce, dobę przed sztormem odwraca się pyskiem do wiatru. Och, gdybym miał tego diabełka w listopadzie 1948 roku...

Jeśli idzie o przewidywanie pogody, to — nie śmiećcie się! — bazowaliśmy wówczas głównie na strzykaniu w kościach, z dziada pradziada oznajmującym zmianę ciśnienia. Zaraz po wojnie, w prymitywnych warunkach, przewidywaliśmy więc pogodę jak starożytni Wikingowie!

Byłem wtedy jednym z lepszych rybaków w naszej spółce.

136

Nie przechwalałem się, o, nie, w moim wieku nie odczuwam już t%kiej potrzeby. Otóż pewnego dnia prezes wezwał mnie do siebie i powiedział: skompletujesz załogę na kuter, który właśnie opuścił stocznię.

Nie była to nowa jednostka, tylko .gruntownie wyremontowana. W poniedziałek wyjdę na jeden zaciąg próbny. Sprawdzimy, jak jednostka hula po morzu.

Były wówczas kłopoty z żywnością. Liczył się więc każdy sprawny kuter, który dostarczał ryb.

Morze stawało się coraz bardziej niespokojne: ot, listopad. Miałem wątpliwości, czy w ciągu kilku sobotnich godzin uda mi się skompletować załogę, prezes jednak nie słuchał żadnych uwag.

Obejrzałem jednostkę. Nie okazała się taka »dopieszczona«, jak po remoncie można by oczekiwać.

Widoczny był pośpiech stoczniovców: pewnie mieli ważniejsze zadania. Po ogromnych zniszczeniach wojennych rozkwitał przemysł stoczniowy kraju o ponad pięćsetkilometrowym wybrzeżu morskim.

Kuter miał maszty z żaglami. Tych urządzeń w stoczni nawet nie tknięto. Może inżynierowie uważali, że to przeżytek? Żagle, owszem, dawały się stawiać, lecz z niemałymi oporami.

Cóż było jednak robić? Zaczęliśmy przygotowania. Załogę znalazłem szybko — na jeden zaciąg...

W poniedziałek zjawiliśmy się w położonych obok Gdańska Górkach Wschodnich. Był świt.

Wielkie płyty mokrego śniegu oblepiały twarz; aż dziw, kiedy w lipcu opowiada się o śniegu, prawda? Mocniej wiązaliśmy szaliki, wkładaliśmy ocieplane rękawice.

Było ponuro, ciemno, wiatr z gwizdem hulał w pobliskich drzewach, a nasz kuter nerwowo szarpał się na cumach, raz za razem uderzając burtą o nabrzeże.

Oczy zachodziły łzami, a przy każdym słowie kłęby pary wydobywały się z ust. Powiniennem był wówczas dać spokój, zrezygnować z wyjścia, nie opuszczać bazy. Czy jednak taka pogoda to dla mnie pierwszozna? Dla kogoś, kto pływał po Atlantyku, na »Burzy« i »Słazaku«? Dam sobie radę, myślałem. Ma się przecież ten marynarski honor!

138

Kazałem uruchomić silnik. Mechanik skoczył na dół. Coś załomotało, lecz nie usłyszałem terkotania. Silnik nie chciał zapalić.

— Zły omen, panie szyper — rzucił grobowym głosem jeden z rybaków, Kostek. — Może ta krypa boi się wyjść, co?

Był to silnik żarowo-palny, którego wystająca część w kształcie gruszki rozżarzała się podczas pracy. Narysuję wam go...

Wreszcie ruszyliśmy. Wokół panował nieprzenikniony mrok\*. Wziąłem kurs na główki wyjściowe.



Walcząc z falami znaleźliśmy się na północ od Krynicy. Zaczęliśmy wyrzucać sieci. Pracujemy w pocie czoła. Wytężamy wszystkie siły, żeby jak najsprawniej przeprowadzić naszą operację. Cztery osoby walczą na pokładzie, mechanik na dole, przy silniku. Kiwanie zwiększa się coraz bardziej. Deski pokładu uciekają spod nóg, drżą i skaczą. Maszty kreślą na niebie jakieś magiczne znaki. Ale przecież sieć odchodzi za rufę, układa się prawidłowo, wkrótce będziemy mogli zacząć wybieranie. Tylko ten jeden, jedyny próbny zaciąg! Garby wodne co chwila przelewają się przez pokład. Łądu nie widać. Cóż to jednak dla nas, w razie czego wystarczy odrąbać sieci i pędzić do bazy. I właśnie wtedy, gdy prawie cała sieć była już za burtą, mechanik — zwariował czy co? — uchylił jeden z bulajów znajdujących się tuż nad silnikiem z tą rozżarzoną gruszką. Chciał może łyknąć świeżego powietrza, nie wiem. Wtem nadleciała ogromna fala i rzuciła się na kuter. Runęły na nas ze dwie tony. Walnęło nami o deski. Zmiażdżyło niemal, wtarło w pokład. Ale to się zdarza. Wstaniemy i po strachu. Część wody dostała się jednak do maszynowni. Rozpalona gruszka prysnęła jak bańka mydlana. Dobrze, że nie poraniło mechanika. Dopiero po pewnej chwili uzmysłowiliśmy sobie, że nie

139

mamy już silnika. Nie ma napędu. A zapasowej gruszki brak. I nadal ciemno, i śnieżycy... Na szczęście sieci działają niczym dryfkotwa — ustawiają nas dziobem do fali. Przynajmniej nie musimy jak małpy trzymać się osprzętu. Ale trzeba jakoś dostać się do bazy. Jak, do stu piorunów?! Podejmuję decyzję: stawiamy grot! Fały mokre, napęczniałe, ledwie szorują się w blokach. Plujemy w dłonie, wybieramy. Wiatr łapie płachtę, szarpie z wściekłością i hukiem. Żagiel już stoi. Wydyma się i ciągnie. Patrzymy na niego z zadartymi głowami. Wtedy grzmot — płachta pęka! Próbuje to samo z drugim żaglem-----skutek podobny, choć po zrefowaniu. Zostaje nam kłęb bezużytecznych szimat. Żagli zapasowych nie ma. Radiostacji też nie. Są dwie czerwone rakiety, możemy je wystrzelić, to przecież sygnał SOS, lecz w kurzawie nikt ich nie zauważy. Cały dzień, jak rozbitkowie, czekaliśmy na zmianę pogody. W tym czasie morze dryfowało nas w stronę łądu. Rzuciliśmy kotwicę, odrąbaliśmy sieci. Hak trochę pomógł, włókł się po dnie, lecz lina, do której był uwiązany, nie wytrzymała naporu wody. Pękła, a kuter jął obracać się bokiem do fali. Wicie, co to znaczy! Kuter to nie niszczyciel czy krążownik. Wystarczyłoby kilkadziesiąt sekund, aby fala go zatopiła. Uszczelniliśmy wszystkie włazy i bulaje. Kiwanie rosło. Maszty przewalały się od horyzontu do horyzontu. Gdy zaczął zapadać zmrok, śnieżycy zelżała. Ujrzeliśmy dalekie światła łądu. Pod wieczór niebo się przetało, a zza pędzących, ciężkich chmur wychylił się jasny i wielki księżyc. Zdecydowaliśmy się na wystrzelenie rakiety. Załadowałem pistolet, szarpnęło ramieniem i czerwona raca poszybowała w niebo. Opadała niemrawo, smętnie. Potem poszła druga i... ostatnia. Nikt naszych wezwań nie dostrzegł. Noc była koszmarna. W każdej chwili jakaś większa fa-

140

la mogła roztrzaskać łajbę, rozpruć jej burtę, zalać pomieszczenia, a nas wszystkich strącić w kipieli.

Pochowaliśmy się, gdzie kto mógł, ale tak, aby w razie czego wydostać się do wody. Dla marynarza woda to śmierć lub wybawienie...

Czekaliśmy.

Czekaliśmy widząc, że ląd jest coraz bliżej, i jeśli w ciągu kilku najbliższych godzin nie nastąpi cud, jeżeli fala się nie położy, wiatr nie ściennie — to morze z całą bezwzględnością wypłuje nas na brzeg.

Nad ranem kiwanie stało się inne, przybojowe.

Brzeg był tuż...

I wreszcie nastąpiło to, na co czekaliśmy z przerażeniem: jedna z fal podniosła nas do góry, a następnie cisnęła kutrem w dół.

Tam już był pierwszy próg. W pobliżu brzegu dno morskie ma takie progi...

Ogromny wstrząs przygniótł nas do desek pokładu. Zaczęły pękać wiązania.

Nastąpiło drugie uderzenie. Próg był za nami. Mechanik krzyknął, że woda wdziera się do kadłuba. Zesztywnieliśmy z zimna. Dłonie nam zdrętwiały. Mokra ubrania lepiły się do ciała. A my... czekaliśmy nadal.

Kuter miotał się to w jedną, to w drugą stronę, nieuchronnie zbliżając się do miejsca, gdzie musiało znajdować się następne wyrzucenie dna.

I kolejne uderzenie. Waliliśmy kadłubem o morskie dno. Nie było ratunku. Do brzegu zostało kilkadziesiąt metrów.

Kostek złapał linę i wyskoczył za burtę. Woda sięgała mu do ramion, lecz każda fala przykrywała go. Parł ku brzegowi w lodowatej wodzie.

Dobrnął.

Koniec liny przywiązał do drzewa i, wyczerpany, położył się obok niego.

Skakaliśmy teraz do morza po kolei. Trzymając się liny wypełzaliśmy na brzeg.

141

Następna fala wściekłą mocą porwała kuter i wbiła go w dno.

Prysnęły maszty, puściło olinowanie. Pienista woda lizła już nadbudówki; jak drapieżnik, który spokojnie zlizuje krew z upolowanej przez siebie zwierzyny.

Ze łzami patrzyliśmy na kuter, który ginął.

Kadłub pochylił się, jeszcze drżał, jakby w konwulsjach. I tak pozostał. Nikt go już nigdy nie wydobył, bo i po co? Morze wessało swoją zdobycz.

A wtedy śnieżycą znowu otuliła cały świat..."

— O rany, dobrze, że jest lato, a nie zima — szepnął Michał.

— Uratowali się wszyscy? — zapytała Asia.

— Tak. Wróciliśmy do bazy. Ja jednak już nigdy nie wyszedłem na morze.

— Jak łódź będzie gotowa, diabła powiesimy w tym pokoju, dobrze? — spytała Ola.

— Będzie wisiał tu, nad stołem. W porę nas ostrzeże...

Rozdział XVII

Inżynieria przynosi efekty. Transport. Uroczyste wodowanie. Awans.

Dni upływały na ciężkiej pracy.

Codziennie o świcie załoga stawiała się w stoczni. Basia z Jankiem przychodzili później, ale natychmiast przystępowali do działania.

Burty i dno łodzi z wolna uzyskiwały właściwy kształt. „Marzenie” wciąż leżało do góry stępką, tak bowiem wygodniej było montować poszczególne elementy.

W tym czasie pani Maszopowa wyszywała proporzec. Późnym wieczorem, w jasnym kręgu lampy, trzymała na kolanach jaskrawozielony kawałek materiału. Spod jej paków wyłaniały się kaszubskie, stylizowane kwiaty z wkomponowaną w nie złotą, harcerską lilijką.

— Czegoś takiego jeszcze nie robiłaś — mówił ze śmiechem Jan Maszopa.

— ■ Rzeczywiście. Ale prócz tego przygotowuję niespodziankę. Ten rejs będzie przecież dla dzieci nie tyle jakim wydarzeniem.

Do stoczni przychodzili i inni mali mieszkańcy wsi, aby obejrzyć powstające dzieło.

Każdego dnia, gdy naczelnny konstruktor i budowniczy ogłaszał przerwę na obiad, wraz z pożywną zupą serwował jedną ze swych opowieści.

Dom pana Nowickiego, na ogół pusty i cichy, tętnił teraz życiem. Dzieci siadały na kanapie, krzesłach czy wprost na podłodze i w milczeniu czekały, aż gospodarz odsunie talerz' i powie:

— Pewnie chcecie usłyszeć coś ciekawego, moje robaczki, co?

Robaczki zaś kiwały potakująco głowami i spoglądały na promieniejącą szczęściem twarz starego człowieka, który u schyłku życia stał się nagle wszystkim potrzebny.

Odkrywał przed nimi tajniki morskich głębi, mówił o dramatach, jakie rozegrały się w czasie wojny, o zatopionych skarbach i krwawych bitwach.

Wraz z nim słuchacze uczestniczyli w nocnych patrolach „Ślązaka”, strzelaniu do niemieckich samolotów, walkach pod Dieppe, w inwazji na Włochy, rejsach po Morzu Śródziemnym, w operacji normandzkiej. Wędrowali również po Kaszubach sprzed setek lat, łowili ryby, polowali na zwierzynę i uczyli się starych piosenek.

Marynarz czekał zawsze na absolutną ciszę, która winna zapaść w pokoju.

— Był wtedy sztorm jak sto diabłów — zaczął pewnego razu. — Wiecie przecież, jak wygląda taki sztorm. Okręt unosi dziób wysoko, pokazując stępkę, po chwili zaś wbija się w ogromną falę, która zakrywa pokład aż po nadbudówki...

Kiedy, Szanowny Czytelniku, znajdziesz się podczas wakacji w rejonie Jeziora Elżyńskiego, musisz odszukać dom pana Nowickiego i poprosić go o ©powieść. On przecież wciąż na Ciebie czeka...

Któregoś dnia, gdy nasi przyjaciele zjawili się w stoczni, nad łodzią widniał wieniec z polnych kwiatów.

— Ta część roboty skończona — powiedział gospodarz. — Dzisiaj obracamy „Marzenie” i wykańczamy je od góry.

Łódź okazała się ciężka. Cóż, gdyby modelowali burty z wodoodpornej sklejki, byłyby znacznie lżejsza.

Thumek dzieci stanął po obydwu stronach łodzi. Kadłub, uniesiony do góry, przesunięty został poza koźły, obrócony i położony na ziemi.

Marynarz cofnął się kilka kroków.

—■ Chodźcie tutaj —■ zawołał. — I coś powiecie, he?

Przyglądali się łodzi. Brakowało jeszcze zabudowy głębokiego forpiku, fałszburty, ławek, flagsztoku i innych szczegółów

osprzętu, lecz kształt kadłuba był rasowy. Miał lekko wygiętą linię, wysoko uniesioną rufę — miejsce dla sternika i jednocześnie dowódcy — i tępo zakończony dziób.

— Uporamy się z tym w dwa dni — powiedział pan Nowicki. — Potem pokryjemy drewno materiałem konserwującym i farbą. Ale, ale... — klasnął w dłonie — jaki kolor jej damy?

— Zielony! — strzeliła Basia.

— A może żółty?

— Najlepszy byłby biały...

— Mamy jeszcze trochę czasu, to pomyślimy. Trzeba będzie kupić w mieście farbę.

Ostatecznie postanowiono — nie bez ostrych sporów — że burty będą jasnozielone, forpik brązowy, natomiast wnętrze łodzi uzyska barwę żółtą.

W poniedziałkowe popołudnie przed dom pana Nowickiego zajechała furmanka. Siedział na niej ojciec Basi, który obiecał przewieźć „Marzenie” nad jezioro.

— Uwaga... — podał komendę marynarz. — Gó-ó-óra! Łódź znalazła się na platformie.

Przymocowano ją jeszcze linami.

„Marzenie” opuściło stocznię. Woźnica, dzierżąc lejce, maszerował obok wozu.

Michał nie wytrzymał.

— Na cześć „Marzenia”, które wyrusza w podróż, trzykrotne hip-hip...

— Huraaa! — odkrzyknęły dzieci.

A stary marynarz kroczył z tyłu, uśmiechał się i miał błyszczące, jakby zapotniałe oczy...

W przystani naprędce przygotowali slip, prowadzący od pomostu ku wodzie.

Asia wymalowała na burtach nazwę łodzi. Przykładała wycięte z brystolu szablony liter i gąbką, nasączoną czerwoną farbą, dotykała otworów. Z własnej inicjatywy naniosła jeszcze na dziób

kształt wielobarwnego motyla.

146

Rankiem zaś rozpoczęła się uroczystość.

Pan Nowicki stawiał się punktualnie, lecz dzieci ledwie go poznały. Wydobył oto z szafy stary marynarski mundur, którego nie miał na sobie od wielu lat. Błyszczały złote guziki, lśniła biała czapka, spod której wymykały się gęste, siwe włosy. Z trudem hamował wzruszenie.

— Ja chyba umrę ze strachu, — jęczała Ola.

— Wszystko przecież umiesz — powiedział Krzysiek. — Powtarzałaś to z milion razy.

Ubrali się w harcerskie mundurki. Ze zdumieniem przyjęli prośbę Jana Maszopy, żeby nie wkładać chust.

— Czeka was niespodzianka, o której dowiecie się później...

Przybył leśniczy z dwoma gajowymi.

— Złapaliśmy tego łobuza — zwrócił się do Krzyśka, klepnawszy go po ramieniu. — Przypląwał nocą z drugiej strony jeziora, zabierał łup i umykał tą samą drogą. Zauważył go gajowy, a potem zaczął się na niego.

— Co się z nim stało?

— Odstawiliśmy go do miasta. Zapłaci wysoką grzywnę za łamanie leśnego prawa. Nie opłaciło mu się kłusownictwo.

Zebrali się na pomoście.

— Piękna sztuka, Ryszardzie — powiedział leśniczy do pana Nowickiego. — Przypomniały ci się stare dzieje, prawda? A w tym mundurze wyglądasz jak admirał!

— Proszę... — odezwała się Ola drżącym głosem. — Proszę wszystkich o uwagę. Mam zaszczyt rozpocząć uroczystość wodowania wspaniałej łodzi, jaką zbudowaliśmy pod kierunkiem naszego przyjaciela, pana Ryszarda Nowickiego, który teraz...

— Brawo! — huknął leśniczy. Posypały się oklaski. ,

— ...który teraz wygłosi przemówienie!

Marynarz wystąpił pół kroku. Założył ręce do tyłu i chwilę milczał. Wszystkie oczy skierowane były na niego. Chrząknął.

— Każdy w życiu o czymś marzy — powiedział. •— Ja

147

chciałem być kiedyś dowódcą okrętu, szyprem rybackiego kutra, łowiącego gdzieś u brzegów Afryki. Pragnąłem zwiedzać świat, poznać różne kraje i kontynenty. Losy jednak ułożyły się inaczej. Ale teraz marzenie moje jakby się spełniło. Stoi ono przed wami, zbudowane dłońmi harcerzy i wiejskich dzieci. Ich ręce stwardniały od ciężkiej pracy. Jestem pewien, że oni kiedyś, w moim także imieniu, ruszą w świat i pokłonią się tym zakątkom, których mnie zobaczyć nie było dane...

—■ Zostaniemy marynarzami! — włączył się Michał, boleśnie zaraz szturchnięty przez Krzysztofa.

— Nasza łódź — ciągnął pan Nowicki — już wkrótce wypłynie w rejs po Jeziorze Elżyńskim, które jest tak podobne do polskiego Bałtyku. Takiej jednostki jeszcze tu nie było... Jako konstruktor łodzi mianuję jej dowódcą Krzysztofa, którego miałem okazję dobrze poznać. Jest on człowiekiem odpowiedzialnym, rozsądnym i szlachetnym...

Krzysiek spąsował po czubki włosów. Ten niesłychany awans spadł na niego jak grom z jasnego nieba. On, dowódcą jednostki pływającej?

— Na znak nominacji przyjmij ode mnie, Krzysztofe, marynarski kołnierz, który nosić będziesz zamiast harcerskiej chusty. Ten granatowy kołnierz z trzema białymi paskami nosiłem podczas wojny. Ma on bogatą historię, był w ogniu walk. Strzeż go i szanuj zawsze, przez całe życie. A o jednostkę, którą od tej chwili dowodzisz, dbaj i troszcz się bardziej niż o samego siebie...

Pan Nowicki przytulił chłopca do piersi.

— Odwagi! — szepnął mu do ucha.

Gratulowali Krzysztofowi wszyscy po kolei. A on wymamrotał coś w odpowiedzi, wciąż nie mogąc jeszcze dojść do siebie z wrażenia.

— A ja dam wam chusty — powiedziała pani Maszopowa. — Wyszyłam na nich kaszubskie

.wzory. Załóżcie je na mundury. Basia i Janek też dostaną...

Tego nie było w scenariuszu. Asia więc wzrokiem ponagliła Olę, która ponownie zabrała głos:  
148

— Proszę matkę chrzestną naszej jednostki o nadanie jej imienia...

Pani Maszopowa podeszła do łodzi.

— Płyn po morzach i oceanach, rozslawiaj imię polskiego stoczniowca i marynarza — rzekła pani Maszopowa uroczystym głosem. — Nadaję ci nazwę „Marzenie”.

W takiej chwili o burtę wodowanej jednostki winna roztrzaskać się butelka szampana. Tutaj jej nie było. Matka chrzestna wzięła więc dzbanek świeżego mleka z masłem, miodem i... ziołami i wylała go na dziób łodzi.

— Da ci to siłę, zdrowie i bezpieczeństwo...

— Przystąpić do wodowania! — krzyknęła Ola i okazało się, że, jeśli trzeba, ma głos wysoki i wibrujący.

Dzieci podeszły do łodzi i powoli zsunęły ją po slipie. Pan Nowicki salutował, a Krzysztof dobywał z gwizdka modulowany dźwięk.

Michał zacumował łódź do polera.

Zebrani klaskali.

— ■ A to jest proporzec — powiedział pan Maszopa — wysyty przez moją żonę, która ma złote ręce. Krzysztof, daję ci go jako dowódcy „Marzenia”.

Zielony trójkąt ze złotymi frędzlami i wspaniałym haftem, podniesiony na dziobowym flagsztoku, załopotał na wietrze.

„Marzenie” lekko drżało na fali i wabiło zbliżającą się przygodą...

Rozdział XVIII

Ambitny „siódmy”. Przysięga żeglarska. Początek operacji.

— Brakuje jednego — powiedział Krzysiek.

— ■ Liczmy — włączyła się Asia. — Ty jako sternik i miłościwie nam panujący, Michał, Ola i ja — to cztery osoby. Basia — pięć, Janek — sześć...

— No właśnie. Ma być siedem.

— Może pan Nowicki?

— ■ Pytałem go — rzekł Krzysztof. — Stwierdził jednak, że płynąć mogą tylko młodzi. Powiedział tak: „My, starzy, nie dogonimy już zachodzącego słońca”. On lubi mówić zagadkami.

— Może nie chce się wtrącać?

— Albo nie ma siły?

— Chyba osiągnął już to, co chciał. Z desek na podłogę zbudował łódź. Przewiózł. Zwodował.

Mianował dowódcę.

— ■ Teraz pożegna nas, a następnie przywita. Podczas wojny dowódca bazy zawsze tak robił. To wszystko w nim jeszcze siedzi.

— Ta wojna.

— ■ I związane z nią przeżycia...

— ■ ...od których nie uwolni się już nigdy.

— Kogo więc bierzemy na siódmego? Janek otwartą dłonią uderzył się w czoło.

— . Możemy przyjąć Sławka. Niewysoki blondasek, zdał do czwartej klasy. Spokojny, ale sprytny.

— To on tak dziarsko uwijał się przy cumach? — spytała Asia.

— Właśnie — potwierdziła Basia. — Byłby niezły.

— ■ Musi się czymś zasłużyć — postanowił Michał. — Żeby

150

znaleźć się na liście naszej doborowej załogi, nie wystarczy, ot, tak sobie, wejść do łodzi!

— Zgadza się!

— A pamiętacie — ciągnął Michał — jak zdawałem na Krzyż Harcerski? Kazali mi o trzeciej w nocy iść bez latarki w głąb lasu, żeby z wygasłego ogniska przynieść węgielek. Musiałem jeszcze...

¶

— Dobrze już, dobrze. Byłeś dzielny, to prawda, ale jakie zadanie mamy wymyślić dla Sławka?

— Oto Sławek — powiedziała Basia. — Mówi, że gotów jest nawet umrzeć, byle wejść w skład naszej załogi.

— Sławek Przetocki — przedstawił się chłopak, stając przed Krzyskiem na baczność. — Mają być jakieś próby, to ja zaraz mogę...

— Zobaczmy, coś wart. — Krzysiek coraz lepiej czuł się w roli dowódcy. — Masz garnek, za pół godziny zaprosisz nas na herbatę, którą sam ugotujesz nad brzegiem.

— He-e-erbatę? — zająknął się Sławek.

— Kubeczki przyniesiemy swoje. Cukier też.

— Rusz głową i zobaczysz, że ci się uda. — Ola podtrzymała go na duchu.

— Jeszcze nigdy nie robiłem herbaty w taki sposób.

—• Boś nie harcerz — rzekł Krzysztof. — No, zmykaj; a my czekamy na zaproszenie.

Sławek pokłusował w niewiadomym kierunku.

Po chwili ukazał się w ich polu widzenia: budował z patyków stojak, na którym postawił wkrótce garnek z wodą. Zapalił chrust, lecz zanim doprowadził wodę do wrzenia, stojak zaczął płonąć i rusztowanie zawało się z trzaskiem, gasząc płomień.

— Nnnno tak... — mruknął Krzysiek.

— Poczekamy, zobaczmy.

Udawali, że nie dostrzegają klęski chłopaka, który stał nad pobojuwiskiem i pociągał nosem. Po chwili jednak zaczął znosić kamienie i na nich dopiero ustawił garnek.

151

— I proszę...

— Dowiódł, że jest homo sapiens, czyli obywatelem tyR łączym — rzekł Krzysztof. — Będą z niego ludzie.

— Niech jeszcze podgrzeje.

Sławek klęczał przed „kuchnią”, wsuwał w ogień drewniak i intensywnie dmuchał. Gdy zabrakło chrustu, biegał jak opętany, znosząc patyczki, i znów rzucał się na ziemię.

— Tempo to on ma, nie powiem. — Asia pokiwała głową. 'Herbatą miała obrzydliwy smak.

Chłopak, zamiast odstawić gotującą się wodę i dopiero» wtedy wsypać do garnka herbatę, wrzucił jej garść wprost do wrzątku.

— Zaliczone, co?

Ola skrzywiła się, lecz przecież zadanie zostało wykonane. Sławek stał rozpromieniony i usmarowany sadzą na dłoniach i twarzy.

— Dobra? — spytał, nie zdając sobie sprawy, czym po-! częstował gości.

— Typowa obozówka — mruknął Krzysiek, który sam kiedyś w taki sposób zaparzał herbatę.

— Nie chciało się palić — powiedział Sławek — ale wreszcie... ••...,

— Zaliczone — osądził Krzysztof. — A umiesz wejść nań drzewo?

— Pewnie — powiedział Sławek. — Kto by nie umiał!

— Hmm — podsumował dowódca załogi. — Nie będzie-; my cię zatem sprawdzać.

— Pływasz? — spytała Asia.

— Tak sobie — odparł chłopak z niejakim wahaniem. — Pokaż!

Sławekmigiem zrzucił ubranie i wskoczył do jeziora. Próba ta wypadła dość mizernie. Chłopiec posuwał się w wodzie psim stylem, cały czas trzymając głowę nad powierzchnią i przebierając szybko rękami. Utrzymał się jednak w pozycji poziomej.

— No dobra — Krzysztof pokiwał głową. — Przygotuj się do rejsu.

152

Sławek uśmiechnął się i podskoczył, rozpylając wokół krop- le wody.

— Ale twój ojciec4 musi do nas przyjść i powiedzieć, że się zgadza.

— To porządny człowiek — uzupełnił Janek opinię o ojcu Sławka. — Kto wie, czy nam kiedyś nie pomoże.

— Będę wam szorował pokład! — ochoczo wykrzyknął nowy członek załogi. —, Tak się cieszę...

— Złóżysz jeszcze przysięgę! — strzelił nagle Krzysiek.

Nie widzieli swoich twarzy. Ginęły w absolutnej ciemności. Z mroku wyłaniały się tylko zarysy postaci, lizanych wąską stróżką światła latarki.

— Kogo jeszcze brak? — spytał Krzysztof.

— Basia zaraz dobiegnie — szepnął Janek. — Musiała zostać chwilę w domu. Ale tylko patrzeć, jak się pojawi.

— Za gorąco dzisiaj nie jest — powiedział Michał, który przy każdej okazji musiał wcisnąć swoje trzy grosze.

— Ani słowa — rzekła Ola. — Mamy milczeć.

— Też mi pomysł — prychnął Michał. — Żeby nie można było używać swego prywatnego urządzenia, jakim jest mowa...

— Za chwilę zostaniesz wyłączony — lodowatym tonem odezwał się Krzysiek. — Jeszcze jedno słówku i... — wymownie zawiesił głos.

Zebrali się przy pomoście. Wiatr lekko muskał korony drzew i marszczył jezioro.

Jakaś postać zbiegła ze stoku.

— Basia — powiedział Janek.

— Nareszcie — westchnęła Asia.

— Musiałam jeszcze... .

— Ciii...

Krzysztof, nie mówiąc ani słowa, ruszył w kierunku cypla. Reks, jakby wyczuwając powagę sytuacji, szedł obok kapitana łodzi. Kapitan — tak brzmiał tytuł Krzyśka, nadany mu przez załogę 154

Maszerowali rzędem w zupełnych ciemnościach. Nie wolno było używać latarek.

Kapitan doskonale znał drogę, choć przez delikatność nikt go za to nie pochwalił. Szedł tędy przecież w pewną księżycową noc, nieświadomie odgrywając rolę leśnego przestępcy.

Poruszali się cicho, ostrożnie stawiając stopy na ziemi. Michał i Sławek nieśli po dwie pochodnie wykonane z gałęzi owiniętych szmatkami wysmarowanymi... pastą do podłogi.

Byli na miejscu.

Ta noc nie obdarzyła ich księżycowym światłem. Na tle \* nieba odcinał sit? jednak stożkowaty kształt „Wzgórza Bagiennego”.

Ustawili się w półkole.

— Pochodnie w ziemię! — rzucił Krzysztof. Chłopcy wbili ostro zakończone kije w piasek.

— Gotowe! — zameldował Sławek.

— Zapalić!

Zapłonęły cztery łuczywa. Blask ognia tańczył po twarzach. Błyszczały rozświetlone ognikami oczy.

Kapitan stanął przed frontem załogi.

—■ Jutro wypływamy — powiedział. —• Plan rejsu przygotowany, rzeczy spakowane. Funkcje podzielone. Każdy powtórzy swoją.

— Prawy wzorcowy! — rzekł Michał.

— Lewa wzorcowa! — zameldowała Ola.

— Trzeci prawa burta... czwarty... piąty... szósty...

— Doskonale — ocenił Krzysztof. —• Po dwóch dniach moczenia łódź jest szczelna i wyczyszczona. Próby wykazały, że potraficie trzymać wiosła. Jesteśmy więc gotowi.

Złapał głębszy oddech.

—• A teraz, w obecności ognia, wody i lasu złożycie żeglarskie ślubowanie. Skierujcie dwa palce prawej ręki w stronę pochodni i powtarzajcie za mną...

Zapadła absolutna cisza. Słychać było tylko syk płonących głowni.

— My, załoga łodzi „Marzenie”, ślubujemy...

155

— Ślubujemy!

— Być dzielnymi żeglarzami, słuchać rozkazów dowódcy, dbać o bezpieczeństwo jednostki i własne, działać dla dobra społecznego, zawsze pomagać innym w potrzebie...

— Ślubujemy!

Krzysztof nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok.

Kiedy wreszcie zmorzył go sen, ujrzał „Marzenie” szybujące nad spienionymi falami, rozpadające się burty, a całą załogę tonącą w kipieli.

Zbudził się zlany potem.

Obok usłyszał oddechy Michała, Sławka i Janka. Tej nocy wszyscy spali u Maszopów.

— Uffff... — westchnął z ulgą stwierdziwszy, że jest bezpieczny i żadna tragedia się nie wydarzyła.

Zamknął oczy i uświadomił sobie nagle, że zapomniał, jak przebiegać ma rejs. Szczegóły wypadły mu z pamięci. Ładna historia!

...Najpierw do Zatoki Fińskiej, potem na wyspę... Nie, później do Botnickiej, a dopiero po niej lądują na tajemniczej wyspie. Z kolei płyną na zachód... tam jest rzeka...

Nagle poczuł szarpanie.

— Już czas — usłyszał znajomy głos.

— Czas? — wymamrotał. — Do szkoły? — Zawsze budził się bardzo powoli.

— Hej, kapitanie...

Dopiero teraz Krzysiek siadł na posłaniu. Obok stał pan Nowicki.

— Możesz zaczynać operację — powiedział marynarz. — Czwarta.

— Jestem gotów. — Chłopak zerwał się i wykonał kilka ruchów gimnastycznych. — Michał!

Michał!!! Alarm! Pobudka! Wstawać!

Zaczął się ruch.

— Podnosić dziewczyny!

156

Przed piątą byli już po śniadaniu.

— Kiedy oni się wreszcie wyśpią? — Gospodyni także przecierała oczy.

— Będą mieli na to czas po wakacjach — powiedział" ze śmiechem Jan Maszopa.

Schodzili do przystani.

## Rozdział XIX

To jest załoga! Wędkarz tonie. Płomień strzela pod niebo.

— Michał, przestań chlapać! — Asia była zła jak osa. — Trzymaj porządkie ten pagaj!

— Nie klócić się! — Krzysztof pragnął zadbać o dyscyplinę i dobry klimat wśród członków załogi.

— Zaczynamy jeszcze raz. Uwaga!

Unieśli wioselka, z których ściekały perełki wody.

— I...

Pagaje wysunęły się do przodu.

— ...rrrraz!

„Marzenie” odczuwalnie ruszyło.

— I... raz! I... raz! I... raz!

— Żegnajcie! — krzyknął pan Nowicki. — Stopy wody pod kilem! Uważajcie na siebie, moje robaczki!

— I... raz! I... raz!

— Ho, ho, trzymacie się wody jak marzenie! — huknął jeszcze marynarz. — Oby tak dalej!

— I... raz! I... raz!

— Na statkach niewolniczych — szepnął Michał — też był poganiacz, tylko że on walił batem albo uderzał w bęben.

— Zabrałem magnetofon — przyznał się Janek. — Na baterie.

— Ojciec ci pożyczył? — spytała Basia.

— Coś 'w (tym rodzaju — rzekł Janek.

— Reks, leżeć! — krzyknęła Asia, bo pies, siedzący dotychczas spokojnie u stóp Krzyśka, zaczął przez ramię lizać jej twarz. —•Kapitanie, zabierz tę mordę ode mnie, bo nie wytrzymam,

158



— Połóż się — powiedział Krzysztof. — Nie przeszkadzaj pracować.  
 — Dobrze sobie, praca! — prychnął Michał. — Przecież to mają być wakacje.  
 — Są — włączyła się Ola. — Lekcji nie musisz odrabiać...  
 — Książki zamknęliśmy na dwie kłódki — rzekł Michał. — ■ A jaka tu jest cisza, no nie? — wtracił Sławek.  
 —; Co to za cisza, kiedy wszyscy naraz gadają — zaprotestował Krzysztof.  
 — Znowu chłapiesz! — Asia w odwecie prysnęła wodą na Michała. Ten wrzasnął i podniósł się z ławki.  
 — Siadaj — ■ rozkazał kapitan. — Znowu każdy wiosłuje, jak chce! Uwaga... I... raz! I... raz!  
 — Na czym on siedzi? — Ola zmarszczyła brwi, spoglądając w kierunku szuwarów.  
 — Jeszcze tego nie widziałas? — zdziwiła się Basia.  
 — Nie. Jakiś dziwny pojazd... Janek roześmiał się.  
 — ■ Tak łowią ryby, jeżeli nie mają łodzi. Wędkarzy tu jest wielu.  
 — To dętka od traktora, do której przywiązano deskę. Michał zarechotał.  
 — A gdzie nogi?  
 — Kładzie się kalosze i tak trzyma.  
 — Cóż to za sposób?  
 — Na pewno prosty.  
 — ■ Dowódco, może podpłyniemy bliżej i zrobimy rozpoznanie?  
 Krzysztof skierował dziób w stronę rybaka.  
 — ■ Będzie się awanturował, bo wypłoszymy mu ryby. Wyzwie nas od ostatnich.  
 — ■ He-e-jej!!! — Rybak pomachał im z daleka ręką. — A dokąd to wiodą szlaki?  
 — Płyniemy do Zatoki Fińskiej! — krzyknął Michał. — ■ Gdzie? — Wędkarz przystawił dłoń do ucha.

159

— • Michał, zwracam ci uwagę, że tylko dowódca reprezen-" tuje łódź na zewnątrz — rozindyczył się Krzysztof. — Jakby każdy tak chciał...  
 — Dobra, dobra.  
 — • Płyniemy w rejs! — zawołał kapitan. — Wokół Jeziora Ełżyńskiego!  
 — Podejdźcie bliżej, niech was obejrzą!  
 — • Mocno, naprzód! Tylko równo! — zdecydował Krzysiek.  
 Zbliźali się do wędkarza, który wyprostował się, kapelusik z czoła zsunął na tył głowy i przestał zwracać uwagę na spła-wik.  
 — Śmieszna ta łódka — powiedział.  
 — Jaka?! — zaperzył się\* Michał.  
 — Dużo pan złowił? — odezwała się Asia.  
 — Eeee, kilka pchełek...  
 — Pchły on tu łapie... — Michał nachylił się do Oli.  
 — Małe rybki. Byli już blisko.  
 — • Skąd macie taką łajbę? — spytał wędkarz,  
 — Sami zrobiliśmy. J  
 — Szybko chodzi?  
 — Dzisiaj robimy próbę.  
 — ■ Zabierzcie mnie dalej, dobrze? Na tym kole ledwie się mogę posuwać.  
 — Takiego dziwactwa jeszcze w życiu nie widziałem — odgryzł się Michał.  
 Krzysztof .udawał głębokie zamyślenie.  
 — • Wsiądzie pan do łodzi, a ponton poholujemy — zdecydował wreszcie.  
 „Marzenie" znalazło się przy dętce. Wyglądało jak krążownik ponad ścigaczem.  
 — Niech się pan przesiądzie — • zachęcił Krzysztof. — A cumkę proszę tu rzucić. Podwiążę do rufy.  
 Mężczyzna zaczął zmieniać pozycję. Najpierw jedną, potem drugą nogę położył na desce. Kij podał Jankowi.

— Trzeba uważać — stęknął próbując wstać.  
Michał poruszał wargami, zacisnąwszy dłonie,

i

# ■

160

— Co tam szepczesz? — spytała Ola.

— Zakłęcie...

Dętka gięła się i przechylała. Wędkarz rozłożył ramiona, próbował utrzymać równowagę.

— Przytrzymam — powiedział. Krzysztof mocując cumkę do knagi.

— ■ Śmiało, niech się pan nie boi — rzekł Michał. — Jeden odważny krok i po wszystkim!

— • Stanie pan na burcie — powiedziała Basia. — No!

— Podasz mi rękę, dobrze? — poprosił mężczyzna.

— Oczywiście.

— No to hooop! — ryknął wędkarz.

Ponton przechylił się i odskoczył od burty „Marzenia”. Wędkarz trafił nogą w pustkę.

— Niech to!... — wrzasnął i zniknął.

Zanim na powierzchni wody pojawiła się łysiejaca głowa, oczom żeglarzy ukazał się zielony kapelusik spokojnie kołyszący się na falach.

— Pfff... — Wędkarz wypluł wodę i złapał się łodzi. Pomogli mu podciągnąć się wyżej. Z

niemałym wysiłkiem

mężczyzna wpełznął do wnętrza.

— Witamy na pokładzie. — Asia uśmiechnęła się promiennie.

Mężczyzna skurczył się obok Reksa.

— Popływałem — rzeki smętnie.

— Będzie pan jeszcze łowił, czy płyniemy na brzeg? — spytał Krzysztof spokojnym głosem.

— Do domu! — odrzekł dzielny wędkarz szcękając zębami. — Tu zaraz jest cypel. Tam mnie

wysadźcie.

— Obie naprzód! — zdecydowanym głosem powiedział kapitan jednostki ratowniczej.

Brzeg wolno przesunął się wzdłuż burty. Daleko przed nimi widniał koniec Zatoki Fińskiej.

— Tam czeka mój ojciec — powiedział Janek.

— Ręce mam całe w pęcherzach. — Asia oglądała dłonie. — Będę 'miała łapy jak papier ścierny.

162

— Nie biadol — zdecydowała się Ola. — Weźmiesz ten krem od mamy i za miesiąc skóra znów będzie gładziutka.

— Czy nie możemy na chwilę przestać wiosłować, żeby posłuchać ciszy? — spytała Basia.

— Wiosła! — krzyknął Krzysztof. „Marzenie” powoli wytracało inercję.

— Ale cisza — powiedział Michał.

— Popatrzcie na te drzewa. To chyba brzozy, bo mają białą korę, ale są bez liści.

— Bagno...

— I czapla^ spójrzcie!

— Niesamowity krajobraz.

— Od strony lądu nie da się tam wejść. Zaraz wciągnie. Niektórzy próbowali...

Ola zadrżała na wspomnienie swojej niedawnej przygody.

— Spokój na pokładzie! — włączył się kapitan. — Słuchamy...

— ...naszego dowódcę — uzupełnił Michał.

— Czemu jesteś taki? — spytała Ola. — Przecież robisz mi przykrość.

— Zahartuje się. — Chłopak wzruszył ramionami. — Na statku galerniczym trzeba być twardym i niewzruszonym.

— Kukułka! — Sławkowi wydłużyło się prawe ucho.

— Licz!

— ...dwa... trzy... siedem... Siedem!

— Będziesz miał tyle dzieci — powiedziała ze śmiechem Basia.

— O, rany! — Sławek złapał się za głowę.  
— Kukułka policzyła nas — rzekł Krzysiek.  
— A Reks?  
— Widać nie zauważyła.  
— Na brzegu czeka ojciec Janka — przypomniała Basia.  
— Rzucaj! — krzyknął gajowy.  
Michał stanął i zamachnął się z całej siły. Dziobowa cumka poszybowała i spadła,  
163

Gajowy wywlókł „Marzenie” na brzeg.  
— Witam was w imieniu leśniczego i swoim własnym — rzekł uprzejmie. — Wsiadajcie.  
Dwoma susami Michał wbiegł na plażę.  
— Przycumujemy do tego konara, co? — spytał.  
— Tylko obłóż porządnie — polecił kapitan.  
— Wiesz co? — Janek zwrócił się do ojca. — Ratowaliśmy wędkarza.  
— Chciał popłynąć łodzią — zaczął Sławek.  
— ... i się wykapał — uzupełniła Ola.  
— Nic nie rozumiem! — Gajowy załamał ręce. —: Opowiedzcie po kolei.  
Jeszcze raz stanął im przed oczyma mężczyzna w zielonym kapelusiku, który, zachęcony przez Michała, wykonał krok z dętki do łodzi.

— Podobno któryś z was był już w leśniczówce — powiedział gajowy.  
— Kapitan. — Asia wskazała na Krzyśka, który zaczerwienił się jak burak.  
— Owszem, miałem ten zaszczyt — mruknął.  
— Teraz pójdziemy tam wszyscy.  
— Huraaa! — rozdarł się Michał. — Tak chciałem być w leśniczówce!  
— Hola, hola! — zatrzymał ich kapitan. — A łódź zostawimy?

Zamilkli.

— Trzeba wystawić wachtę. Będzie to wachta portowa, której celem...

— Kto będzie ją pełnić? — spytała Asia. Nikt nie miał ochoty.

— Zagramy w marynarza, żeby było sprawiedliwie. — Kapitan złożył decyzję w dłonie

kapryśnego losu.

— Ja zostanę — powiedział Sławek, — Byłem już w leśniczówce.

— Zmienię cię później — dorzucił Janek.

— Tylko zostawcie mi finkę, bo gdyby coś... — Sławek aż przestraszył się własnych myśli.

164

- Jesteście klawi — rzekł Krzysiek. — Możemy iść.

— W razie czego spychaj łódź na wodę i ruszaj na jezioro — powiedziała Ola.

Sławek zrobił zdziwioną minę.

— Gdyby na przykład z lasu wyszedł niedźwiedź — uzupełniła Asia.

— Ziemia kołysze mi się pod stopami — stwierdziła Basia. ""

— Błędnik sfiksował. — Asia była dobrze poinformowana.

— Kto?

—■ Błędnik. Taki przyrząd w uchu, który wpływa na równowagę. Najpierw kiwało na łodzi,

mechanizm się przyzwyczaił, a teraz fiksuje.

—■ Tato, pożyczyłem od ciebie magnetofon — powiedział Janek łamiącym się głosem.

Gajowy zwolnił kroku.

— Milo mi to usłyszeć — syknął.

— Nic mu się nie stanie, naprawdę. Zapakowałem go w woreczek. Ani kropla wody...

— Mimo to zabiorę go do domu.

— Tato... — błagalnie szepnął Janek.

—■ Ja się nim zaopiekuję — włączyła się Basia. — Będziemy o niego dbali.

Gajowy lubił Basię, sympatię swego syna. Basia zresztą doskonale ó tym wiedziała. Ot, jakie bywają kobiety: chytre, przebiegłe, ale całkiem miłe.

— Pamiętajcie jednak... — Gajowy podniósł palec.  
— Dziękujemy — powiedziała Basia uśmiechając się słodziutko i mrugając rzęsami jak firanki.  
Drewniana leśniczówka stała na skraju mrocznej polany. Nad bramą wisiało rozłożyste poroże.  
— Niech was obejrzę! — Ze schodów zszedł leśniczy. — Wyrośliście od tego czasu. Opaleni, tylko oczyska błyskają, no, no!

165

— Budowaliśmy przecież łódkę.  
— Zuchy z was!  
— Tutaj byłeś? — szeptem spytał Michał.  
— No.  
— A tamte zabudowania?  
— Warsztat, skład węgla i drewna, a dalej mieszka koń, taki łaciaty.  
— Zapraszam was do mojego dworku — powiedział leśniczy ze śmiechem. — Musimy pomówić o interesach.

Usiedli w wysokim pokoju. Las prawie wchodził do mieszkania.

Na ścianach wisiało mnóstwo rogów, świeczniki z korzeni drzew i wypalanki ze scenami myśliwskimi. W pobliżu okna stał, dumnie spoglądając na zebranych, wypchany bocian z lekko uchylonym dziobem.

— To jest gościnny dom — powiedział gospodarz. — Zaraz będzie posiłek. A ja chciałem wam coś zaproponować...

Czekali z niecierpliwością na dalszy ciąg.

— Niedaleko stąd jest martwy zagajnik świerkowy. Trzeba usunąć uschnięte drzewa, wynieść je na polankę i spalić. Ale jest to robota na dobrych kilka godzin. Nie chciałbym psuć wam rejsu... Aha, nocleg naturalnie u mnie, na sianie.

— Na sianie! — Michał pokraśniał.

— Oczywiście, że się tym zajmiemy! — rzekł Krzysiek bez wahania.

W pobliżu zagajnika znajdowała się polana, lecz nie taka zwykła. Cała zarośnięta była krzewami dorodnych, czerwonych malin.

— Wszystkie są wasze — powiedział gajowy. — Nic, tylko leżeć i zajadać.

— Nie widziałam jeszcze tylu malin naraz — rzekła Ola w zachwycie.

— Chodźmy, pokażę wam, co jest do zrobienia.

W prostokacie o wymiarach sto metrów na pięćdziesiąt

166

stały niegrube, na pieprz wyschnięte świerczki. Wystarczyło pchnąć każdy z nich, aby zwałił się z trzaskiem.

— W tym miejscu wyrośnie nowy las. Susz jednak musi zniknąć.

— Uwiniemy się błyskawicznie — powiedziała Asia.

— No... — zwątpił Krzysiek.

— Przyjdę o dziewiętnastej.

— Dopiero? — zdziwił się Michał. »

— Akurat. A świerczki składajcie tam. — ■ Gajowy wskazał polankę odległą o kilkadziesiąt metrów.

Mijały godziny, rósł stos drzew.

— Dopiero połowa! — Ola wlokła ciężki pień. — Już nie mogę...

— Bolać cię ręce? — Michał umiał być troskliwy.

— Odrobinę.

— Ale za ito spanie będziemy mieli wspaniałe!

— Uważaj! — usłyszeli krzyk Basi. Jeden z konarów runął na Krzyśka, który po chwili wygrzebał się spod gałęzi.

— Która godzina? — Asia położyła się na mchu. Wystawiła twarz do słońca.

— Wpół do piątej.

— Napiałabym się czegoś.

— Robimy przerwę i idziemy na maliny.  
— Przerwa! — krzyknął Janek. — A ja pójde zmienić Sławka. Pewnie wrósł już w ziemię.  
— Ale szczęściarz! — Michał pokiwał głową. — Odpocznie sobie na brzegu.  
Owoce same wpływały do ust. Były wielkie i słodkie. — ■ Jak w raju — wymamlała Asia. —  
Leżysz sobie na ciepłej ziemi i zjadasz słodziutkie maliny.  
— Coraz mniej jest takich zakątków — powiedziała Basia. — Ludzie niszczą wszystko, co nie jest  
ich własnością.  
— Las jest wspólną własnością.  
— Wyobraźcie sobie, że na taką ścieżynę wjeżdża ktoś samochodem, potem do jeziora i po  
cichutku, żeby nikt nie spostrzegł, myje auto. Olej ścieka, ryby giną.

167

— Auto jest jego, więc musi błyszczeć. A jezioro wspólne, to można w nim samochód myć.  
Zwykłe świństwo.  
— Trzeba takich karać.  
— ■ Najpierw złapać takiego drania! Dorośli tak postępują, a nam każą chronić przyrodę. Ile w tych  
lasach jest pustych butelek, puszek i papierosów! Przyjeżdżają w niedzielę, na-śmiecą i wracają  
zadowoleni do swoich posprzątaných domów.  
— A harcerze potem organizują specjalne akcje i czyszczą las. Dla tych brudasów, którzy zechcą w  
lesie wypoczywać.  
— Wracajmy do gałęzi...  
Upłynęły jeszcze dwie godziny, zanim gajowy pojawił się u wylotu drogi. Jechał na starym,  
skrzypiącym rowerze.  
— Proszę pana! — krzyknęła Asia. — To jest robota dla całej wsi.  
— Albo i dwóch — dorzucił Michał.  
— A was jest sześcioro. Pies też powinien pomagać... Jednak prawie już koniec. Ile drzew zostało?  
Ze trzydzieści?  
Przed dziewięcią pniaki spoczęły na wielkim stosie. Obok niego legła bez życia załoga „Marzenia”.  
— Rozpalimy ogień, jakiego tu jeszcze nie było — rzekł gajowy.  
Ogromny płomień wystrzelił w niebo. Nawet słońce, zniżające się do horyzontu, nie było w stanie  
zaćmić jego blasku.  
Dzieci zapomniały o śmiertelnym zmęczeniu. Spoglądały w żółto-czerwone płomienie, trawiące  
stare, wyschnięte pniaki.  
Każdy błędził myślami po swoich ścieżkach. Ogień pobudza wyobraźnię.  
Ogień jest legendą...

— Północ...  
— Myślicie, że jutro utrzymamy w dłoniach pagaje? Mowy nie ma!  
— Jak wspaniale pachnie to siano — rzekł Michał, któremu spanie w stodole jawiło się jako wielka  
przygoda.  
— Nie będzie nam zimno?  
— Noc jest ciepła.

168

— Leśniczy powiedział, że żadna brygada nie wykonał\* jeszcze tak wspaniałej roboty — rzekł  
Krzysztof z dumą.  
— Ja też nie — mruknęła sennie Basia — chociaż codziennie pomagam w  
gospodarstwie.  
— Kroniki powinny zanotować — rzekł kapitan\_\_jak załoga „Marzenia” oczyściła las.  
— Kronika! — Ola przebudziła się z pierwszej drzemki. — Musimy założyć kronikę!  
— Słusznie!  
— Jutro poprosimy pana leśniczego o zeszyt.  
— Zajmę się tym — przyrzekła Ola.  
— Będzie pamiątka na całe życie.  
— O, rany, całe życie. — Asia ziewnęła i zamknęła oczy. Siano pachniało odurzająco.

Przez bramę stodoły wkroczyły najbardziej kolorowe sny, jakie tylko istnieją.

## Rozdział XX

Alarm! „Marzenie” umyka. Dramat na jeziorze. O mały włos!, a... Bohaterowie nie są jeszcze zmęczeni. Szaleńczy taniec.

Następnego dnia dotarli do Zatoki Botnickiej i tam spędzili noc. Rankiem zaś...

— Dzisiaj bazujemy na wyspie — powiedział Krzysztof.

— Przed nami nie zdobyte ziemie — rzekł Sławek. — Ja jeszcze tam nie byłem.

— My też nie — przyznali się Basia z Jankiem. — Nigdy jakoś nie było okazji.

— Do łodzi! — rzucił kapitan. — Przygotować się do wyruszenia! I włożcie cieplejsze rzeczy, bo zimno. Przewieje nas na wskroś.

„Marzenie” znów znalazło się na jeziorze.

— Tam rosną palmy, a w gąszczu mieszkają ludożercy — oceniła Ola. — Musimy mieć się na baczności.

Dmuchał przenikliwy wiatr, który podnosił fale. Wiosłowali z wysiłkiem, stękając przy każdym pociągnięciu.

— Daleko — rzekła Asia\*.

— I pod wiatr.

— Dwa metry do przodu, jeden do tyłu...

— Przydałby się teraz żagiel.

— Nasza łódź nie jest do tego przystosowana — rzekł Krzysztof.

— Masztu nie można umocować?

— Pewnie że można, ale w stoczni.

— W następny rejs wypłyniemy jak fregata.

— Może będzie to dopiero w przyszłym roku?

170

— W przyszłym roku? Kto wie... Może w przyszłym roku wypuścilibyśmy się na prawdziwy Bałtyk, co?

— Mocniej wiosłować! — popędzał kapitan.

Kiedy bowiem zwalniali tempo, wiatr ustawiał łódź bokiem do fali. Woda pryskała przez burty.

— Szkoda, że nie mamy sztormiaków — powiedział Krzysztof z westchnieniem. — To takie żeglarskie ubranie, które nie przepuszcza wody. A jeśli chodzi o morze, to raz do roku harcerze pływają na „Iskrze”...

— „Iskra”?

— Szkolny żaglowiec marynarki wojennej...

— Najchętniej wszedłbym pod kołdrę — rzekł Michał. — Tam jest ciepłutko, nie wieje...

— Dopłynęmy jak najprędzej!

— Przecież ta wyspa wcale się nie zbliża!

Znaleźli wreszcie względnie spokojną zatoczkę, nieco osłoniętą od wiatru. „Marzenie” przycumowano do korzenia o fantastycznym kształcie.

— Janek i Basia na wachcie! — zdecydował kapitan. — My idziemy na zwiady. Ja z Asią tam, Michał z Olą na prawo. Sławek buduje kuchnię i zbiera opał. Są pytania?

— Wyjmiemy rzeczy?

— Znosi się na deszcz. W łodzi plecaki będą bezpieczniejsze. Może przeniesiemy je później, gdy zbudujemy obozowisko.

— Gdzie ma stanąć kuchnia?

— Myślę, że tam. — Krzysztof wskazał miejsce pod wysoką skarpią.

— Idziemy — rzekł Michał kiwając na Olę.

— Obejdźcie brzeg, a potem wewnątrz wyspy. Sygnał alarmowy: trzy długie gwizdki.

— Dobra, kapitanie — powiedziała Ola. — A czego mamy szukać?

— Spenetrujcie teren. Trzeba sprawdzić, czy wyspa jest bezludna i bezpieczna.

— Uważaj na ludożerców i dzikie zwierzęta — zakpiła Asia.

171

— No, wiesz... — Oleńka wzruszyła ramionami, ruszając brzegiem.

— Szarpie łódką. — Janek skrzywił się.

— Nic jej nie będzie — odparł Sławek machnąwszy ręką. — Łódź na fali zawsze skacze.

Michał podał Oli dłoń i pomógł wspiąć się na skarpe. Znaleźli się na ocienionym drzewami terenie. Widoczność była dobra — na tle nieba daleki brzeg malował się wyraźnie.

• — Dawno nikogo tu nie było — powiedział Michał. — Żadna ścieżka nie jest wydeptana.

—• Może tej wyspy nie dotknęła jeszcze ludzka stopa? — szepnęła Ola.

— Możliwe. Borowiczek jednak był tu na pewno.

— Jeżeli będziemy dobrze szukać, odkryjemy ślady pradawnej, kaszubskiej osady.

—• Drewniane chaty, wygaszone ogniska...

— Albo sieci będą się kiwać na wietrze. Takie stare, porwane sieci:

■ — A w chatach znajdziemy gliniane naczynia ze złotymi monetami.

— Co za nie kupimy?

—■ Dla ciebie nowy, błyszczący rower. Z przerzutką, reflektorem i melodyjnym dzwonkiem. Twoja koleżanka Kasia aż zbieleje z zazdrości, kiedy go zobaczy.

— A ty dostaniesz wielkie, sterowane radiem auto...

— Spójrz, jest! — krzyknął nagle Michał zasłaniając usta. — Coś tam leży...

Podchodzili ostrożnie, jakby w obawie, aby to „coś” nagle im nie zniknęło.

— Łódź — szepnęła Ola.

— Stara.

Oglądali ją ze wszystkich stron. Nikt jej z pewnością od dawna nie używał.

— Podniesiemy — zdecydował Michał.

Chwycili za rufę i dziób. Kilka szarpnięć i łódź drgnęła. —• Dno całe, zobacz. Z burt wyrwane niektóre deski, ale łódka utrzyma się jeszcze na wodzie, •

— O, tam jest dziura...

— Rzeczywiście!

— Pan Nowicki zrobiłby z niej cacko.

— Ciekawe, czyja to łódka.

— Porzucona, nie ma właściciela.

— Zabierzemy ją?

— Dokąd?

Michał wszedł do środka i siadł na ławeczce.

— Wziąłbym ją do Gdańska — powiedział. — Postawiłbym przed blokiem, dorobił wiosła na sprężynach i wszyscy z podwórka uczyliby się pływać „na sucho”,

— Spójrz, na wyspie płonie ogień — powiedział do żony pan Maszopa.

— Zupełnie zdziczeją nam te dzieciaki — odparła pani Dorota. — Kiedy oddamy je rodzicom, będą się zachowywać, jakby całe życie spędzili w lesie.

—■ Nie martw się. Dojdą do siebie, jak tylko wrócą do swoich betonowych domów. A swoją drogą taki rejs pozostanie im w pamięci na zawsze.

— Zamknij okno, bo wiatr przewraca meble... Żeby tylko nic im się nie stało.

— Zaraz lunie. Nadciąga sztormowa chmura.

— A może nie?

— Już ja wiem, co mówię... — Maszopa z trzaskiem przytknął okiennice. — Noc będą mieli wesołą — mruknął.

— Asia, na wachcie. Sprawdź cumy...

Dziewczynka zaciągnęła zamek błyskawiczny i włożyła kaptur. Na kolanach wydostała się z szałas.

— Będzie lało — powiedziała już z drugiej strony. — Kropi deszcz,

— Dobrze, że wszystkie rzeczy zostawiliśmy w forpiku. Nie zmokną.

— Dach przecieka. — Basia wzięła latarkę i obejrzała szczyt szałas.

— Źle założona peleryna — orzekł Krzysztof. — Albo wiatr ją zdarł. Michał, skocz poprawić.

Deszcz szumiał coraz mocniej.

— Cieknie. — Sławek wskazał na stróżkę wody.

— I tutaj też.

Nie czuli się zbyt pewnie w szałasie. Ściany ruszały się pod naporem wiatru, trzeszczały gałęzie, a strumyczki wody płynęły już pod chrustem, na którym siedzieli okryci kocami.

Wrócił Michał.

—< Przemokłem — powiedział otrząsając się. — Tu jest suchutko i przyjemnie. Zobaczmy, jak długo.

— Odpukaj to, co powiedziałeś!

W tym momencie zaturkotało coś nad głowami i deszcz lunął do wnętrza szałas.

— Zerwało pelerynę! Szybko na dwór!

Uszczelnili szałas, mocując się po ciemku z wietrzyskiem.

— Ludzie, zaraz będzie potop!

—■ Nie biadol, czekamy spokojnie na rozwój wypad... Znowu deszcz chlusnął do wnętrza.

— Janek, na dwór!

— Jest jakaś linka? — spytał chłopak zza szałas.

— Nie ma. Dam ci pasek od spodni.

— Wiatr się wzmaga!..,

Asia stanęła tyłem do łodzi. Słuchała, jak „Marzenie” szarpie się na uwięzi.

Deszcz bił ją po plecach. Wkrótce przedostał się pod ubranie.

— Koniec świata! — krzyknęła dziewczynka do siebie. — Absolutny koniec!!!

Wiatr wył w gałęziach, przyginając drzewa.

— Uwaga, leci!

Szałas runął, przykrywając ich dokładnie. Sławek rozplakał się z tego wszystkiego.

174

— Przystań buczeć — ofuknął go Krzysztof. - - Nic ci się nie stanie. Wszyscy pod drzewa!

Złapali peleryny i — ciągnąc je wraz z gałęziami — umknęli pod korony sosen.

Niewiele to pomogło.

Asia odwróciła się nagle. Zapaliła latarkę. Zmrużyła oczy, w które siekł deszcz.

Z przerażeniem ujrzała, że „Marzenie” zerwało się i gnane wiatrem odpływa od brzegu.

Wbiegła do wody.

Łódź była za daleko.

— Krzysiek! Załoga!!! — krzyknęła ile sił w płucach. Brnęła w wodę coraz dalej.

Łodzi jednak nie sposób było dogonić. Wkrótce zniknęła Asi z oczu, przykryta kurtyną rześistego deszczu.

Dziewczynka wróciła na brzeg i potykając się o korzenie i ślizgając po błocie pomknęła do obozowiska.

Nie wiedziała, że ich przytulny dotychczas szałas zmieciony został z powierzchni ziemi.

— He-e-ej! — zawołała. — Na pomoc!!!

— Coooo!/? — wrzasnął Krzysiek i zniknął w mroku.

— Jak mogłaś! — powiedziała Ola. — Miałas przecież pilnować łodzi!

—■ Sprawdziłam cumę. Trzymała. I nagle wyrwało cały korzeń.

— Zatonie nasze „Marzenie” — jęknęła Basia.

— Nie pleć bzdur! — obruszył się Janek. — Łódź była 'przykryta. Wiele deszczu do niej nie napada.

— Jednak fale...

— To nie Atlantyk — włączył się Michał. — Zdryfuje łódź na stały ląd.

Pojawił się zdyszany Krzysztof.

176

— Hańba! — wycharczał. — Nie uchroniliśmy łodzi. I jak spojrzymy wszystkim w oczy, co?!

Deszcz nadal wdzierał się za kołnierze.

Przestało lać dopiero przed świtem.



Dzień mocował się z nocą. W brzasku żeglarze widzieli swoje szare twarze, podkrążone oczy, sine z przemarznięcia usta.

Siedem wynędzniałych, ludzkich postaci... Reks zwinął się w kłębek i pozornie nie zwracał uwagi na pogodę. Od czasu do czasu jednak wstrząsał nim dreszcz.

— Jak zimno... — Ola szczękała zębami.

— Przydałoby się ognisko.

— Przecież wszystko mokre!

— Michał, pójdiesz na brzeg — polecił kapitan. — Tam w jamie znajdziesz suchą podpałkę zawiniętą w plastikowy worek.

— Jesteś genialny. — Asia przytuliła się do niego. — Nie gniewaj się na mnie...

Krzysztof pogładził ją po jasnej głowie. Spojrzał na ładny profil dziewczynki.

— W życiu popełnia się błędy — powiedział. — Ale przecież nie chciałaś nikomu zrobić krzywdy, prawda?

Kiedy przetarło się nieco, zeszli na brzeg. Wiatr przycichł, choć po niebie pędziły jeszcze błotniste chmury.

— Zostaniemy tu do śmierci — jęknął Sławek.

— Czyli już niedługo — dodała Asia. — Bo suche rzeczy i prowiant odpłynęły w siną dal.

— Za miesiąc znajdą łódź, a potem nasze szkielety. — W Oli zagrał czarny humor.

Z pagórka uniósł się dym.

— Michał rozpałił ogień — oznajmił Krzysztof. — Materiał wilgotny, więc dymi.

Nagle rozległ się krzyk Oli jak wystrzał z karabinu:

— Zobaczcie!...

12 — Wakacje...

177

Wszystkie głowy obróciły się w stronę wyciągniętego ramienia dziewczynki.

W odległości może jednego kabla, wśród szuwarów, stało „Marzenie”.

— Hura! Hura! — Żeglarze skakali po brzegu i ściskali się radośnie.

Najszybciej ochłonął kapitan.

—< Jak się tam dostać? — spytał. — Wpław? Fala duża, może się nie udać.

— Przecież jest łódź! — przypomniała sobie Ola leśny zabytek. — Michał, chodź szybko!

— Bierz moją koszulę — powiedział Janek. — Flanelowa, dobra.

— Będzie ci zimno — zatroskała się Basia.

— I tak wszystko mokre. Przebiorę się, kiedy „Marzenie” tutaj wróci.

— Jak to ładnie brzmi: „wróci” — rzekła Asia z ironią.

— Za mało — stwierdził Krzysztof. — Jeszcze mój sweter, koszula... Koc! Sławek, podaj ten w kratkę. Jest stary i postrzępiony. Nic mu nie będzie, jeśli trochę zmoknie. Akurat do zatykania dziur.

— Pójdę po pagaje...

— Dobrze, że zostały na brzegu.

— Ojej, ale to jest niebezpieczne — powiedziała Basia. — Powinniście mieć pasy ratunkowe. Ta łódka przecież ledwo się trzyma. A może jednak poczekamy na ratunek?

— Janek, za mną! — Krzysztof nie słuchał biadolenia dziewczynki.

Łódź, chociaż stała przy brzegu, skakała na wodzie. O burty rozbijały się fale przyboju.

— Jesteś za ciężki — ocenił kapitan, gdy Janek znalazł się wewnątrz. — Michał, na pokład.

— Zabierzcie linkę — rzekła Asia. — Zaraz ją przyniosę.

— Odpychajcie! — Krzysztof klęczał na dziobie, trzymając pagaj. Jednocześnie przyciskał kolanem zwinięty, zatykają-

178

cy dziurę koc. — Michał, siedź tam mocno, bo inaczej wypadnie koszula i zatoniemy. Kapujesz?

— To wszystko może przemoknąć — powiedział Michał z wahaniem.

— Twoja sprawa, żeby przez otwór nie przedostała się ani kropelka wody. I steruj porządnie. Janek, wypchnij nas na wodę.

— Nie radzę wypływać. — Basia była blada. — Fale są takie;..  
Janek wszedł do wody i powoli spychał łódź, która rufą leżała jeszcze na dnie.  
— Pomóż, Sławek, no!  
Przez noc wiatr zmienił kierunek i uderzał teraz w prawą burtę.  
Krzysztof wiosłował całym ciałem. Czuł, jak prąd znosi łódź w lewo.  
— Michał, koryguj pagajem, bo poniesie!  
— Ciężko!  
— Zmień pozycję. Obróć się tyłem!  
Fale rozpryskiwały się i niewielkimi pióropuszcami wpadały do wnętrza.  
— Steruj, mówię! — wrzasnął Krzysztof. — Zobacz, co robisz!  
— Nie mogę!  
— Musimy płynąć w szuwary, nie w bok!  
Łódź kiwała się z burty na burtę. Posuwała się bardzo wolno.  
— Ostrożnie! — zawołała Ola.  
— Idźcie bardziej w prawo, to zniesie was do celu! — krzyknął Janek.  
— Raz... raz... raz... — stękał Krzysztof wiosłując z dziobu.  
Przy setnym chyba uderzeniu pagajem poczuł, że mdleje mu ręka. Drobiny wody pryskały w twarz.  
Metr po metrze odchodzili od brzegu. Fale stały się większe. Płaskodenna łódź, pchana siłą wiatru, wyczuwalnie zbaczała z wyznaczonego kierunku

179

Wykręcili dziób jeszcze bardziej w prawo. Teraz fale uderzały na ukos, zmienił się też rytm huśtania łodzi.  
— Michał, możesz wiosłować? — Krzysztof był już wyraźnie zmęczony. — Sam nie dam rady...  
— Bez sterowania?  
— Wiosłuj!  
Pagaje zanurzały się w wodę, przemieszczały z półtora metra i znowu zagarniały fale.  
— Raz... dwa... raz... dwa...  
— To się nigdy nie skończy — jęknął Michał. — Odeszliśmy tylko kawałek...  
— Nie trać Sił na gadanie — dyszał Krzysztof. — Machaj, bo znosi!  
Metr... Znowu metr... ..ból w ramionach, piekące plecy, parzące dłonie... ..otwarte usta, chwytające ostre, wilgotne powietrze... ..naprężony do granic wytrzymałości grzbiet... ..wparte w łódź kolana...  
— Jeeee...szcze!!! — wykrzykiwał kapitan. — Michał, jak u ciebie?  
-\* Ciężko...  
Nagle pagaj wypadł Michałowi ze zdrtwiałej dłoni.  
— Pagaj!  
— Co?!  
— Uciekł!  
— Och, ty!... — ryknął Krzysztof. — Musimy go wyłowić!  
Wiosłował wstecz. Łódź zmieniła położenie. Pagaj leżał na wodzie, dryfując.  
— Wychył się i łap. Dasz radę?  
— Podejdź jeszcze bliżej.  
— Sięgaj!  
Michał wyprostował ramię, chcąc złapać wiosło. Naprężył się, wyciągnął i całkiem automatycznie przesunął kolano z uszczelki. Do wnętrza poczęła wdzierać się woda.  
— Toniemy! — wykrzyknął.  
— Przyduś i łap wiosło. Bez wrzasków!

180

Michał wyłowił pagaj. Na dnie łodzi było już jednak wody po kostki.  
— Wracajmy, Krzycho! —• krzyknął chłopak rozpaczliwie,  
— Ja wiosłuję dalej, ty wylewaj.

— Nie ma czym.

— Koszulą. Namocz i wykręcaj. Szybko!

Łódź znajdowała się w połowie drogi. Pieniste grzywy z szumem rozbijały się o burty, mocząc sownie chłopców. Woda ihiulgotała złowrogo, grożąc śmiałkom, którzy odważyli się z nią walczyć.

— Nie ubywa! — jęknął Michał.

— Są przecieki. Wylewaj!

Krzysztof czuł, że pękają mu ramiona, zrywają się mięśnie, a za każdym pociągnięciem wiosła wrzyna się w plecy ostra piła.

— Jeszcze... jeszcze... jeszcze... — szeptał półprzytomnie.

— To u ciebie przecieka — zauważył Michał.

— Gdzie?

— Spod dziobu. Deska się ugina!

— O, psiakrew! Wylewaj szybciej!

— Uważaj, źle płynie.

— Dobra! Jeszcze... jeszcze...

Michał moczył koszulę i wykręcał ją za burtą.

— Nie damy rady, Krzycho...

— Ani słowa. Rób swoje! Wody jednak przybywało.

— Znosi nas, popatrz!

Łódź szła wyraźnie w lewo. Kapitan na sekundę przestał wiosłować, odpoczywając z szeroko otwartymi ustami. Po chwili znowu ciągnął z całych sił, krzycząc:

— Mooo-cno! Mooo-cno!!!

— Krzysiek, pójdziemy na dno. Wlewa się tyle...

— Niedaleko... Szybciej... Mooo-cno!!!

Mieli jeszcze około pięćdziesięciu metrów. Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Łódź nabierała wody, zanurzając się coraz bardziej. Do „Marzenia” mieli jednak bliżej niż do brzegu,

181

Krzysztof był już ledwo żywy ze zmęczenia. Przed oczyma fruwały mu czerwone płatki, z gardła wydobywał się charczący oddech.

Fale coraz śmielej wlewały się do wnętrza.

— Czterdzieści metrów...

— Krzycho, mocniej!

— Zostaw tę wodę! Wiosłuj! Michał, klęcząc, znowu ciągnął pagajem. —■ Dwadzieścia. No... piętnaście metrów!

Nagle łódź szybko zanurzyła się i zaczęła tonąć. Znikała szybko w głębinach.

—■ Uwaga! —■ wrzasnął Michał i zachłysnął się wodą.

— Milcz! Płyn!

— Łodzi... nie ma!

— Spokój!

Michał rozpaczliwie machał ramionami. Krzysztof znalazł się koło niego.

— Spokojnie. Połóż się na pagajach, ja cię będę holował. Michał ostatkiem woli opanował panikę.

Trzymał przed

sobą wiosła, które pomagały mu utrzymać się na powierzchni.

„Marzenie” było w zasięgu ramion. Michał złapał się jej burty, Krzysztof przepłynął na drugą stronę. Wisieli, dysząc.

Wejść z wody do łodzi jest bardzo trudno. Wie o tym każdy, kto choć raz próbował takiego wyczynu.

Za trzecim razem Krzysztof, zahaczywszy nogą o burtę, dostał się do wnętrza. Z ramion spływały mu strużki krwi. Rzucił się do drugiej burty i pomógł wspiąć się (bratu.)

— Właż! — Wciągnął bezwładnego chłopaka, a potem pa-gaje.

Leżeli na ławkach i bezprzytomnie spoglądali na pędzące chmury. Łódź szarpała się, tkwiąc rufą w szuwarach.

Na całym świecie nie ma bezpieczniejszego i bardziej przytulnego miejsca, pomyślał kapitan „Marzenia”.

Nigdy jeszcze nie czuł się taki szczęśliwy...

182

Wiosłowali (bez pośpiechu.

„Marzenie” dostojnie kiwało się na falach, miażdżąc je płaskim dziobem. Woda uderzała o burtę, klaskała donośnie, cóż jednak mogła zrobić tej masywnej, lecz smukłej i rasowej jednostce? W syku brudnoszarej piany wyładowywała tylko swoją wściekłość. Nawet perkozy, kiwając śmiesznymi główkami, spoglądały z szacunkiem na kolorową, błyszczącą łódź.

Na brzegu widzieli chłopcy niewielkie sylwetki przyjaciół, którzy w napięciu i przerażeniu obserwowali przebieg dramatycznej akcji, nie mogąc w niczym pomóc.

Łąd był coraz bliżej...

Wiosłarze nie czuli zimna, choć wiatr smagał ich półnagie ciała.

':

— Krzycho, uratowałeś mi życie — rzekł Michał. — Jesteś w porządku...

Kapitan obruszył się.

— Musisz nauczyć się pływać. -+■ Trochę umiem.

— Wiesz teraz, co to znaczy „trochę”. Życie albo śmierć. Od września zapisujemy się na basen. Wreszcie dziób łodzi z szumem osiadł na piasku.

Dzieci wbiegły do wody, żeby pomóc żeglarzom wysiąść. Asia natychmiast wydostała z forpiku suche rzeczy, i wszystko, co wpadło jej w dłonie, nakładała na ramiona Krzysztofa.

W pewnej chwili spojrzała mu w oczy i rzekła poważnie:

— Szkoda, że nie znałam cię wcześniej...

— Rzeczywiście szkoda. — Kapitan uśmiechnął się z zażenowaniem.

Ola wzięła wysuszoną pelerynę i otuliła nią Michała.

— Umierałam ze strachu, wiesz? — przyznała się.

— A-a-a-a... — Michał tak szczełkał zębami, że nie mógł powiedzieć słowa.

— Proszę?

— A-a-a na-a-apiszesz o tym w zeszycie? — wystękał wreszcie.

— Pewnie! W kronice też.

183

— To fa-a-ajnie. Kronika jest na całe życie...

— Chodźcie do ognia! — krzyknął Sławek umorusany węglem drzewnym.

Po południu odcumowali, Iby wieczorem wspiąć się na „Wzgórze Bagienne”.

Chmury przedarły się w niektórych miejscach, odsłaniając placki czystego nieba.

Udało się znaleźć chrust nadający się do rozpalenia ognia. Stos ustawili w tym samym miejscu, gdzie przed wieloma dniami miała gotować się zupa owocowa.

— Zapalają bohaterowie dzisiejszego dnia — powiedziała Asia. — Dzięki wam nie straciliśmy naszego „Marzenia”. Jesteście dzielni i dotrzyмалиście żeglarskiej przysięgi.

Najpierw maleńkie płomyki zaczęły lizać drobne gałązki, potem — wspinając się coraz wyżej — migwały, wiły się i otulały grubsze konary. Wreszcie, płasząc coraz szybciej, objęły cały stos.

Gdzieś z tyłu buchnęła muzyka z Jankowego magnetofonu. Załomotała perkusja, zaśpiewały gitary i organy.

— Zarządzam bal kapitański! — wykrzyknął Krzysiek. — Przecież to ostatni wieczór rejsu!

Ola zerwała się i zaczęła wirować z naturalną dla niej szybkością tysiąca obrotów na sekundę.

— Uwważaj, bo przewiercisz się do środka pagórka! — ostrzegła Asia ze śmiechem.

Stanęli wokół ognia, trzymając się za ręce. Ruszyli w prawo...

Bum, bum, bum, bum! — waliła perkusja. E... ę... ę... ę...! — jęczała gitara.

— Raz, dwa, trzy, hej! — wrzeszczeli marynarze. I w drugą stronę:

Bum, bum, bum, bum! E... ę... ę... ę...! ... fok — szplajs — ster — GROT! ... bom — bras — lik — SPLOT! ... za fał — za SZOT!

... kurs w sztorm — na NORD!

Szybciej, szybciej, coraz szybciej!

Janek wyskoczył do przodu. Pochylił się, rozłożył ramiona i tupał coraz mocniej w rytm szaleńczej muzyki: jak czarownik wykonujący indiański taniec zwycięstwa i radości.

Migające cienie ślizgały się po drzewach i trawie: leśne duchy, które zbiegły się na nocne spotkanie.

Świat wirował wokół magicznego ogniska.

Kręcił się, kręcił, kręcił...

Skakali do samego nieba albo nawet wyżej.

Borowiczek zaś uśmiechnął się po raz pierwszy od setek lat. Postanowił, że pojedzie z dziećmi nad Bałtyk.

Siadł przy płonącym stosie i podparł twarz rękoma...

Gdańsk, lato i jesień 1986 roku.

Na wszelki wypadek służę Czytelnikom pomocą:

Bałtyk — morze śródlądowe między kontynentem europejskim a Półwyspem Skandynawskim.

Powierzchnia ok. 385 tys. km kwadratowych. Największa głębia — 459 m. Zasolenie średnie — 7 promille. Długość linii brzegowej — 8 100 km. Długość wybrzeża polskiego — 524 kilometry. blok — osadzony na osi krążek, po którym posuwa się lina. Proste urządzenie do podnoszenia ciężarów, często stosowane w żeglarstwie np. do podnoszenia żagli.

ORP „Błyskawica” — polski niszczyciel zbudowany w Anglii w 1936 r. Brał udział w II wojnie światowej. Wrócił do Gdyni w 1947 r służąc później jako okręt bojowy marynarki wojennej PRL. Od 1976 r. do chwili obecnej — okręt-muzeum, czynne od 1 maja do 30 września każdego roku.

bom — poziome, ruchome drzewce, umocowane jednym końcem do masztu. Służy do przymocowania dolnego brzegu (liku) trójkątnego żagla.

bosmanmat (w skrócie bosmat) — stopień podoficerski w marynarce wojennej, odpowiednik plutonowego w wojskach lądowych. Obecnie używa się 7 stopni podoficerskich w MW: mat, starszy mat, bosmat, bosman, starszy bosman, bosman sztabowy i starszy bosman sztabowy.

bras — lina umocowana przy końcach rei, służąca do obracania jej w płaszczyźnie poziomej.

bulaj (iluminator) — szczelnie zamykane, najczęściej okrągłe okienko z grubego szkła w burcie lub ścianie nadbudówki statku.

ORP „Burza” — polski niszczyciel zbudowany we Francji 1929 r. Brał udział w II wojnie światowej. Wrócił do Polski w 1951 r. W latach 1960—1975 był okrętem-muzeum.

cuma — lina służąca do mocowania statku do nabrzeża.

dryf — znoszenie statku z kursu pod wpływem wiatru i fali.

186

dryfkotwa —• kotwica pływająca w postaci stożkowatego worka bez dna. Wyrzucona za burtę statku hamuje jego bieg. Utrzymuje jednostkę dziobem do fali podczas sztormowania  
dziób ~ przednia część jednostki pływającej.

fał — lina służąca do podnoszenia żagli.

flagsztek (dziobowy, rufowy) — drzewce do podnoszenia bandery lub proporca.

forpik — przedni przedział statku (rufowy nazywa się achterpi-kiem).

fregata — typ żaglowca o trzech masztach z ożaglowaniem rejowym (np. „Dar Pomorza” lub „Dar Młodzieży”). grot — rodzaj żagla na grotmaszcie.

ORP „Gryf” — polski stawiacz min zbudowany we Francji w 1938 r. Zniszczony przez hitlerowców 3 września 1939 r. na Helu.

ORP „Iskra” — barkentyna szkolna Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej, zbudowana w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w 1982 r. Jej poprzedniczką był szkuner ORP „Iskra”, który pływał pod białoczerwona banderą w latach 1927—1977.

kabel — 1/10 część mili morskiej, równa 185,2 m. Milla morska (Mm) = 1852 metry.

kapok — kamizelka ratunkowa.

kilwater — inaczej ślad torowy. —■ zawirowania pasma wody za rufą poruszającego się statku.

kontrtorpedowiec — klasa okrętów z początku, XX wieku. Przeznaczony był do odpierania ataków torpedowych. Później przekształcił się w niszczyciela.

konwój — zespół statków transportowych, odbywających wspólny, rejs, ochraniających i osłanianych przez okręty wojenne i samoloty wojskowe.

korweta — typ okrętu eskortowego do ochrony konwojów przed atakami okrętów podwodnych i lotnictwa.

kotwica — ciężki stalowy przyrząd (na łańcuchu lub linie), służący do utrzymania statku na jednym miejscu. Spotyka się. potoczne sformułowanie: „hak”, „stać na haku”.

ORP „Krakowiak” — polski niszczyciel eskortowy zbudowany w Anglii w 1940 r.

krążownik — mniejszy od pancernika, silnie uzbrojony okręt na-

187  
wodny. Podczas II wojny światowej pod polską banderą działały dwa krążowniki: ORP „Conrad” i ORP „Dragon”.

ORP „Kujawiak” — polski niszczyciel eskortowy zbudowany w Anglii w 1940 r. Zginął na minie na Morzu Śródziemnym w 1942 r.

kuter rybacki —• najmniejszy pokładowy statek rybacki.

Krzyż Harcerski — oparty na wzorze Orderu Virtuti Militari, jest odznaką Związku Harcerstwa Polskiego. Można go zdobyć w V, czasem w IV klasie szkoły podstawowej. Przeznaczony wyłącznie dla członków ZHP po odbyciu specjalnej próby. Projekt K. H. opracowany został w 1912 roku.

lik — krawędź żagla.

lotniskowiec — bojowy okręt nawodny stanowiący ruchome lotnisko i bazę dla samolotów.

maszoperia —■ rybacka spółka służąca przeważnie do połowu węgorzy i łososi, to jest takich ryb, których połów wymaga dużej liczby kosztownych sieci lub wędek. Maszoperie działały do II wojny światowej na Kaszubach. maszopi — członkowie maszoperii.

nabieżnik — dwa znaki nawigacyjne ustawione w taki sposób, że przedłużenie łączącej je linii wskazuje właściwy kurs statku. niszczyciel — klasa najbardziej uniwersalnych okrętów bojowych. Nord — północ.

okręt — jednostka pływająca wchodząca w skład marynarki wojennej i nosząca banderę wojenną. okręt podwodny — okręt przeznaczony do prowadzenia działań bojowych pod wodą.

ORP — skrót: Okręt Rzeczypospolitej Polskiej. Umieszcza się przed

nazwami okrętów, np. ORP „Cedynia”. pagaj — używana potocznie przez żeglarzy nazwa

krótkiego wiosła. pancernik —• silnie opancerzony, duży okręt nawodny o potężnym uzbrojeniu artyleryjskim. pirs ■— pomost prostopadły do nabrzeża, poler (pacholek) ■— słupek służący do zakładania cum. refowanie — zmniejszanie powierzchni żagla przy silnym wietrze. rufa — tylna część statku.

rumpel — drążek zamocowany do głowy trzonu steru, który służy do zmiany położenia steru.  
188

slip (pochylnia) — urządzenie do wyciągania mniejszych statków na ląd.

splot (szplajs) —■ stałe połączenie dwóch lin przez splecenie ich pokrętek.

stępka (kil) — wzdłużne wiązanie szkieletu kadłuba statku, umieszczone na dnie w płaszczyźnie symetrii.

szot —■ linka, za której pomocą bom z żaglem lub sam żagiel ustawia się pod odpowiednim kątem do kierunku wiatru.

sztorm — burza morska, gwałtowne wiatry o sile ponad 8 stopni w, skali Beauforta. Przy bardzo silnych wiatrach na jeziorze również używa się słowa sztorm.

szyper — potoczna nazwa kapitana mniejszego statku rybackiego.

ścigacz —■ niewielki okręt bojowy, przeznaczony np. do poszukiwania i zwalczania okrętów podwodnych, patroli itp.

ORP „Ślązak” — polski niszczyciel eskortowy zbudowany w Anglii w 1942 r., bliźniak „Krakowiaka” i „Kujawiaka”. Podczas działań bojowych przebył łącznie 104 tys. mil morskich, eskortował 104 konwoje, przeprowadził 111 patroli i operacji.

wachta —• rodzaj służby okrętowej.

ORP „Wicher” — polski niszczyciel zbudowany we Francji w 1930 r. Zniszczony na Helu 3 IX 1939 r.

wręgi — część szkieletu kadłuba statku.

zjudwestka — część ubrania sztormowego.

Spis rozdziałów

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III ROZDZIAŁ IV ROZDZIAŁ V ROZDZIAŁ VI ROZDZIAŁ VII ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX ROZDZIAŁ X ROZDZIAŁ XI ROZDZIAŁ XII ROZDZIAŁ XIII ROZDZIAŁ

XIV

Wakacje za miesiąc i dwa tygodnie. Elektryzująca propozycja. Chłopcy zapadają się.....

... a po południu uzgodniony zostaje plan operacyjno-taktyczny. Zalakowana butelka łąduje na szafie ., . Koniec roku szkolnego. Mieszkanie w ruinie. Nareszcie sami .....

Asia śmieje się podejrzanie. Kogo niesie z lasu? .....

Cisza przy stole. Dramatyczna opowieść pana Maszopy .....

Jest po północy... Krzysztof samotnie wyrusza do lasu .....

Energiczna akcja leśniczego. Nóż błyska w świetle latarki .....

Niechlubny powrót. Wyprawa do wsi. Wymarłej? Nowy znajomy ....

Artystyczne układanie stosu. Legenda jeziora. Trudne zadanie .....

Kto liczy „p.k.”? Ze wzgórza widać jezioro .....

Operacja „lina”. Bagno czatuje na samotnych..... .....

Niepokój. Rozpacz. Przerażenie, Akcja ratownicza .....

Czy jezioro ma kształt potwora? Plany łodzi .....

Upał. Prace skutnicze. Elementy na kozły. Pudło spada z szafy .....

13 20 27 35 43 49 54 64 74 80 90 103 114

190

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI ROZDZIAŁ XVII ROZDZIAŁ XVIII ROZDZIAŁ XIX ROZDZIAŁ XX

NA WSZELKI

Pierwsze śpiewem.

„wodowa+ Historia

morski.

Świat wspomnień... nie”? Powrót ze

z zeszytu .....

Wręgi pod plandeką. Diabeł Opowieść pana Nowickiego , Inżynieria przynosi efekty.

Transport. Uroczyste wodowanie. Awans . Ambitny „siódmy”. Przysięga żeglarska. Początek operacji .....

To jest załoga! Wędkarz tonie. Płomień strzela pod niebo .....

Alarm! „Marzenie” umyka. Dramat na jeziorze. O mały włos, a... Bohaterowie nie są jeszcze zmęczeni. Szaleńczy taniec. WYPADEK... . . . . .

Д22

133 143

150 158

170 186

Printed in Polana

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony- Narodowej

Warszawa 1988 r. Wydanie I

Nakład 49 700 + 300 egz. Objętość 9,79 ark. wyd., 12,0 ark. druk. Papier offsetowy V ki. 65 g. z roli 61 cm. Oddano do składu w kwietniu 1987 r. Druk ukończono w lutym 1988 r. Wojskowa

Drukarnia w Łodzi. Zam. nr 77 Cena zł 330.—

H-13